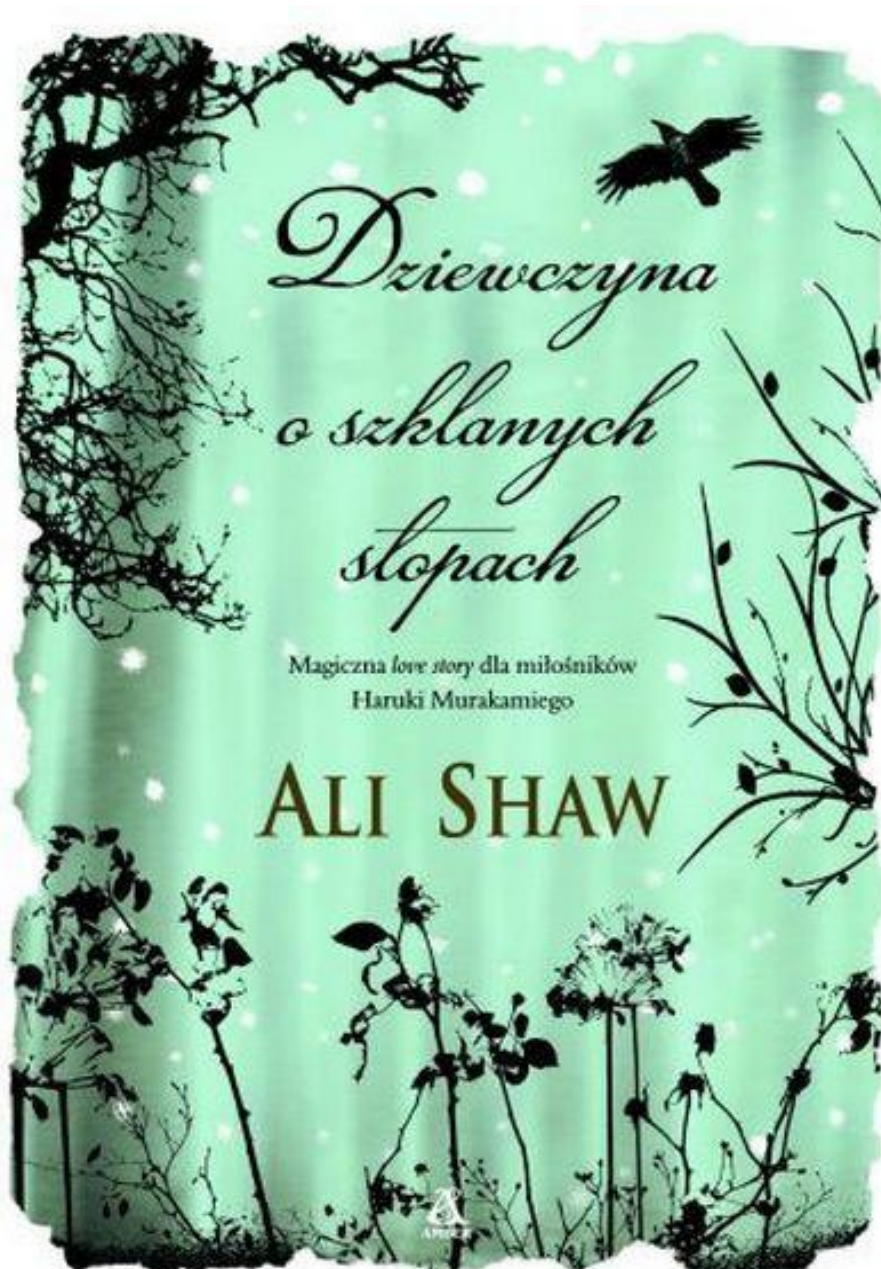




# Dziewczyna o szklanych stopach Ali Shaw

Przekład RADOSŁAW JANUSZEWSKI



**TAMTEJ ZIMY W GAZECIE POJAWIŁY SIĘ DONIESIENIA O** górze lodowej w kształcie galeonu, która z majestatycznym poskrzypywaniem przepłynęła wzdłuż klifów St. Hauda's Land; o pokwikującym wieprzu, który wyprowadził wędrowców zagubionych na stromiznach wzgórz pod Londol Tor; o osłupiałym ornitologu, który naliczył pięć wron albinosów w stadzie składającym się z dwustu sztuk. Ale Midas Crook gazety nie czytał, oglądał tylko zdjęcia.

Tamtej zimy zdjęcia widział wszędzie. Nawiedzały lasy, czały się w opustoszanym zaułkach. Było ich tak wiele, że kiedy składał się do jednego, w polu widzenia pojawiała się drugie, a już za chwilę trzecie.

Pewnego dnia, w połowie grudnia, uganiając się za zdjęciami, zapuścił się w las niedaleko Ettinsford. Nadciągał zmierzch, ostatnie snopy światła padały między drzewa, omiatając ziemię jak reflektory. Zszedł ze ścieżki w pogoni za takim promieniem. Gałązki trzeszczały mu pod podszwami. Ptak z głośnym piskiem przeleciał nad liśćmi. Gałęzie nad głową kołysały się i chłostały błędny promień. Nie spuszczał z oka bliskiego celu, podążając jego cienistym śladem.

Ojciec opowiedział mu kiedyś legendę: samotni wędrowcy na zarośniętych ścieżkach widzą człekokształtne ogniki migające między drzewami albo unoszące się nad spokojną tonią jezior.

I coś, jakiś wewnętrzny impuls, sprawia, że rzucają się za nimi w po-goń, schodzą ze ścieżki między drzewa albo na głęboką wodę. Kiedy je do-ścigną, ogniki nabierają kształtów. Czasem stają się kwiatami o fosforyzu-jących płatkach. Czasem są jak ognisty ptak sypiący z piór ogona świsz-czącym żarem. A czasem jak ludzka postać, a wędrowcom wydaje się, że pod welonem aureoli widzą rysy dawno utraconej ukochanej osoby. Świa-tło stawało się zawsze coraz jaśniejsze, aż wreszcie rozbłyskało, oślepiając wędrowców. Ojciec Midasa nie musiał rozwodzić się nad tym, co się z ni-mi działo potem. Zagubionymi i samotnymi w zimnej głuszy...

To oczywiście bzdura, jak wszystko, co mówił ojciec. Ale światło naprawdę było magiczne, sprawiało, że bezbarwne tło ożywało. Promyczek przykleił się do pnia, rozjaśnił na żółto splekaną korę. Midas, skuszony, podkradł się i schwytał go w obiektyw, zanim promyk wsiąknął w gliniasty piasek. Szybkie zerknięcie w ekran aparatu dało obietnicę świetnego zdjęcia, ale on chciał więcej. Inny snop światła rozjaśnił wrzośce i ostrokrzewy rosnące z przodu. Wydobył z jagód jaskrawą czerwień, z liści trującą zielen. Midas nacisnął spust migawki i ruszył za kolejnym promykiem, który błąkał się przed nim w poszyciu. Świetlna smuga uciekała, Midas potykał się o korzenie, kolczaste pnącza chłostały mu kostki. Gnał co sił, aż na skraj lasu i dalej, na otwartą przestrzeń, gdzie niskie zarośla spływały w dal, w stronę rzeki. Wrony krążyły po niebie jak tłusta szmata. W pobliżu szemrała niewidoczna woda, ściekając do ciemnego stawu na skraju zbocza. Promień światła wisiał nad stawem jak złota wstążka. Midas popędził w dół, żeby go uchwycić, stopy ślizgały mu się w gąbczastej ziemi, ostre powietrze rozsadzało płuca, kiedy ślaniając się, pokonywał ostatni odcinek do brzegu. Koronkowa warstewka lodu na wodzie tłumiała odbłyski, w stawie zobaczył więc tylko ciemność. Promień zniknął. Chmury złączyły się za szybko. Midas dyszał, zwiesił głowę, oparł ręce na kolanach. Jego oddech wisiał w powietrzu.

— Nic ci nie jest?

Odwrócił się i pośliznął na grudzie ziemi. Upadł do przodu. Kiedy wstał, miał brudne ręce i zimne, błotniste plamy na kolanach. Dziewczyna siedziała wdzięcznie na płaskim kamieniu. Jakoś jej wcześniej nie zauważył. Przypominała postać z filmu z lat pięćdziesiątych. Błada skóra i blond włosy, jasne monochromatyczne odcienie. Długi płaszcz przewiązany w talii paskiem z tkaniny. Była prawdopodobnie kilka lat od niego młodsza, ledwie po dwudziestce, nosiła biały kapelusz dopasowany kolorem do rękawiczek.

—Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam — powiedziała.

Tęczówki, najbardziej uderzający element jej urody, miała tytanowoszare. Wargi — jakby ktoś się nad nimi zastanawiał, kości policzkowe — płaskie. Ale te oczy... Zdał sobie sprawę, że się w nie wpatruje, i szybko odwrócił wzrok.

Popatrzył na staw, czekał na światło. Po drugiej stronie wody rozciągało się pole ogrodzone żyłastym płotem z drutu kolczastego. Stał tam kudłaty, szary baran z rogami jak amonity i gapił się w przestrzeń. Dalej znów zaczynały się lasy, a przy baranim polu nie było śladu wiejskiego domu. Ani śladu światła.

—Na pewno nic ci nie jest? Zgubiłeś coś?

—Światło.

Znów odwrócił się do dziewczyny, ciekaw, czy je widzi. Było obok niej, na kamieniu, strzelało promieniem przez dziurę w chmurach.

—Cśś! — Celował pół sekundy, zanim pstryknął zdjęcie.

—Co robisz?

Krytycznie przyjrzał się obrazowi na ekranie aparatu. Świetne zdjęcie, nic dodać, nic ująć. Ta połowa kamienia, na której siedziała dziewczyna, pogrążona była w widlastym cieniu drzewa, druga połowa wyglądała jak rozżarzony bursztyn. Ale chwileczkę... Przy dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że zepsuł kompozycję, ucinając końce butów. Nachylił się bardziej nad ekranem. Nic dziwnego, że popełnił błąd. Dziewczyna miała na nogach wielkie buciory, za duże o kilka rozmiarów. Buciory były pokryte sznurowadłami i sprzączkami jak kaftan bezpieczeństwa. W poprzek jej kolan leżała laska.

—Słuchaj, jestem tutaj.

Zaskoczony podniósł wzrok.

—Pytałam, co robisz.

—Co?

—Jesteś fotografem?

—Tak.

—Zawodowcem?

—Nie.

—Amatorem?



Nachmurzył się.

—Jesteś bezrobotnym fotografem?

Niezdarnie zamachał rękami. Ta skomplikowana kwestia często mu doskwierała. Ludzie nie potrafili zrozumieć, że fotografia to nie zawód, hobby czy obsesja, że jest po prostu równie istotna dla postrzegania świata jak światło wpadające w źrenice.

—Zajmuję się fotografią — wymamrotał.

Uniosła brew.

—To niegrzeczne fotografować ludzi bez ich zgody. Nie wszystkim coś takiego się podoba.

Baran zabecztał na polu.

—Nieważne — mówiła dalej. — Mogę zobaczyć tę fotkę, którą mi zrobiłeś?

Midas nieśmiało wyciągnął rękę z aparatem, nachylił go lekko w jej stronę.

—Właściwie — tłumaczył — hm... nie tobie robiłem zdjęcie. Wtedy inaczej bym je skadrował. Nie obciążłbym końców twoich... butów. I zapytałbym o zgodę.

—To co sfotografowałaś?

Wzruszył ramionami.

—No... światło.

—Mogę się dokładniej przyjrzeć?

Zanim zdołał pomyśleć, jak odmówić — nie, raczej nie, doprawdy nie — bo nie czuł się dobrze, kiedy inni trzymali jego aparat, wyciągnęła rękę i wzięła go od niego. Midas miał na szyi pasek, więc musiał podejść do niej nieznośnie blisko. Skrzywił się i czekał, odchyłał niewygodnie do tyłu, żeby być jak najdalej od dziewczyny. Mimowolnie znów spojrział na jej buty. Nie były po prostu wielkie. Były ogromne jak na tak chudą dziewczynę. Sięgały jej prawie do kolan.

—Boże, wyglądam okropnie, tak blado. — Westchnęła i puściła aparat.

Midas wyprostował się i odsunął z ulgą, nadal gapiąc się na buciory.

—To po tacie. Był policjantem. Patrolowe.

—O, aha...

—Proszę. — Wyjęła z torebki portfel i wyciągnęła z niego zdjęcie z pozaginanymi rogami. Była na nim w dżinsowych szortach, żółtym T-shircie i okularach przeciwsłonecznych.

Midas rozpoznał plażę, na której stała.

—To Shalhem Bay — powiedział. — Niedaleko Gurmton.

—Ubiegłego lata. Kiedy ostatni raz byłam w St. Hauda's Land.

Podala mu zdjęcie, żeby się lepiej przyjrzał. Na fotografii skórę miała opaloną, a włosy płowe. Na małych, zabawnie wykoślawionych stopach nosiła klapki.

Parsknięcie za plecami sprawiło, że Midas podskoczył. Nad rogatą głową barana unosiła się aureola oddechu.

—Ale z ciebie nerwowy facet. Jak masz na imię?

—Midas.

—Niezwykłe.

Wzruszył ramionami.

—Pewnie dla ciebie nie. Ja jestem Ida.

—Cześć, Ido.

Uśmiechnęła się, ukazując lekko pożółkłe zęby. Nie wiedział, dlaczego to go zaskoczyło. Może dlatego, że poza tym dziewczyna była taka szara.

—Ida — powtórzył jej imię.

—Tak. — Wskazała na chropowatą powierzchnię kamienia. — Chcesz usiąść?

Usiadł kilkanaście centymetrów od dziewczyny.

—Czy ja taka jestem, czy to po prostu przez tę wstrętną zimę? — zapytała.

Chmury były teraz gęste i bure jak beton. Baran potarł tylną nogę o płot, zostawiając szarą wełnę na drucie kolczastym.

—Nie wiem — odparł Midas.

—Mało było ładnych dni, kiedy niebo jest jasnoniebieskie. Lubię spędzać pogodne dni na dworze. A opadłe liście nie są miedziane, tylko szare.

Przyjrzał się gęstej masie liści u ich stóp. Rzeczywiście.

—Miłe dla oka — powiedział.

Roześmiała się. Miała słaby, rehotliwy śmiech, który niezbyt mu się spodobał.

—Ale ty ubierasz się na szaro — zauważył.

I było jej dobrze w tym kolorze. Chciałby ją sfotografować między monochromatycznymi sosnami. Włożyłaby czarną sukienkę i zrobiła sobie biały makijaż. Użyłby kolorowego filmu, żeby uchwycić stłumiony rumieniec na jej policzkach.

—Ubierałam się jaskrawo, w szafrany i szkarłaty. Jezu, bywałam opalona.

Skrzywił się.

—Ty musisz lubić czarno-białe zimy. Jesteś fotografem. — Szturchnęła go żartobliwie, a on pewnie by wrzasnął, gdyby nie był taki zaskoczony. — Jak człowiek-wilk — dodała.

—Hm...

—Widzieć w bieli i czerni, jak pies. Ja lubię kolorowe zimy. Naprawdę chcę, żeby wróciły. Przedtem nie były takie ponure.

Siedząc, nie poruszała stopami, nie szurała nimi, nie kopała ziemi, tak jak on zwykł robić.

—Więc czym się zajmujesz? Jeśli nie jesteś zawodowym fotografem?

Znikąd napłynęło wspomnienie, jak ojciec upominał, żeby nigdy nie rozmawiać z obcymi. Odchrząknął.

—Pracuję u przyjaciela. W kwiaciarni Catherine's.

—Fajnie.

—Robię wycinanki z papieru do owijania bukietów.

—Kwiaciarnia to chyba koszmar dla fotografa od czerni i bieli.

Baran grzebał kopytem w rozmokłym śniegu.

Midas przełknął. Od tygodni tyle nie mówił. Język mu wysechł.

—A ty?

—Ja? Można mnie nazwać niezatrudnialną.

—Hm... Jesteś chora?

Wzruszyła ramionami. Plamka deszczu uderzyła w kamień. Ida mocniej wcisnęła kapelusz na głowę. Kolejna kropla spadła na skórzany bucior, robiąc lśniący ślad na czubie.

Westchnęła.

—Nie wiem.

Więcej lodowatych kropeł zaczęło spływać na ich policzki i czoła.

Ida popatrzyła na niebo.

—Lepiej pójde z powrotem. — Wzięła laskę i podpierając się, wstała ostrożnie.

Midas obejrzał się na stok, po którym wcześniej pędził.

—Gdzie jest... z powrotem?

Wskazała laską ścieżkę wijącą się wzdłuż brzegu rzeki.

—Mały domek, należy do przyjaciela.

—Hm. Ja też już sobie pójde.



—Miło było cię spotkać.

—Ciebie też. Wracaj... wracaj szybko do zdrowia.

Pomachała leciutko, odwróciła się i poszła ścieżką. Szła w żółtym tempie, przed każdym krokiem ostrożnie stawiała laskę, jakby od nowa odkrywała chodzenie po długim leżeniu w łóżku. Midasa

TLR

zakłuło coś w środku, kiedy odchodziła. Tym razem chciał sfotografować ją, nie światło. Zawahał się i zrobił jej ujęcie od tyłu — po stać pociągająca nogami z wodą i szarym baranim polem w tle.

TLR

**WYPRACOWAŁA SZCZEGÓLNY SPOSÓB CHODZENIA**, dostosowany do swojej kondycji. Krok, przerwa, krok, zamiast krok, krok, krok. Ta króciutka przerwa była po to, żeby się upewnić, czy stopa stoi prosto. Jak w pierwszych krokach tańca. Buciory miała grube, watowane, ale jeden przypadkowy upadek albo nieostrożne potknięcie mogły wyrządzić nieodwracalne szkody, które, jak sądziła, wykończyłyby ją na dobre.

Jak to było, kiedy miało się kości i mięśnie, pięty i podeszwy? Nie pamiętała. Teraz chodzenie przypominało lewitację, zawsze dwa centymetry nad ziemią.

Rzeka płynęła spokojnie, to szumiała w dół krótką kaskadą, to znów ocierała się o pokryty wodorostami kamień, który wyglądał jak głowa z zielonymi włosami. Ida kuśtykała przed siebie, krople rzadkiego deszczu wsiąkały jej w płaszcz i przemaczały wełnianą czapkę. To kolejny problem z tym cholernym, głupim sposobem chodzenia: nie dawało się iść szybciej, żeby się rozgrzać. Podciągnęła szalik na lodowato zimny nos.

Gęste ostrokrzewy zanurzały gałęzie w rzece. Na kiści czerwonych jagód usiadła ćma. Stała, ćma zatrzepotała skrzydłami. Były mechate, brązowe, nakrapiane soczystą zielenią.

— Cześć — powiedziała Ida.

Ćma odleciała.

Poszła dalej.

Chciała, żeby ćma wróciła. Czasem z zamkniętymi oczami widziała więcej kolorów niż przez cały dzień na St. Hauda's Land, kiedy miała je otwarte.

Zawsze lubiła miejsca, gdzie gęsto upakowane biodra, ramiona i tyłki tańczyły obok niej, a kolorowe migotanie wirowało na sukienkach i koszulach. Powstrzymywała sen dla czystej przyjemności bycia w towarzystwie, czy to w zimnym namiocie, ubrana w gruby dres, czy to przy kartach, w

mieszkaniach przyjaciół, gdy do białego rana opowiadali sobie różne historie. Na wyspach nie znalazła żadnej z tych rzeczy.

Miała z sobą sfatygowany przewodnik po St. Hauda's Land, który kupiła latem, podczas wycieczki na archipelag. Kiedy otworzyła go zimą, pierwszy raz po powrocie, spod grzbietu wysypały się ziarenka białego piasku.

Latem miała więcej entuzjazmu dla tej okolicy. Czytała, litując się nad wyspiarzami, o rozkołysanych kutrach rybackich, które od strony kontynentu wdzierały się na wody archipelagu, aby wyciągać całymi strakami nadziane na ostrza wieloryby, przerabiać je na tran i krwawe pomyje na swoich rzeźnickich pokładach. Czytała o miejscowych wielorybnikach, wypływających coraz dalej i dalej w morze na małych łodziach, jeszcze swoich ojców i dziadków: Niektórzy nie wracali, bo albo podniósł się sztorm, albo zawiodły odziedziczone po przodkach łupiny. Czytała, jak wracali z nędznym połowem, a rynek był już nasycony mięsem z kontynentu. Rodziny wielorybników zaczęły się wyprowadzać. W przewodniku próbowano odciąć to grubą kreską, ale wyszły z tego brednie. Wbrew nadziejom autorów, turystów nie przyciągały ani szara architektura nadbrzeżna Glamsgallow, ani proste, kamienne ściany kościoła w Ettinsford, ani hala rybna w Gurmont, której malowane sufity z ludźmi i zwierzętami morza, oddanymi kiepskawo w stonowanych barwach oceanu, z beznadziejnym optymizmem przyrównywano do sklepień Kaplicy Sykstyńskiej.

Nie należało też liczyć na krajobraz, chociaż czasem robił wrażenie. Inne turystyczne wyspy miały bardziej malownicze linie brzegowe niż St. Hauda's Land. Ten archipelag najlepiej potrafił tylko zaprezentować zdradliwość morza. Ida zastanawiała się, kiedy narysowano mapę przewodnika, bo całe plaże tam ukazane teraz przygniatał ciężar wody. Imponująca naturalna wieża skalna, zwana Grem Forst — miejscowi mówili na nią Latarnia Olbrzyma — została opisana kwiecistą prozą jako główna atrakcja. Morze jak drwał wzięło się do dzieła, wcinając się w skałę toporem z fal. Pewnego wieczoru, gdy nikt tego nie widział, latarnia się przewróciła. Popękała na rząd głazów wystawiających obłe lica z wód przyływu.

W głębi archipelagu wycieczkowiczów mogłyby przyciągnąć tylko śmierdzące bagna i mizerne laski. Ida wątpiła, czy wyspy wyżyją z takiej

turystyki. Przeciwnie, przewodnik powinien ostrzegać, że jest jedna rzecz, której należy starannie unikać.

Samotność. Na St. Hauda's Land za żadną cenę nie znajdzie się towarzystwa.

Dziwny był ten chłopak z aparatem. Miał taką wyrazistą urodę: wstydliwie przygarbiony, z bladą skórą napiętą na kościach, nie to, że brzydki, ale na pewno też nie przystojny. I wyraźnie wycofany, żeby nie stwarzać problemów, nie przyciągać uwagi.

No tak; fotografowie chcą, żeby człowiek zachowywał się naturalnie, jakby nie było ich ani aparatów.

Spodobał się jej.

Zawahała się, stawiając kolejny, ostrożny krok na ścieżce wzdłuż rzeki. Było więcej pilnych spraw niż jeden stuknięty wyspiarz. Na przykład odnalezienie Henry'ego Fuwy, jej pierwszego stukniętego wyspiarza.

Henry Fuwa. Nad takimi jak on można się albo litować, albo z nich drwić. Widuje się ich w autobusie stojących przy jedynym wolnym miejscu, podczas gdy inni pasażerowie wołają postać w przejściu. Człowiek, dla którego przyjechała z daleka — stawiała czoło rozkołysanemu pokładowi promu i blaknącym kolorom — żeby go dopaść. Spośród wszystkich ludzi, których spotkała, odkąd zaczęło się dziać to, co się z nią dzieje, tylko Henry dał jej jakąkolwiek wskazówkę dotyczącą dziwnej transformacji zachodzącej pod buciorami i wieloma warstwami skarpet. Kiedy o tym mówił, nawet nie wiedziała, że to wskazówka, bo podczas tamtej letniej wycieczki mogła jeszcze przebierać palcami u nóg i wydłubywać spomiędzy nich piasek.

Wiatr poruszył gałęzmi jodeł. Wspomnienie wskazówki było jak kran kapiący w nocnej ciszy. W chwili, w której zatrzymasz kapanie, znowu zaczniesz nasłuchiwać.

Powiedział o tym w Barnacle, tym wstrętnym, małym pubie w Gurmout, pół roku temu, kiedy ziemia była spieczona na żółto, a morze miało kolor akwamaryny.

— Uwierzyłabyś — powiedział — że są tutaj szklane ciała schowane w wodzie na bagnach?

Wtedy by nie uwierzyła.

Noc zapanowała nad lasami. Cienie wydłużyły się i Ida ledwie widziała, gdzie kończy się ścieżka, a zaczynają korzenie. Półksiężyc jakby rozpływał się w chmurach. Zawołał ptak. Liście zaszeleściły między robakowatymi pniami. Coś potrząsało gałęzmi.

Kuśtykała w ciemnościach przed siebie, chciała już być w środku, zobaczyć kolory w domowym zaciszu. A jutro znowu będzie szukać Henry'ego Fuwy. Ale jak znaleźć samotnię w samotniczej dzicy?

TLR



**Po SPOTKANIU Z IDĄ** Midas wrócił niespiesznie do samochodu. Idąc, przesuwał zdjęcia zapisane w aparacie. Fotografie słupów światła wyszły doskonale, ale to już go nie interesowało. Oba zdjęcia Idy były koszmarne. Na pierwszym, tym na kamieniu, prawie całkowicie kryła się w cieniu. Na drugim, kiedy ostrożnie szła ścieżką, wyglądała nieciekawie, i jeszcze te niezgrabne buty. Zanim wrócił do domu, w Ettinsford, usunął wszystkie jej fotografie.

Ettinsford to jedno z nielicznych osiedli na St. Hauda's Land, którego populacja zmniejszała się, ale nie spadała do zera. St. Hauaa's Land zawsze zamieszkiwały rody wielorybnicze, odkąd — jak mówiono — zmęczony święty Hauda wsadził laskę do wody w Longhem i został nagrodzony tłustym cielskiem młodego narwala, którego mięso usmażone na ognisku uchroniło jego misję od głodu. Po wprowadzonym dziesięć lat wcześniej zakazie połowu wielorybów stare rody zaczęły opuszczać nabrzeże. Miasteczka pustoszały. Drogi zbudowane na zboczach schodzących z obu stron od lasów prowadziły stromo w dół do wielkiego obszaru wody. Brzegi zaprojektowano jako parki nie z potrzeby terenów zielonych, ale w związku z regularnie powtarzającymi się powodziami. Po drugiej stronie rzeki lesiste zbocze stromo wznosiło się w górę. Żadna próba zbudowania tam czegośkolwiek się nie powiodła. Ziemia podszyta korzeniami ustępowała pod cegłą i zaprawą. Zsuwała się i wpadała z pluskiem do wody.

W mieście były spożywczy, rybny i garstka specjalistycznych sklepów otwartych nieregularnie, bo handel w Ettinsford odbywał się głównie w dni targowe, a właściwie tylko w dni targowe. Poza tym stały tam dwa kościoły. Jeden, pobielana rudera, ulubiony przez matkę Midasa, zanim przeprowadziła się do Martyr's Pitfall, i drugi, stara kamienna kaplica pod wezwaniem Świętego Haudy.

Midas popchnął furtkę na podwórko i poszedł ścieżką do wąskiego domu, zbudowanego z łupka. Zima wytlukła wszystkie chwasty, ale po drodze skopał ze ścieżki pokrzywę. Poklepał kieszenie w poszukiwaniu klucza. Wszedł prosto do kuchni, włączył czajnik i opadł na jedno z drewnianych krzeseł. Na białym stole widniały kręgi po kawie. Od dołu zwisały

bloczki kartek z klejem, jak guma do żucia pod ławkami w szkole. Były pod ręką, kiedy chciał przykleić zdjęcie. Żałował, że nie wyszło mu doskonałe zdjęcie Idy.

Ściany kuchni wyglądały jak żywoplot z czarno-białych fotografii. Krajobrazy, obcy, ukochani. Zdjęcie człowieka, który próbuje jechać na rowerze bez kół, podwórkowa kotka karmiąca nowo narodzonego pitbulla, płonąca łódź, golas wbiegający na arenę do walki byków. Jedno zdjęcie przedstawiało jego samego. Włosy unosiły mu się jak skrzydło kruka na wietrze. Właśnie pomagał matce wejść na oblodzony pagórek. Było też inne zdjęcie matki; wisiało przy jedynej fotografii ojca. Kiedyś, za pomocą komputera, połączył ich i sprawił, żeby wyglądali na szczęśliwych. Nie mógł tego uczynić w życiu.

Czajnik zagwizdał i wyłączył się z pstryknięciem. Midas wstał, znalazł ekspres do kawy i opłukał popękany biały kubek. Potem ukucnął przy lodówce, żeby z zamrażalnika wyjąć kawę.

Denyer przykleiła do drzwi lodówki jeden ze swoich rysunków przedstawiających narwala. Zamknął oczy i głęboko nabrał powietrza. Prosił, żeby niczego nie przyklejała. Nadal to robiła. Trudno było się na nią złościć, skoro dopiero co zaczęła siódmy rok i zadała sobie tyle trudu, żeby narysować dla niego takiego pięknego narwala. Ale czasem Midas podejrzewał, że życie to film z podprogowymi przesłaniami. Sprawy toczą się przewidywalnym rytmem, aż tu nagle przebija się przez nie jakieś straszne wspomnienie z dzieciństwa. Był w kuchni. Znalazł ekspres do kawy. Miał już otworzyć drzwiczki do zamrażalnika. I wtedy znalazł list pożegnalny ojca na drzwiach innej lodówki, jakieś dziesięć, dwanaście lat temu.

Ostrożnie odkleił rysunek Denver. Odwiedzała go czasem i sama wchodziła do domu. Miał nadzieję, że w szkole dobrze się jej wiodło, a inne dziewczyny tego dnia nie były wobec niej okrutne.

Nasypał kilka łyżeczek kawy do ekspresu, potem nalał wody.

Zaskoczyło go coś, co kojarzyło się z Idą. Nie tylko jej buciory, włosy, twarz. Coś dziwnego... coś, co sprawiało, że prawdziwa Ida była bardziej atrakcyjna niż ta ze zdjęć.

Starego typu fotografia mogłaby rozwiązać ten problem.

Gdyby miał drugą szansę, żeby sfotografować dziewczynę, na prawdziwej błonie filmowej, wyszłoby dobre zdjęcie. Na pewno. Aparat cyfrowy osłabiał jego talent. Gdyby tylko mógł zrobić Idzie jaśniejsze zdjęcie; rozstawić lampy, blendę, wszystko co trzeba.

Zanurzył filtr w ekspresie. Kawa zawirowała.

Ale Ida byłaby towarzystwem, a on trzymał się z dala od towarzystwa. Co Nowy Rok powtarzał to postanowienie i szkoda mu było złamać je teraz, w grudniu. Poza tym brakowało mu nietkniętych czułych strun, żeby miał pozwolić komuś na nich zagrać. Odkąd rozszedł się z Natashą — dawno temu — był czysty, samotny. Przypadkowe popołudnia z Denver i jej tatą Gustavem. Wieczory spędzane wyłącznie z aparatem.

Aparat leżał na stole, z tymi kiepskimi zdjęciami w środku. Midas zdjął osłonę obiektywu, żeby wyczyścić soczewkę. Szkło zalśniło.

Lubił być sam.

**PÓL ROKU WCZEŚNIEJ IDA ZOBACZYŁA HENRY'EGO FUWĘ**, jak sadił susami przez brukowaną drogę. Wtedy go nie znała, nie znała nikogo na St. Hauda's Land. Po prostu turystka ciesząca się letnim słońcem. Na pewno wiedziała tylko, że nastąpi zderzenie. Henry Fuwa był tak skupiony na szkatułce, że nie podniósł głowy, by się rozejrzeć. Zadyszany rowerzysta jechał pod górę od strony morza; wrzasnął, hamulce zapiszczały, a koła zatrzęśły się na kocich łbach. Uderzenie wyrzuciło go z siodła, rower przewrócił się z brzękiem na drogę, przednie koło zawirowało. Henry bez tchu runął na plecy. Szkatułka poleciała w powietrze, odwróciła się i otworzyła. Próbował ją złapać, upadła na ziemię, wieczko wyrwało się z zawiasów, a zawartość wpadła do rynsztoka.

Ida rzuciła się do przodu, żeby sprawdzić, czy obu mężczyznom nic się nie stało. Henry włożył z powrotem wielkie okulary i popęzł w stronę rozbitego pudełka, ale zanim zdołał dotrzeć do rozrzuconej zawartości, rowerzysta, który podniósł się z jękiem, pociągnął go za kołnierz do góry i warknął:

— Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Ida chciała pomóc, ukucnęła, żeby wyjąć przedmioty z rynsztoka. Małe gniazdko z trawy, kwadratowy kawałek jedwabiu i jakiś zasuszony chrząszcz, którego podniosła dwoma palcami.

Miał motyle skrzydła, jak płatki wymodelowanego wosku. Pod skrzydłami włochate ciało z małymi różkami. W gorących promieniach letniego słońca futerko wyglądało na bardzo suche. Miał główkę jak wół, nie większą od jej paznokcia, i różową mordkę wykrzywioną w grymasie. I białą plamkę między nozdrzami. I okropną bliznę na dolnej wardze.

W ciałku wyczuwało się ciepło i bicie serca, jak u dopiero co wyklutego pisklęcia.

Pokręciła głową i się opanowała. Nie czuła już bicia serca. Musiała to sobie uroić. Ciepło oddechu chrząszcza na palcach i obracające się w oczodołach oczy też pewnie sobie uroiła. To jakaś zabawka, ozdóbka.

Przestraszona podniosła wzrok, kiedy usłyszała krzyk żalu. Henry Fuwa odpychał rozzłoszczonego rowerzystę i parł w jej stronę. Wyrwał Idzie ozdóbkę z rąk i schował w zamkniętej dłoni. Schylił głowę ze zmierzwiionymi włosami. Nogi ugięły się pod nim, ukłęknał na kamieniach ulicy. Łzy spływały mu po soczewkach okularów jak krople po szybie. Rowerzysta ostro ruszył w drogę. Henry Fuwa pozbierał rozbitą szkatułkę i włożył do niej ozdóbkę. Szarpał się za brodę, jęczał, bił pięściami w jezdnię. Ramiona skakały mu w dół i w górę tak mocno, że aż drżały kręgi w wygiętej szyi. Jakaś kobieta ominęła go szerokim łukiem i pospiesznie się oddaliła, ale Ida, nie wiedząc, co zrobić, przykucnęła i położyła mu dłoń na ramieniu.

Na drodze zapanowała cisza, słychać było tylko odgłosy odległego morza, tupot mewich łapek i pochlipującego Henry'ego Fuwę. Nawet kiedy klęczał, wyglądał na wysokiego mężczyznę. Domyślała się, że miał pod pięćdziesiątkę. Otaczał go raczej przyjemny zapach, jakby wilgotnej ziemi.

Ida spojrzała na drogę, na szyld pubu Barnacle, z wymalowanym wrakiem statku. Ścisnęła Henry'ego za ramię.

—Już dobrze — uspokajała go — już dobrze. Może byś wstał? Wejdziemy do środka? Postawię ci drinka.

—Nie żyje — wymamrotał.

Wzięła go pod ramię i pomogła mu stanąć na nogi. Poprowadziła go, jak małego chłopca, do pubu.

Kiedy rezerwowała wakacje na wyspach, na tym małym archipelagu pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od kontynentu, wzięła dwa bilety na prom, dla siebie i dla swojego chłopaka. Potem on ją rzucił. Został jeszcze tydzień, rezerwację zrobiła na swoje nazwisko, zapowiadano wspaniałe, letnie słońce, więc mimo wszystko pojechała. Lubiła wyciągać nogi na hotelowym łóżku, wyginać palce u stóp o rogi materaca. Pewnie i tak nie miałyby jakichś bardzo intymnych stosunków, gdyby jej chłopak znalazł się tutaj. Jego matka była kaznodzieją, a ojciec policjantem. Pierwsza rozmowa zaczęła się od tego: jak sobie radzić, kiedy rodzice reprezen-

tują nie tylko władzę domową, ale także państwową i duchową. Jej własny tata był gliniarzem i laickim kaznodzieją, więc rozumiała chłopaka. Matka, dzięki Bogu, miała w sobie coś z przemytnika, co pozwoliło Idzie ominąć wynikające z posłuszeństwa zahamowania, z którymi zmagał się jej chłopak. Wystarczyło wypowiedzieć przy nim „seks”, a cofał szyję jak żółw chowający się do skorupy. Zgrzytał zębami, spuszczał wzrok.

Z poczuciem winy stwierdziła, że nie tęskni za nim, tak samo, jak w ogóle za towarzystwem. Na wycieczkach zwykle szybko znajdowała osoby podobne do siebie. Uwielbiała prowadzić z nimi długie pogawędki i nawiązywać nowe znajomości. Na St. Hauda's Land zastała wyłącznie ostrożnych, skrytych ludzi, uprzejmych, ale zamkniętych wobec obcych. Wieczorami miasteczka i wioski pustoszały, ogarniała je śmiertelna cisza, ale tak daleko na północy letnie słońce długo nie zachodziło, a nawet potem światło nie kwapiło się z odejściem. W letni dzień mnóstwo czasu spędzało się samotnie.

W pubie zaprowadziła Henry'ego Fuwę do stolika w rogu z podkładką poznaczoną wyschniętymi plamami po piwie. Usadziła go na stołku i zapytała, czego by się napił. Wzruszył ramionami.

—Daj spokój — powiedziała. — Ja stawiam.

—Hm... — Wytarł oczy nadgarstkami. — Dżin, jeśli można. Po prostu jeden mały dżin z lodem.

—Jak się nazywasz?

—Henry Fuwa.

—Miło mi cię poznać. Jestem Ida MacLaird.

Wytarł okulary o sfatygowany sweter.

—Jesteś bardzo uprzejma.

Gospodyni Barnacle oparła jedno sflaczałe ramię o bar, a drugim gestykulowała w rytm niewyraźnych słów wypowiedzianych pod adresem dwóch stałych gości. Stali goście siedzieli na stołkach przy barze, ubrani w krótkie spodnie i identyczne czerwone skarpetki wyszywane w białe kotwice. Na ścianach, w chronologicznym porządku, wisały zdjęcia drużyny piłkarskiej St. Hauda's Land na przestrzeni wieków. Zrobiona w sepii grupa wą-



satych dżentelmenów w filcowych czapkach przechodziła z latami stopniową metamorfozę w zbieraninę szczerbatych chłopaków o nastroszonych fryzurach, ubranych w klubowe jasnobłękitne pasy.

Szafa grająca dźwięczała gitarowymi solówkami z lat siedemdziesiątych. Ida pomyślała, że niektóre nagrania brzmią bardzo staro, złapanie jak muchy w słój pubu. Zepsuta klimatyzacja chrypiała za barem, nie dając sobie rady z dusznym latem. Ida zerknęła za siebie, na stolik, przy którym bez ruchu siedział Henry Fuwa, opierając opuszczoną głowę na dłoniach.

Zastanawiała się, jak jej były zareagowałby na stawianie drinków dziwakom z ulicy.

Czasami żałowała, że nie ma takiego zepsutego gustu, przyciągającego dupków, którym zależy tylko na jednym. Znać ten typ facetów, tę rasę brutali o byczych karkach, którzy przez cały tydzień noszą tę samą bluzę piłkarską. Tacy instalują zdjęcia ekskluzywnych modelek jako wygaszacie w komputerach i mają chęć tnajdrować sobie w spodniach za każdym razem, kiedy wygaszacz się pojawia.

Nie, nie próbowała nawiązać romansu. Ten facet miał prawie tyle lat, ile jej ojciec. Czekać na dzin dla Henry'ego, upiła długi łyk piwa.

Nie była z takich dziewczyn. Raczej — czasem wydawało się, że jest to poza jej kontrolą — starała się zdobyć facetów całkowicie zdezorientowanych co do tego, kim są i co ich wiąże z tym światem.

Kiedy po raz pierwszy wywabiła swojego chłopaka do restauracji, to było wszystko, co mogła zrobić, żeby otrząsnąć go z marzeń. Skończyło się tak, że zaczął gadać bzdury, jaka z niej księżniczka, bogini, a nawet pewnego razu nazwał ją „pieprzoną syreną”.

A teraz odszedł. Był dla niej zbyt introwertyczny, tak powiedział, głośno przelękając ślinę między słowami. Słodki idiota. „Dziewczyna taka jak ty nie powinna włączyć się z chłopakiem takim jak ja. Martwi mnie, że cię blokuje”.

Zaniosła drinki do stołu. Henry Fuwa już się trochę uspokoił. Potarł nos rękawem.

—A więc — zaczęła — jesteś gdzieś z okolicy?

—Mieszkam kilka kilometrów stąd. Ale owszem, na St. Hauda's Land.

—Sam zrobiłeś tę ozdóbkę? Dlatego jesteś smutny, że się popsuła? Założę się, że wymagała mnóstwa pracy.

—Nie. Szkatułka na klejnoty należała do mojej matki.

—Chodzi mi... o tę figurkę w środku. Ty ją zrobiłeś?

Wargi znów zaczęły mu drżeć.

—To była pozytywka, prawda? Taka szkoda. Ładna. Jak ci się udało przyczepić skrzydła do ciała tego małego byczka?

Przyglądał się jej przez chwilę, potem z przygnębieniem wzruszył ramionami.

—Wyhodowałem go.

—Słucham?

—Ale stało się coś bardzo złego. Lubią zlatywać nad wodę, na plażę. Trzymam je niedaleko stąd. Kiedy zdołają uciec, zawsze tam lecą. Przyciąga je sól albo coś związanego z oceanem. Rozumiesz, są bardzo lekkie. Mogą unosić się na wodzie jak ta muszka owocówka w twoim piwie.

Widok owada machającego bezradnie wszystkimi sześcioma odnóżami w rozpuszczającej się pianie sprawił, że na chwilę zapomniała o swoim niedowierzaniu.

—Ale wczoraj... był przyływ. I na mieliznach pływały meduzy. Byczek z tego pudełka osiadł na wodzie i, jak mówiłem, one uwielbiają... — Przejechał ręką po włosach i z pobladłą na popiół twarzą zaczął się wpatrywać w dżin.

Wyłowiła muszkę i otarła palce o podkładkę pod piwo.

Znowu podniósł wzrok.

—Został... oparzony... Ludzie nie zawsze wracają do zdrowia po ataku meduzy, więc jaka jest nadzieja dla byczka ze skrzydłami ćmy? Moją ostatnią deską ratunku była klinika na brzegu, zbudowana dla ratowania ofiar meduz. Musiałbym się tłumaczyć ze wszystkiego, ale...

Niezręcznie siorbnał dzinu i oblizał szklanke.

Nie wiedziała jeszcze, czy Henry kłamie — żeby zrobić na niej wrażenie? — czy po prostu świruje. Z szafy grającej popłynęła ostatnia melodia — nudna i słodka piosenka miłosna. Ida napiła się piwa.

—Rozumiem... że ten byczek ze skrzydłami ómy... był jedynym, jaki istniał?

—Nie. Jest ich sześćdziesiąt jeden. Wszystkie w mojej zagrodzie. Przepraszam... teraz tylko sześćdziesiąt.

—To... niewiarygodne.

Zdawała sobie sprawę, że mógł jej zarzucić niedowiarstwo. Ponuro wzruszył ramionami.

—Jedzą, srają i zdychają jak wszystko, co żyje.

—I tylko ty jeden na świecie wiesz o ich istnieniu?

—To moja tajemnica. — Upił dłuższy łyk dzinu, zamrugał, skrzywił się.

Zastanawiała się, kiedy ostatnio pił i czy nie jest całkowicie pijany. Nachylił się nad stołem z powagą, jak włóczędzy, których widywała w areszcie policyjnym taty.

—Uwierzyłybyś, że w lesie jest zwierzę, które zamienia wszystko, na co popatrzy, w czystą biel?

Westchnęła.

—Nie, nie uwierzyłabym.

Odchylił się i podrapał w brodę. Potem znów spróbował się nachylić.

—Uwierzyłybyś, że są tutaj szklane ciała, schowane w wodzie bagien?

—Nie. Masz czarne włosy i zdrową cerę, jakoś nic ci nie zaszkodziło.

—Nie rozumiem... Aha, czekaj. Nie powiedziałem, że mnie zobaczyła.

Patrzyła, jak Henry z niechęcią mruży oczy, dopijając dzin. Przytknął dłoń do czoła i pogroził palcem.

—Postawiłaś mi podwójnego drinka.

—Co to za zwierzę?

—Jest cała biała, jak można by się spodziewać, poza tyłem głowy, którego nie da rady zobaczyć.

Ida zdążyła wypić zaledwie kilka łyków piwa w czasie, gdy on osuszył swoją szklaneczkę.

—Jaki kolor ma tył jej głowy?

—Niebieski.

Uśmiechnęła się słodko.

—Z czego żyjesz, Henry?

—Jestem zbyt zajęty tymi... — Zacisnął usta i nagle całkiem j otrzeźwiał.

— Jasne. Uważasz mnie za świra.

—Nie o to chodzi...

Wstał, pogrzebał w portfelu i położył na stole stosik monet za dżin.

—Ja fundowałam — przypomniała Ida.

Wyszedł z pubu. Była zła na siebie, po chwili wybiegła za nim, zostawiając monety, ale nigdzie nie zauważyła go na rozgrzanej ulicy. Białe mewy dziobały resztki ryb i frytek, połykając je razem z pogiętymi polistyrenowymi tackami. Przez chwilę myślała, że najbielsza z nich ma białe oczy, ale to tylko gra światła.

**Z SAMOLOTU TRZY GŁÓWNE WYSPY ARCHIPELAGU** St. Hauda's Land wyglądały jak rozgnieciony owad z wybałuszonymi oczami. Tułowiem była Gurm Island, cała z mokradeł i lesistych pagórków. Szyję stanowił naturalny akwedukt z wywietrzałymi łukami, przez które przelewało się morze. Prowadził do oczu — wysokiego, ale ospałego wzgórze Lomdendol Tor na Lomdendol Island. Według lokalnych wierzeń z niego powstał St. Hauda's Land. Nogami było sześć skalnych ostróg wystających z południowo-zachodniego wybrzeża Gurm Island. Morze wpadało w pułapkę piaszczystych zatoczek, rozciągających się między nimi. Skrzydła to poszarpana wiatrem flotylla niezamieszkanym granitowych wysepek na północy. Żądło ogonie — sierpowata Ferry Island na wschodzie; a staromodne miasteczko Glamsgallow było kropelką trucizny zwisającą z koniuszka żądła.

Glamsgallow szczyciło się jedynym na St. Hauda's Land lotniskiem, ale większość samolotów przelatywała nad innymi osiedlami i mijała wyspy, zanim zakręciła, żeby wylądować. Na północ od Gurm, niedostępne dla zwiedzających, znajdowało się Enghem, prywatna posiadłość Hectora Stallosa, miejscowego milionera. U stóp Lomdendol Tor zbudowano Martyr's Pitfall, miasto starszych ludzi. W niedzielne popołudnia, kiedy cień skalistego wzgórze Lomdendol pokrywał budynki i ulice, pary wylegały z domów starców, żeby się przejść i usiąść na malowniczym cmentarzu. Dla kontrastu Gurmont przyciągało młodzież i nocnych marków. Tysiące świateł mrugało na nadmorskim bulwarze, od oszalałych błysków maszyn do hazardu i szaf grających po reflektory, które krojąc niebo, rzucały na chmury rywalizujące reklamy dwóch obskurnych nocnych klubów.

Za Gurmont nagle zaczynały się lasy. Zagubieni balangowicze, szukający nadmorskiego bulwaru, trzeźwili w mgnieniu oka, kiedy nocą wpadali pod sklepienia lasu. Podobnie jak ludzie, którzy jadąc w głąb lądu, pomiędzy drzewami zaczynali być świadomi ryku silnika swojego samochodu. Wyłączano radia, zawieszano rozmowy. Las był jak śpiący potwór — lepiej obchodzić go na paluszkach.

A w sercu lasu przycupnęło Ettinsford, gdzie liście i suche gałęzie gnały z wiatrem ulicami. Drogi zanikały za miastem, jakby ich budowniczych zwiedziono z obranego kierunku. Rzeka w Ettinsford była w istocie cieśniną, najwęższym punktem w przełomie między wyspami Gurm a Ferry. W wodach tkwił stary most z kamienia. To tutaj — jak głosiła miejscowa legenda — święty Hauda został przeniesiony z jednego masywu lądowego na drugi przez stado stu jeden wróbli.

W Ettinsford, w kwiaciarni Catherine's zadzwieczał dzwonek, kiedy Midas otworzył drzwi.

Gustav wytarł kropelkę majonezu z warg i podniósł wzrok. Miał czerwoną twarz i czerwone włosy, ale linia włosów cofała mu się szybciej niż powinna u mężczyzny tuż po trzydziestce. Koktajlowa pałeczka spinała gruby, klubowy sandwich leżący na jego biurku. Trzy kromki chleba razowego, plasterki bekonu i pół słoika majonezu. Midas wyczuwał to przez zapach pyłku kwiatowego.

—Cześć — powiedział, przecierając oczy.

—Cholera jasna. — Gustav przełknął przeżute kęsy. — Wszystko w porządku?

Midasowi włosy na głowie stały dęba, pod oczami miał worki. Czuł się tak, jakby całe jego ciało miało się zapaść.

—Źle spałem.

Gustav zawinął kanapkę kawałkiem folii i wytarł ręce w stary papier do owijania bukietów.

—Co jest? Zamierzasz chorować i pójść do łóżka? Denver coś złapała. Do końca tygodnia pewnie nie pójdzie do szkoły. — Zmiał papier, którym wycierał ręce, i rzucił do kosza. Strzał był za długi i papier zniknął w gęstwinie morskich ostrokrzewów z królewskimi, błękitnymi koronami. — Cholera. Wstał i wbił się między ostrokrzewy, szukając śmiecia. Znalazł i rzucił do kosza. Wracając za biurko, klasnął w ręce. — Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? Upiłeś się? Nareszcie miałeś dobrą noc?

Midas bawił się koroną lilii.

—Nie mogłem zasnąć.



Gustav wyjął z szuflady podkładkę pod dokumenty, której używali przy dostawach.

—Ale jest coś jeszcze, prawda?

Midas zawahał się, ale przecież od dawna byli przyjaciółmi.

—Dziewczyna.

Gustav rzucił podkładkę.

—Powtórz.

—Spotkałem tę dziewczynę wczoraj i ona...

—To wspaniale! Po cichu martwiłem się, że...

Midas gwałtownie zamachał rękami.

—Nic takiego, wiesz... to nie było romantyczne spotkanie. Nie dlatego o tym powiedziałem. Po prostu...

Gustav uśmiechnął się z podekscytowania.

—...po prostu było w niej coś niezwykłego — dokończył Midas.

—Cholera, musiało być, żeby Midas Crook nie spał całą noc.

—Nosila jakieś buciory. Wielkie jak ten wazon. — Postukał w naczynie. — Niebieskie i wysokie.

—Czyli... ma grube kości?

—Właśnie. Jest mniej więcej mojego wzrostu. I prawie chorobliwie chuda.

Gustav się speszył.

—Ale to chyba nie jedna z tych dziwacznych, modnych lasek z kontynentu...

—Nie. Nie sądzę. Owszem, przyjechała z kontynentu, ale nie była dziwna, nie licząc tych butów. Gustav, wiesz coś o chorobach stóp?

Nie wiedział, chociaż wymienił kilka nazw: ścięgno Achillesa, stopa atlety, grzybica paznokci. Żadna z nich nie pasowała do Idy.

Zabrali się do pracy. Midas rozwoził bukiety po mieście i cały czas myślał o Idzie. Tuż po południu wrócił, strząsając z kurtki krople deszczu. Gustav siedział za biurkiem, przy telefonie. Jedną rękę trzymał przy czerwonym czole. Ponuro podniósł wzrok, kiedy zabrzmiał dzwonek u drzwi.

—Tak, okej — rzucił. — No, to na razie.

Słuchawka stuknęła, kiedy ją odłożył. Wydał policzki, westchnął i przejechał dłońmi po rzednących włosach.

—Midas, co robisz w sobotę?

—Potrzebujesz mnie w pracy?

—Nie. Moja teściowa znalazła jakieś stare pudła z rzeczami po Catherine. Pytała, czy je zabiorę.

—A ona ich nie chce?

Gustav wzruszył ramionami.

—Nie. Ale może wyrzucić. Powiedziałem, że wezmę wszystko.

—Jedziesz w sobotę na kontynent?

—Tak.

—I mam zaopiekować się Denver?

Gustav skinął głową.

—Tylko rano, jeśli nie utknę w korkach. Nie chcę zabierać jej z sobą. Cały będę zapłakany.

Trzy lata jak jeden dzień. Siedzą w samochodzie Gustava z zimną kawą w plastikowych kubkach od termosów. Zielone neonowe kurtki sanitariuszy.

Widać Gustav też to zapamiętał. Po dłuższej chwili odepchnął krzesło, wstał i powlókł się do kurka na zapleczu. Odkręcił. Woda zaczęła dudnić w konewce.

I co to się stało? Zaledwie osiem lat po tym, jak Midas był drużbą, a kołnierzyk wrzynał mu się w spoconą szyję. Bawił się obrączką w pudełku

— tak łatwo ją zgubić, trzymając w kieszeni — i patrzył, jak obrzydliwy fotograf weselny wszystko robi źle i wtedy... o władnęło nim to, jak pięknie wyglądała Catherine i ta biel jej sukni ślubnej.

Przyjaźnili się z Gustavem od dzieciństwa, kiedy mieszkali na przeciwnych końcach tej samej ulicy. Gustav był dzieckiem z nadwagą, bez ambicji, bardziej zainteresowanym naklejkami z piłkarzami niż odrabianiem prac domowych, ale miał kilka lat więcej niż Midas i to czyniło go nieocenionym przyjacielem dla nieulubianego dziwaka, którego na boisku szkolnym przezywano Krukas. Niezliczone razy, sam wzrost i masa większego, starszego chłopca ratowały drobne na lunch w portfelu Midasa albo jego skórę od ciosów innych dzieci. Nawet kiedy Gustav opuścił szkołę — przy pierwszej nadarżającej się okazji — i zaczął zarabiać na utrzymanie, przychodził po godzinach, żeby zająć się Midasem w drodze do domu i ze znanstwem opowiadać młodszemu chłopcu o ligach piłkarskich. Tego tematu Midas nigdy nie potrafił zrozumieć. W zamian z uwagą wysłuchiwał romantycznych lamentów Gustava i głupiej gadaniny o wypaleniu się i kryzysie w wieku zaledwie dwudziestu lat.

Potem Gustav się zakochał. Midas martwił się, że to już koniec przyjaźni, tymczasem zyskał drugiego przyjaciela w swoim młodym życiu. Catherine, błyskotliwa i ambitna, od niedawna właścicielka miejskiej kwiaciarni. Gustav pracował w kiosku przez pięć lat od opuszczenia szkoły. Nie zdobył tam szerokiej wiedzy z zakresu botaniki, ale z braku innych chętnych dostał pracę w kwiaciarni. Przez dwa lata, między falistymi południowoafrykańskimi liliami i jaskrawożółtymi arktycznymi makami, Catherine powoli pokochiwała Gustava. On zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Denver przyszła na świat dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Pobrali się zaraz po tym, jak Catherine się dowiedziała, że jest w ciąży, i przez krótki czas ich dom był najcieplejszym, najbardziej przyjaznym miejscem, jakie Midas mógł sobie wyobrazić na St. Hauda's Land.

Gustav skręcił sznurek z rafii.

—Mógłbym zadzwonić, przygotować grunt i szybko załatwić sprawę. Z góry przepraszam, gdybym wrócił późno. Wiesz, jaka gaduła jest z matki Catherine.

—Daj spokój. Uwielbiam zajmować się Denver.

Stali obok siebie w milczeniu. Midas przypomniał sobie, jak stali obok siebie nad ciałem Catherine, a policjantka nalegała, żeby powiedzieli to na głos, chociaż samo spojrzenie na ich twarze powinno wystarczyć. „Tak — wychrypiał Gustav — to ona”.

—Coś ci powiem. Słuchaj. Nie spieprz sprawy z tą swoją nową dziewczyną.

—Ale... Ona nie jest moją dziewczyną... Wczoraj spotkałem ją pierwszy raz. Utkwiła mi w pamięci przez te buciory. Wcale nie wydała mi się pociągająca. Jeśli już, to osobliwa. Jest krucha. Łatwo się łamie.

Gustav uniósł brwi. Midas poczerwieniał. Nie chciał nikomu ubliżyć.

Zadźwięczał dzwonek nad drzwiami.

Midas poczuł skurcz w brzuchu. Kropla z kranu spadła do konewki.

Ida, z włosami przyklejonymi przez deszcz do głowy, weszła do kwiatarni. Niosła białą parasolkę wywiniętą na zewnątrz przez wiatr. Na czarnej, wełnianej sukience miała płaszcz do kolan. Jedną dłoń wycierała nos i policzki, drugą opierała na rączce laski.

—Dzień dobry — powiedział Gustav. — Czym mogę... — głos w nim zamarł na widok buciorów — ... służyć? Coś dla pani?

Zaczerwieniła się.

—Tak tylko wpadłam. Żeby spotkać się z Midasem. — Pokazała na drzwi. — Rozpoznałam nazwę na szyldzie. Catherine's. Hm. Cześć, Midas. Pamiętasz? Powiedziałeś mi, że tutaj pracujesz.

Gustav bębnił palcami o stół, siedział sztywno wyprostowany.

—To świetnie. Doskonale. I co? Pójdziecie na kawę?

Zapadła cisza, wtedy na dworze zabłysnęło słońce, jeszcze jaskrawsze, bo ciągle padał deszcz. Na fasadach domów pojawiła się mokra poświata.

—Po prostu wpadłam... — wymamrotała Ida. — No wiesz... — Zebrała się w sobie. — Cóż. Chyba jesteście zajęci. Midas pracuje. — Pomachała do Midasa.

—Cz... cześć — odpowiedział.

—Właściwie dałem mu wolne na popołudnie — wtrącił się Gustaw  
Słońce zniknęło.

—Midas, chciałbyś... pójść na kawę? — spytała.

SKOŃCZYŁO SIĘ TAK, ŻE IDA PIŁA LEMONIADĘ, a Midas siorbał kawę Americano w kawiarni z zaparowanymi szybami i biało-czarnym telewizorem pomrukującym na ladzie. Przemokli na krótkiej drodze z kwaciarni do kawiarni — Ida kuśtykała powoli. Kiedy usiedli, mokre nogawki spodni przylepiły mu się do ud. To była typowa kawiarnia w Ettinsford, z wzorzystym dywanem i plastikowymi obrusami. Akwarele autorstwa miejscowego artysty przedstawiały miasto nie jako jamę z sypiącymi się murami, na co Midas miał utrwalone na kliszy dowody, ale jako kamienną cytadelę zalaną brzoskwińowym, nieprawdopodobnym światłem. Czy oczy malarza były inaczej zbudowane niż jego własne? Odsunął solniczkę i zatkany pojemnik z pieprzem, rozsiadł się i złożył na Idę cały ciężar rozmowy. Myślał o światłach panelowych i reflektorach fotograficznych. Ida zmieniła pozycję, żeby usiąść wygodniej, i Midas poczuł, jak buciór ociera się o jego but pod stołem. Zadrżał, jakby w nocy usłyszał łoskot. Wsunął nogi jak najdalej pod krzesło i zacisnął powieki.

Kiedy je otworzył, popijała lemoniadę i patrzyła na niego z zainteresowaniem. Próbował nie wpatrywać się w nią tak intensywnie. Worki pod oczami: ciemne jak sińce. Skóra cienka, z żyłkami, jak klej epoksydowy. Ale nawet mimo tego, że wyglądała chorowicie, warta była zdjęcia i potrudzenia się nad nim przy powiększaniu.

—Więc jak długo tutaj mieszkasz?

—Całe życie — wymamrotał Midas, patrząc na stół. Zastanawiał się, czy nie powinien być śmielszy. — A ty? Skąd jesteś?

— Sporo podróżowałam. Zatrzymałam się w domku przyjaciela matki, tuż pod Ettinsford. Pojechał na kontynent, na parę tygodni.

—Masz wakacje?

Pokręciła głową.

—Przyjechałam, żeby znaleźć kogoś, kogo kiedyś spotkałam na wyspach. Tylko że nie wiem, od czego zacząć poszukiwania. — Zamieszała lemoniadę czarną słomką. Bąbelki delikatnie się uniosły, a mgliste kostki lodu zagrzechotały.

—Przyjaciel mojej mamy, Carl... ten, w którego domku się zatrzymałam, powiedział, że wyspa jest tak kazirodcza, że prawie wszyscy o wszystkich wiedzą. Myślisz, że to prawda?

—Nie. Możesz się dowiedzieć, co sądzą o innych.

—Tak, to nie to samo. Carl nie wiedział, gdzie powinnam szukać.

Rzeczywiście. W tej okolicy było coś kazirodczego. Midas słyszał o trzech Carlach na wyspie i miał nadzieję, że żaden z nich nie jest przyjacielem Idy.

—Czym zajmuje się Carl?

—Jest profesorem filologii klasycznej.

Midas się skrzywił. Jego ojciec był profesorem filologii klasycznej.

—Ale nie jest zarozumiały, jak ci się zdaje. To bardzo dobry człowiek. Pracuje z archeologami, prowadzi badania, ciągle podróżuje. Pomagałam mu przy jednym projekcie, kiedy byłam nastolatką, a rodzice chcieli się mnie pozbyć na tydzień, dwa. Mnóstwo nurkowałam. Ostatnio robił coś przy grobli w Lomdendol. Wyobrażam sobie, że tam trzeba sporo nurkować.

Zaszeregował w myśli opis tego człowieka. Brzmiał kłopotliwie znajomo, ale rozmowy są jak maraton, bez względu na wszystko musisz biec naprzód. Szczególnie jeśli dyskutujesz z tak niezwykłą osobą, jak ona.

—Ty... lubisz nurkować?

—W dzieciństwie zdobywałam medale. Kiedy teraz o tym myślę, czuję się trochę zakłopotana... Przyniosłam jeszcze jedną fotografię, żeby ci pokazać.

Wyjęła z torebki popękane kolorowe zdjęcie. Ida w aparacie do nurkowania podnosi oba kciuki i uśmiecha się spoza neonoworóżowej maski. Ocean w de ma kolor niesamowitej ultramaryny. Midas nigdy nie widział takiego morza. Nawet latem wody wokół wysp były bardziej tajemnicze, nieprzezroczyste i szare.

—Med — wyjaśniła. — U wybrzeży Hiszpanii.

—Och. — Wyobraził sobie Idę opaloną przez piekące słońce Hiszpanii; zostawia ślady stóp w złotym piasku, uśmiecha się delikatnie ubrana tylko w neonowe bikini. Taki wizerunek ją psuł. Midas próbował skupić się na terażniejszości, na skromnym ubraniu dziewczyny, na eleganckiej, monochromatycznej cerze. — Rozumiem, że... teraz nie możesz nurkować? Ze stopami w takim stanie.

Pokręciła głową. Biało-czarny telewizor na ladzie stracił odbiór i wydał trzeszczący dźwięk, jak trzaśnięcie z bicia. Najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać o swoich stopach, ale nic innego nie przychodziło mu na myśl, żeby podtrzymać rozmowę. Przypadkowo siorbnął kawę i zrobiło mu się wstyd za ten bulgoczący dźwięk. W telewizorze znów pojawił się obraz. Prezenter odczytywał raport finansowy na temat rosnących cen udziałów w spółkach Hectora Stallowsa, osławionego na St. Hauda's Land jako „perfumiarz”, bo na zapachach zbił fortunę.

—A więc — podjęła, kręcąc słomką w szklance — ten człowiek, którego szukam... Jego ojcem był Japończyk. Na wyspie na pewno nie ma dużo japońskich nazwisk. Nazywa się Henry Fuwa.

Midas spojrział na jej ożywioną, fascynującą twarz i chciał zamienić się w falę, żeby móc odpłynąć.

—Hm? Słyszałeś o nim? Ma czarną czuprynę i gęstą, czarną brodę. Tyczkowaty. Grube okulary.

Midas zwiesił głowę. Spiker zaczął podawać prognozę pogody. W wyspiarskiej telewizji, z niewieloma programami, nadal przypinano wycięte z kartonu chmury do malowanej mapy. Midas zamknął oczy i przypomniał



sobie Henry'ego Fuwę w programie, który oglądał w wilgotne popołudnie przed kilkoma laty. Fuwa kucał nad brzegiem rzeki, nosił koszulę w kratkę i zniszczony kapelusz z szerokim rondem. Ubrany i usmarowany jak poszukiwacz złota, cichutki jak mysz polna. Patrzył szalonym wzrokiem w obiektyw, a na dole ekranu wyświetlało się jego nazwisko. Potem Midas przypomniał sobie hieroglify nihongo na wizytówce przy bukecie. Kwiatciarnia dostała zamówienie na białe-orchidee. Zapamiętał szok, trzęsące się ręce, kiedy w lewej dłoni trzymał napis nihongo, a w prawej adres, pod który należało dostarczyć kwiaty. Zlecenie dał pan Henry Fuwa.

Bukiet dla matki Midasa.

—To jak, słyszałeś?

Szybko pokręcił głową.

—No tak. Nikt nie słyszał. Spotkałam go w Gurmton, ale powiedział, że mieszka kilka kilometrów dalej. Nie miałam szczęścia w Gurmton, więc pomyślałam, że teraz kolej na Ettinsford.

—Nie sędzę, żeby tutaj mieszkał.

Westchnęła.

—Jakieś sugestie?

—Może na wsi.

—Wszystko tutaj to wieś!

Midas zebrał siły i się opanował. Podniósł wzrok.

—Dla... kogoś z kontynentu to może wyglądać jak wieś, ale ja nigdy, hm, tak nie myślałem o Ettinsford. Dla mnie to miasto. Na wsi jest sto cichych kątów, a w nich, z osobna, stoją domki.

—Ale nie sposób dojechać do nich wszystkich...

—Nawet nie znalazłabyś ich na mapie.

—Świetnie. — Zastukała palcami o blat. — Więc od czego zacząć? Mam tylko jego nazwisko i zapach.

Nie prosił, żeby rozwinęła myśl, ale nie musiał.

—Zapach torfu.

Midasowi zadrgały nozdrza, kichnął. Powiedziała to nonszalancko, ale wywołała... Ten zapach, z dzieciństwa, dochodzący z otwieranych pudełek. Czas dopić kawę i nigdy więcej nie spotykać się z Idą.

—Cóż... — Westchnęła. — To śledztwo prowadzi donikąd. Opowiedz mi o sobie. Musisz mieć bardzo silne związki ze swoją rodziną.

—Nie. — Wytarł czoło zadowolony, że rozmowa zeszła na inny temat. — A co? Dlaczego pytasz?

—Jeśli mieszkasz w Ettinsford od urodzenia, na pewno jesteś tu mocno zakorzeniony.

—Hm... — Tak naprawdę w niektóre noce leżał, nie spał i sam siebie pytał, dlaczego nie wyjechał. Zazwyczaj dochodził do wniosku, że jest tchórzem: za bardzo przypomina ojca. Ale co jakiś czas wydawało mu się, że to wyprowadzka byłaby tchórzostwem. Mógł wyjechać po śmierci Catherine, po śmierci ojca. Ale tu zostaliby Gustav i Denver. Matka...

Zamrugnął. Obraz bukietu od Henry'ego Fuwy czał się pod powiekami.

—Myślę, że chodzi o więzi.

—Rodzina?

—Moja matka mieszka pod Martyr's Pitfall. To niedaleko stąd. Ale jej nie widuję.

Uniosła brwi.

Napił się kawy.

—Uniesione brwi znaczą, żebyś mówił dalej.

—Och. Przepraszam. Cóż, to proste. Ja niewiele znaczę dla niej, a ona dla mnie. Najlepiej trzymać się od siebie z daleka.

—To straszne. Jak możesz mówić o tym tak otwarcie?

—Bo jestem szczery. Kiedyś było między nami więcej... Ale teraz ona żyje we własnym świecie. Gdybyś ją spotkała... To tak jak oglądanie zwie-

rzęcia w zoo. Czasem patrzy na ciebie bez wyrazu. Kiedy indziej chodzi po pokoju albo siedzi beczynn timer na tym swoim cholernym fotelu.

Bał się myśleć, co dzieje się w głowie matki, kiedy tak siedzi. Można było poznać po pustym wzroku i bezdźwięcznie poruszających się ustach, że odtwarza swoje życie.

Ida patrzyła na niego spokojnie.

—A twój ojciec?

Midas parsknął.

—No, dalej. Co z nim? Widujesz go? On widuje się z nią?

Pokręcił głową.

—To gdzie teraz jest?

Uśmiechnął się mimo przykrości, jaką sprawiło mu wspomnienie bukietu. Spodobała mu się myśl o tym, co powie za chwilę. Raczej nie wierzył w życie pozagrobowe, ale lubił sobie wyobrażać to i owo dla swojego ojca.

—Tam, gdzie nigdy nie przyzwyczai się do gorąca.

**W HAMAKU z MCHU, WIELKOŚCI ZŁOŻONEJ DŁONI**, zwisającym między zielonymi gałęziami spał byczek ze skrzydłami ćmy. Złożył papierowe skrzydła i zapadł w sen, klęcząc na wilgotnych pasemkach prowizorycznego łoża. Wokół, we wszystkie strony, po horyzont rozciągało się bagno, mozaika lśniącego torfu, brunatno-żółtej trawy i drzew, których pochylone pnie tworzyły niskie arkady. W cieniu siedziały ropuchy, samotnie albo jedna na drugiej. Ich gardła nadymały się jak różowe piłeczki. Zimowe słońce niczego nie ogrzewało. Gorąco dawały soczysta gleba i z rzadka pękające bańki śmierdzącego gazu.

Ropucha zarechotała i zniknęła w mętnej kałuży. Byczek, rozbudzony pluśnięciem, uniósł głowę i rozprostował skrzydła. Zanim poleciał, z nogami zwisającymi pod tułowiem, skrzydła zawirowały jak strony kolorowej książeczki. Przemykał od drzewa do drzewa, kluczył w tłumie brzęczących much i szybujących komarów.

Leciał przez jakiś czas, aż krzyki mew przebiły się przez szum nad mokradłem. Głazy śliskie od alg, jak łodzie wywrócone do góry dnem, znaczyły krajobraz, zamieniając bagno w królestwo skalistych stawów i leniwych strumyczków. Byczek zatrzymał się na jednym z granitowych szczytów, wachlował skrzydłami w promieniach słońca i chleptał wodę z zagłębienia. Potem ruszył przed siebie. Zapach wody morskiej dołączył do mieszaniny gazów. Kawałek dalej ląd nagle opadał i morze uderzało w urwisko. Szczytem klifu wracał do domu mężczyzna ubrany w wodoodporne spodnie i wellingtony.

Czasem przedstawiał się jako Fuwa — tak zwracano się do niego w Japonii — ale zwykle Henry było łatwiejsze, jeśli nawiązywał nową znajomość, co zdarzało się na tyle rzadko, że imię i nazwisko i tak nie miało większego znaczenia. Zbędne były też żyletki i pianki do golenia, szczotki do włosów, żelazka do ubrań i dezodoranty. Ale to nie znaczyło, że był stuknięty albo roztargniony. Okulary miał w idealnym stanie, bo jego praca wymagała dokładnej obserwacji maleńkich szczegółów. Przy rzadkich okazjach, kiedy kogoś poznawał, twarz spotkanego człowieka wypalała się w jego pamięci na całe miesiące.

Obok niego przeleciał byczek ze skrzydłami.

Z początku Henry nie wierzył własnym oczom. Chwycił się za głowę i patrzył, jak stworzenie lata.

—Co tutaj robisz?! — krzyknął, instynktownie wyciągając dłoń.

Byczek dotknął jego skóry. Był lekki jak balsa. Patrzył na niego obojętnie, rozprostowywał skrzydła i składał je wzdłuż małego, niebieskiego znaku na plecach.

Ostatnio ciągle uciekały z zagrody, mimo że rano i wieczorem, dwa razy sprawdzał zamknięcia. Wydostawały się, kiedy silny wiatr znad bagien zerwał dachówkę albo obluzował kawałek zaprawy, robiąc mały otwór. Tyle im wystarczało. Teraz odlatywały coraz dalej, narażając się na niebezpieczeństwo, czy to zabłąkane meduzy w morzu, czy to ciekawskie ropuchy, zmije lub nietoperze na bagnach.

Jego nieduży dom stał w pobliżu, na płaskiej skale, w bagnisku. Miał tam coś w rodzaju ogródka, mały kwadracik moczaru odróżniający się od reszty tym, że został otoczony płotem. Kwiaty wznosiły nisko przy ziemi korony białych płatków. Przy końcu ogrodu znajdowała się stara szopa pokryta łupkiem: zagroda dla bydła.

Patrząc w dal, widział na horyzoncie garb. Tam, na najdalej wysuniętym na zachód krańcu wyspy, wznosił się Lomdendol Tor. Geolodzy mówili, że w prehistorii był wulkanem. Jego erupcja dała życie wyspom, zamieniając ogień w ziemię.

Ta metamorfoza tkwiła w skałach St. Hauda's Land. W kamieniołomach rozbite na kawały głazy obnażały wnętrza przemienione w kwarc albo pokazywały skamieniałych więźniów. Morze wgryzało się w linię wybrzeża, modelując ją co rok od nowa. A w zakamarkach oraz szczelinach odbywała się transmogryfikacja nigdzie nieopisana. ..

Henry pobiegł truchtem po kamiennej dróżce ogrodowej, która służyła za schodki, kiedy deszcze przybierały na sile. Odsunął zasuwkę na drzwiach do zagrody, ale nie uchylił ich od razu. Byczek ze skrzydłami śmy przyfrunął za nim do domu. Henry znowu wyciągnął dłoń i zaczął wydawać gardłowe dźwięki, żeby uspokoić stworzenie. Usiadło obojętnie

na ręce. Henry przykrył je drugą dłonią. Poczuł werbel skrzydeł tłukących o skórę. Wśliznął się do zagrody i nogą zamknął za sobą drzwi.

W środku, z koryta służącego do karmienia bydła rozchodził się zapach karmy dla kurcząt. Drugie drzwi działały jako śluza powietrzna. Popchnął je plecami i wszedł tyłem do właściwej zagrody, gdzie w rogu stała latarnia na baterię. Oświedała rzędy klatek na ptaki ustawionych jedna na drugiej pod ścianami albo zwisających z sufitu jak ozdoby. Stado używało ich jako grzęd i legowisk, ale teraz były puste, bo wszystkie byczki śmigwały w powietrzu.

Wirowały jak chmura liści na wicherze. Sześćdziesiąt brązowych, szarych i kremowych ciałek leciało w kręgach wzdłuż ścian, unoszone na błyszczących, opalizujących skrzydłach. Henry wyrzucił w powietrze byczka, którego sprowadził do domu, żeby dołączył do pozostałych. Byczek, brzęcząc skrzydłami, wrócił do drzwi i kilkakrotnie uderzył o drewno. Henry zawsze się uśmiechał, kiedy potrzebowały jego pomocy. Szturchnął go delikatnie w stronę stada. Byczek błyskawicznie podleciał w górę i zniknął wśród pozostałych. Henry usiadł na stołku z trzema nogami, który zatrzeszczał pod jego ciężarem. Byczki ze skrzydłami mogą stać spokojnie na ziemi całymi godzinami jak uległe pospolite bydło na pastwisku, ale w powietrzu radują się potęgą lotu, a w ich krążeniu jest coś kalejdoskopowego. Patrzyłeś i widziałeś wzory, a po krótkim czasie wpadałeś w stan hipnozy i myśli trzepotały wokół ciebie. I myślałeś, że tak siedzisz i podziwiasz trzódkę od swoich młodych lat. Może robiłeś to już za długo?

Zdjął okulary, złożył je na kolanach i oparł się o ścianę zagrody. Zrobił wydech, zamknął oczy i zaczął przysłuchiwać się brzęczeniu i szelestowi skrzydeł stada.

Zaufał tylko jednej osobie, na tyle żeby świadomie odkryć tajemnicę byczków ze skrzydłami jak ćmy. Teraz widział twarz przypadkowo spotkanej dziewczyny. Ida MacLaird.

Dał się jej zaskoczyć. Kiedy rozbił szkatułkę, zaciągnęła go do Barnacle. Od czasu do czasu myślał z niepokojem o niej i o tym, że mogła komuś powiedzieć. Żałował, że wypadł z Barnacle jak burza. Wydawało mu się nieuchronne, że kiedy dziewczyna pojedzie w szeroki świat, będzie opowiadać przyjaciółom anegdoty o świrze, którego spotkała podczas wakacji. Często modlił się, żeby milczała, żeby dotarło do niej objawienie, gdzie-

kolwiek by była, że to delikatne bydełko jest prawdziwe, a jego istnienie powinno pozostać tajemnicą.

TLR



**MŁODA IDA MACLAIRD.**

Carl Maulsen spotkał się z nią tylko na krótko. Potem opuścił St. Hauda's Land, jakby porwała go burza. Mocno docisnął wypakowaną walizkę, żeby ją zamknąć. Pozdrowił dziewczynę głośnym „cześć” i objął niedźwiedzim uściskiem. Spostrzegł jej laskę i buciory — brakło czasu na komentarz: taksówka trąbiła na ulicy. Włożył klucz od domku w jej drobną, miękką rękę i zanurkował do taksówki, żeby jak najszybciej odjechać.

Ogarnęła go straszliwa panika, tylko dlatego, że zobaczył Idę. Jako człowiek dumny z tego, że sam wykuwa swój los, uważał za rzecz haniebną, kiedy wydarzenia spychały go z kursu. Nie potrzeba tragedii albo wojny, żeby zrobić zawirowanie w życiu człowieka. Wystarczą wspomnienia.

Pot wystąpił mu na czoło. Serce kołatało, a policzek swędziało od elektrostatyki wzbudzonej dotykiem włosów Idy, kiedy ją obejmował. Zaśmiał się, nie kryjąc zdziwienia reakcją własnego ciała, które w ciągu czterdziestu ośmiu lat zachowywało się w ten sposób tylko w bliskiej obecności ukochanej kobiety. Kiedy nogawki spodni przyklepiły mu się do skórzanego fotela taksówki, zrozumiał, że zapomniał spakować zimną krew. Trzymał w objęciach Idę, równie drobną jak Freya MacLaird.

Taksówka gnała pod konarami drzew. Patrzył na płataninę gałęzi i próbował się opanować. Wyjechali z lasu i zmierzali w dół wzgórza, do starego kamiennego mostu przerzuconego przez cieśninę między wyspami Gurm a Ferry. Fale maszerowały zaciekle w stronę otwartego morza.

Droga wiała się między rozległymi jeziorzyskami Ferry Island, pełnymi na wpół stopionego lodu oraz sitowia wysokiego i grubego jak młode drzewka. Zapach bagiennego gazu przenikał przez zamknięte szyby. Carl Maulsen zaczął uderzać pięściami o kolana.

Ida wyrosła i wyglądała dokładnie jak Freya. Kiedy ludzie mówią, że kobiety stają się takie jak ich matki, to mają na myśli tylko podobieństwo fizyczne, czy też dziewczyna może naprawdę stać się swoją matką? Czy kobieta opuszcza swoje dzieciństwo i zostawia je dla córki, jak używaną

sukienkę? Czy mężczyzna może dostać w ten sposób drugą szansę u dziewczyny? Walił się po nogach, żeby przestały się trząść. Nie miał takich dziwacznym pomysłów, dopóki Freya MacLaird żyła. Wiedział, że to nie logiczne, i starał się wyrzucić tę myśl z głowy. Ale ona cały czas wracała, kiedy droga okrążała łukiem bagna południowego wybrzeża i zbliżała się do miasta Glams-gallow spiętrzonego nad portem.

Na promie myślał o Freyi. W autobusie, na kontynencie, myślał o Freyi. W holu hotelowym, kiedy czekał na klucze, myślał o Freyi.

Rano poszedł na uniwersytet, na którym wykładał. Po pracy został zaproszony na obiad z winem. Potem profesorowie wrócili do gabinetów, a jego zostawili na przystanku autobusowym. Teraz czekał samotny przy szosie, marszcząc nos na sztuczny wiatr wywołany przez samochody. Zobaczył, jak nadjeżdża autobus. Miał zarezerwowany powrót do portu, a stamtąd statek do St. Hauda's Land. Autobus stanął, drzwi zawibrowały i się otworzyły. Kierowca, w krawacie i koszuli z żółtym kołnierzykiem, patrzył z góry na Carla. Odczekał chwilę i zapytał, przewracając oczami:

— Wsiądzie pan jeszcze dzisiaj?

Carl myślał o Idzie. Uczucie, które wzięło go wczoraj z zaskoczenia, kiedy w jego uścisku dziewczyna przywróciła czasy, gdy był z jej matką, stepiło się od przyziemności standardowego hotelu, przystanków autobusowych, sal wykładowych, prób mikrofonu przeprowadzanych od czasu do czasu, błyszczących zielenią oznakowań wyjść awaryjnych... Ale nie zniknęło. Było w nim gdzieś zagrzebane. Musi wziąć się w garść, zanim znów się spotka z Idą.

Drzwi autobusu zamknęły się i dopiero kiedy wóz ruszył, kierowca pokazał środkowy palec.

Carl przeszedł przez jezdnię. Ciężarówka zatrafiła na niego i gwałtownie skręciła, żeby uniknąć kolizji. Po drugiej stronie drogi usiadł na chodniku obok przystanku. Czekał na autobus jadący na południe. Dalej, w głąb lądu.

Po raz pierwszy o tym pomyślał, kiedy jadł lunch, a profesor literatury, jego opiekunka, gadała i gadała jednostajnym głosem o romantykach. Mruknięciami wyrażał aprobatę dla jej poglądów i przeżuwał zamówione mięso z mocno wysmażonego kurczaka. Nigdy nie chciał gadać od rzeczy

do znudzonych studentów albo być ubóstwiany przez ekscentrycznych profesorów. Stał w auli i patrzył w puste oczy setki niezainteresowanych jego słówkami słuchaczy studiów licencjackich. Wykład poszedł kulawo. Carl nie mógł się skupić na klasykach. Myślał tylko o Freyi.

Ale kiedy próbował ją sobie wyobrazić, widział tylko nagrobek i kości zamknięte w pudle dwa metry pod ziemią. Musiał pomyśleć o żywej twarzy Idy, żeby wyprzeć tamten obraz.

Nadjechał autobus i Carl wepchnął się na tył. Usiadł na niewygodnym miejscu obok dojeżdżającego do pracy mężczyzny w wojskowym płaszczu khaki. Wkurzał go jaskrawy laptop. Dał poznać, że mu niewygodnie, wyciągając nogi i rozpychając się łokciami.

Kiedy ostatnim razem pisał do Idy, użył panińskiego nazwiska Freyi. Ida Ingmarsson. Serdeczne pozdrowienia od Carla. Zdał sobie sprawę z pomyłki w chwili, kiedy list wpadał przez szczelinę do skrzynki pocztowej. Oczywiście, sprawa przeszła bez komentarza, ale coś było w spojrzeniu dziewczyny, kiedy ją zobaczył prawie rok później. Jakże proroczo postąpił wtedy.

Myślał, że cała miłość umarła dawno temu, zostawiając tylko wyrzuty sumienia i serce jak kawałek wyschniętego mięsa. Ale widok dorosłej Idy nasycił je i sprawił, że znów zaczęło bić. Krótko cieszył się obrazem swojej nieumarłej miłości, potem wróciła towarzyska forma ich stosunków. Jako dziewczynka nazywała go wujkiem. Oczywiście, nie powinien pozwolić sobie na to, żeby ją poznać. Ani pozostawać w kontaktach z jej matką. Gdyby można było nagle, kategorycznie zakończyć miłość, bo ukochana podpisała w kościele papiery z kimś innym.

Za oknem przesuwały się przedmieścia i miasta. Potem nadciągnęły intensywnie uprawiane tereny rolne, zaorane hektary, pola pełne łaciatych krów. Zapadł wieczór, ruch przybrał na sile. Jechali przez miasto wieżowców z rozświetlonymi na żółto oknami i tyłoma kablami telefonicznymi, drutami i antenami, że budynki wyglądały jak gigantyczne owady złapane w sieć. Mężczyzna obok niego chrapał. Pasemko śliny spływało mu z ust na węzeł krawata.

Carl wysiadł z autobusu w mieście o komunistycznej architekturze. Z oddali wzgórze i elektrownie rzucały ochronną chmurę na ulice. Na rogach

stały wysokie latarnie, każda z dwoma lampami. Płoty poznaczone były niewyszukanymi graffiti w niegustownych kolorach. Wybrał najlepiej wyglądający hotel, jaki udało mu się znaleźć. Przynajmniej wysiłono się — marny to był wysiłek — żeby wyłożyć tandetny czerwony dywan w holu i rozwiesić plastikowe kandelabry w korytarzu. Dorabiający student w krzywo zawiązanej czarnej muszce podał mu klucz do pokoju. Carl poszedł po schodach na czwarte piętro, żeby rozruszać nogi, które zdrętwiały mu w autobusie. Wrzucił torbę do pokoju i znów wyszedł, prosto na ulicę, nie zwracając uwagi na burczenie w brzuchu.

Droga prowadziła go do cmentarza. Żałował, że o tej porze, wieczorem, kwaciarnie są zamknięte, bo kupiłby Freyi jej ulubione złote irysy. Na cmentarzu minął żałobnika, którego przyłapał na głaskaniu pomnika. Między dwoma nagrobkami znalazł ścieżkę do białego kamiennego bloku z wyrzeźbionym dziwnym nazwiskiem, które tylko w połowie należało do niej. Freya MacLaird.

Ten drań, Charles MacLaird nie powiedział Carlowi, że u szczytu kręgosłupa Freyi narasta guz. Nawet go nie poinformował o jej śmierci. Niechęć do Charlesa raniła Carla bardziej niż ich legalny związek. A nawet niż myśl o ich dwojgu dzielących łóżę z dręczącą regularnością.

Kucając przy nagrobku, z pięściami zaciśniętymi przed twarzą, zastanawiał się, jak to jest, że dziewczyna, którą widział, której dał klucze do domku, nie ma w sobie nic z Charlesa. Tak bardzo przypominała matkę w okresie rozkwitu, że mogłaby uchodzić za siostrę. Trzymać ją w ramionach to byłoby jak... Jak to, co zawsze wyobrażał sobie przy Freyi.

Gdyby tylko wtedy wiedział, że Freya umiera, stanąłby u jej łóża boleści i objąłby ją, bez względu na to, co pomyślał Charles MacLaird i reszta świata.

Kiedy ostatnim razem przyszedł na ten cmentarz — czy to możliwe, że trzy lata temu? — był jak szalony. Kiedy opamiętał się następnego dnia, paznokcie miał popękane, a palce posiniaczone od gryzienia. Na poważne myślał, żeby wykopać ją z ziemi. Pozbawiono go należnego mu miejsca przy jej łóżu śmierci i na pogrzebie. Prawie nie przyjmował do wiadomości, że jego nadzieje legły w gruzach. Od dawna żywił pyszałkowatą nadzieję, że pewnego dnia Charles popełni fatalny błąd i Freya przybiegnie do niego. Trzymał się wiary, chociaż stopniowo podważało ją starzenie się Freyi, że będzie spędzał z ukochaną nocę. Jej ciało i jego ciało, jej oddech z rozchylonych warg.

Jaki czysty, znacznie czystszy, był nagrobek trzy lata temu. Tylko strach powstrzymał go wtedy od grzebania w świeżej ziemi. Nie przed konsekwencjami, ale przed tym, że mógłby ją zbezczęścić. Wrócił do swojego domku na St. Hauda's Land.

Na grobie nie było teraz kwiatów. Charles powinien się nim opiekować, ale nie, on przecież gardził Freyą i brzydził się nią. Podobno nazywał ją dziwką. Carl skreśliłby łajdakowi kark, gdyby tylko sam to usłyszał. Przy najmniej Ida widziała sprawę jasno. Z tego, co pisała w listach, uważała ojca za samolubnego prostaka, którym był. Może nim nie gardziła, ale Carl czuł ponurą satysfakcję, kiedy dowiedział się, że jest z nią w lepszych stosunkach niż ten głupiec, który ją spółdził.

Ta dziewczyna była w każdym calu taka, jak matka. Nachylił się, żeby ucałować nagrobek.

TLR

**ARMIA LIŚCI BŁĄKAŁA SIĘ PO NISKO POŁOŻONYM PARKU** w Ettinsford, szarżowała na zaniedbany trawnik i asfaltowe alejki. Dziewczynka w wózku próbowała je złapać, kiedy przelatywały obok. Napięła uprząż i piszczała, chwytając paluszkami puste powietrze. Liście leciały dalej, nad brzegami cieśniny, do której przylegał park, okrążały malowaną wieżę zegarową. Wreszcie gromadziły się w stertę przy żywopłocie, za starszą panią na ławce. Wykrzywiła twarz, kiedy wplątywały się w jej szal.

Midas sprawdził godzinę na wieży. Już kończył się zmierzch, dzielący niebo na żółtą ścianę i sufit błękitny jak klejnot. Drozdy śmigały między nagimi gałęziami. Kaczki kołyszące się na wodzie wtykały dzioby pod skrzydła. Wyblakła torebka szeleściła na wietrze.

Zastanawiał się, czy Ida przyjdzie, bo się spóźniła. Umówili się na rybę z frytkami. Dotarł tu prosto z pracy, krętą, brukowaną ulicą od kwaciarni przy głównej drodze na gołe trawniki parku. Objął się ramionami i przestępował z nogi na nogę. Miał dwa swetry i trzy T-shirty, ale marny płaszcz nie trzymał ciepła. Martwiły go ryby z frytkami. Kiedy poprzedniego dnia wyszli z kawiarni, Ida zaproponowała, żeby znowu się spotkali i coś zjedli. Nie chadzał do restauracji i barów w Ettinsford, więc kiedy zapytała, co proponuje, wymienił smażalnię — jedyne miejsce, w którym był sześć czy siedem lat temu. Powiedziała, że nie o to jej chodzi, ale się zgodziła.

Był zaskoczony, że znów chce się z nim spotkać po tym, jak powiedział, że nie może jej pomóc znaleźć Henry'ego Fuwy. W kawiarni, kiedy wymieniła to nazwisko, odruchowo pokręcił głową i odsunął od siebie wspomnienie bukietów. Ale później, wieczorem, kiedy w czajniku podgrzewał wodę do termoforu, poczuł, że jest oszustem. Jakby ją zdradził.

Wspomnienia to tylko fotografie wywoływane na synapsach. Skoro tak, usprawiedliwiał dzielenie się niektórymi ze światem, ale inne trzymał zamknięte w ukrytych albumach. Jednak kiedy nalewał parującą wodę do gumowej końcówki termoforu, jakieś mdlące uczucie sprawiło, że zadygotał i rozlał sobie wrzątek na rękę. Czy istniało jakieś prawo, czy była jakaś



władza, która nakazałaby mu przekazać Idzie wspomnienia o Fuwie, w charakterze dowodów? Złe spał. Siedział na łóżku, przyciskając kościste kolana do piersi, zbyt wystraszony, żeby wyłączyć światło.

Teraz, w parku, zastanawiał się, jak powiedzieć Idzie, że owszem, przypomina sobie Henry'ego Fuwę, ale nie rozzłościć jej, że zataił to wcześniej.

Zza wieży z zegarem wyłonił się włóczęga, niósł reklamówkę z niebieskimi butelkami cydru. Ktoś szedł za nim powoli. Kiedy włóczęga opadł na ławkę, Midas zobaczył Idę. Tylko jej chód był inny. Zrezygnowała z laski na rzecz grubego, drewnianego szczudła.

W chwili, kiedy uśmiechnęła się do niego z drugiej strony parku, wiedział, że przegrał. Stawienie czoła mdlącemu uczuciu wydawało się lepsze niż zmierzenie się z jej złością. Grdyka mu zagrała, kiedy przetykał poczuć winy. Ida zbliżała się wzdłuż brzegu. Nosila tę samą białą czapkę i płaszcz po kolana co poprzednio. Znow go uderzyło, że twarz i oczy miała niemal monochromatycznie blade. Chłód wszystko ostro definiował, nie była wyjątkiem. Miał ochotę zerwać osłonę obiektywu i zrobić jej zdjęcie, tu i teraz.

—Ładne popołudnie — powiedziała, patrząc w niebo.

—Tak — odparł. Postanowił nie pytać jej o zamianę laski na szczudło.

—Wyglądasz, jakbyś bardzo zmarzł. Przepraszam za spóźnienie.

—Nie spóźniłaś się.

Zerknęła na zegar.

—Ależ tak. Naprawdę przepraszam. Nadal trudno mi się dostosować do tego. — Pokazała na buciory. — Bałam się, że pomyślisz, że nie przyjdę. Nie zimno ci? Midas, masz dziurę w płaszczu!

—Włożyłem dwa swetry.

—Ale nie jest ci zimno?

—Troszeczkę.

—Okej. No to weźmy się do tej ryby i frytek.

Skinał głową, żeby pokazać entuzjazm, i poszedł powoli obok Idy, przez park i ulicę do smażalni.

Nad drzwiami wisiała drewniana ryba. Pęknięcia i ptasie łajno kalały niebieską farbę na rzeźbie. Zapach tłuszczu i zasmażki niósł się nad chodnikiem. W środku był bardziej intensywny, unosił się w gorącym, dusznym powietrzu między ścianami wykładanymi niebieskimi kaflami, jak na basenie. Wymalowane na nich freski przedstawiały rekina i ośmiornicę. Pracownik z czerwoną twarzą sypał frytki na polistyrenowe tacki i zanurzał ryby w skwierczącym tłuszczu opiekacza.

Midas wskazał na zielonkawą fotografię — specjalność zakładu, kodet rybny. Kiedy Ida zapytała, co takiego specjalnego jest w smażalni, podał kotlet rybny jako przykład. Jak na zawołanie, od lady odszedł uśmiechnięty klient, niosąc otwarty pojemnik z kodetem rybnym i frytkami. Kawałki frytek przesiąknięte były octem. Chudy mężczyzna w skórzanej kurtce i czarnym golfie podszedł do lady i oparł o nią parasol. Mrugnął do sprzedawczynie. Dziewczyna poczerwieniała.

—Podwójny kodet rybny i frytki — powiedział nosowym głosem.

—Sól i ocet?

—Mnóstwo soli.

Sprzedawczynie posoliła frytki. Midas, nagle zakłopotany wyborem jedzenia, odwrócił się do Idy. Chciał ją uprzedzić, że przez ostatnich sześć lat jakość kotletów mogła się pogorszyć. Ale dziewczyna wyglądała na zachwyconą. Poprosiła, żeby poszedł zamówić kotlety rybne, a sama usiadła na białym, plastikowym krześle przy małym stoliku obok okna.

—Jak myślisz, długo są gorące? — zapytała, kiedy wrócił z dwiema miękkimi paczkami z papieru odpornego na tłuszcz.

—Właśnie zostały wyjęte z opiekacza.

Uśmiechnęła się.

—Może zabierzemy je do mnie?

—Hm...

Ostrożnie wstała i poklepała go po brzuchu. Dotyk jej palców sprawił, że w gardle mu zabulgotało. Nie mógł wykrztusić ani słowa, chociaż chciał uprzejmie odmówić. Boże, ledwie ją znał.

Była nieugięta.

—Możesz nas podwieźć?

Popatrzył na jej pełną zapału twarz i przeprowadził test ojcowski: zapytaj siebie, co zrobiłby twój ojciec, i zrób coś wręcz przeciwnego.

Wyszli na zewnątrz, na ulicy było zimno. Włóczęga z parku, z torbą pełną cydru, zwinął się w kłębek u końca alei. Midas poprowadził Idę w stronę samochodu i dopiero zauważył, że zaparkował w kałuży. Ostrożnie usiadła na fotelu dla pasażera. Noc szybko zapadała. Wkrótce jechali przez puste i coraz ciemniejsze przedmieścia.

—Nieźle pachną te frytki.

—Uhm.

Roześmiała się.

—Naprawdę masz język zawiązany na supełek, wiesz?

Zaczerwienił się.

—Chyba tak.

Ciemne gałęzie przelatowały w tył obok okien. Zaczęło padać. Samochód podskoczył na wyboju. Ida skrzywiła się i odruchowo złapała za kolana. Midas nie odwracał wzroku od drogi. Drzewa iglaste chwiały się na wietrze i deszczu.

—Może za bardzo się zastanawiasz, jakich słów użyć i jak zmusić usta, żeby je wymówiły.

Zmarszczył brwi. Chyba zbyt swobodnie wypowiadała swoje myśli.

—Może.

Po chwili ciszy wskazała na wąski podjazd. Skręcił, reflektory przejechały po małym bungalowie z dachem z łupka i wychodkiem.

Drzewa smagały się wzajemnie na wietrze. Zimny deszcz ze śniegiem zaczął bić ich po głowach i ramionach, kiedy wysiedli z samochodu.

Ida głęboko odetchnęła.

—Okej. To tutaj.

Na niebieskich drzwiach wisiała podkowa. Na parapetach stały uschnięte rośliny w popękanych doniczkach. Kropla lodowatego deszczu padła Midasowi na oko. Ida podeszła do drzwi. Mocno trzymała klucz, ale nie wsadziła go w zamek. Uważnie patrzyła na drewniany panel.

—Wystrój raczej bez polotu. Carla takie rzeczy nie interesują. Rozumuje kategoriami naukowca w średnim wieku.

Midas pomyślał o swoim ojcu. Otworzyła drzwi i nacisnęła włącznik światła.

Szeroki korytarz prowadził do drewnianych schodów i dwojga drzwi. Jedne były do kuchni, drugie do saloniku z amerykańką, na której zapewne Ida sypiała. Zastanawiał się, dlaczego nie spała na górze. O Boże, w takim razie znalazł się w jej sypialni. Nie był na to gotowy.

Na półce zauważył kilka fotografii w ramkach i książki o tytułach, które pamiętał jak przez mgłę z gabinetu ojca: *Wergiliusz Pliniusz Owidiusz*. Były jak słowa zaklęcia z czarnej magii, odwrócił się do nich tyłem. W rogu leżały ładnie poukładane ciężarki do ćwiczeń i stare, niebieskie rękawice bokerskie, a na ścianie naprzeciwko okna wisiała mała reprodukcja autoportretu van Gogha z ciasno zabandażowanym uchem. Wzorzysta narzuta, granatowa w srebrne kropki, pokrywała amerykańkę.

Ida usiadła na łóżku i zaczęła rozwiązywać sznurowadła. Midas próbował ukryć zainteresowanie. Zsunęła buciory i postawiła je ostrożnie na dywanie. Pod spodem nosiła wiele warstw skarpet.

—Tam musiało być ciężko — powiedział, patrząc na jej opatulone stopy. — Pod wodą.

Ściągnęła brwi.

—O czym mówisz?

—O nurkowaniu. Mówiłaś, że nurkowałeś z Carlem Maulsenem.

—Nie, nie. Ten... stan nie rozwinął się, kiedy pracowałam dla Carla.

—Och... To jest od niedawna?

Pokiwała głową.

Oboje wzrok mieli skierowany w dół.

—Midas?

—Tak?

—Nie chcę o tym mówić.

—Przepraszam.

Wzruszyła ramionami. Klasnęła w ręce.

—No dobrze. Zjedzmy te kotlety rybne.

Midas poszedł do kuchni i znalazł talerze. Wyłożył zawartość zatłuszczonych zawiniątek na naczynia i zaniósł je z powrotem do salonu. Opadł w naszpikowany sprężynami fotel.

Ida otworzyła okno, żeby pozbyć się zapachu tłuszczu od frytek. Kiedy jedli, w koronach drzew coś zahukało.

—Na dworze są sowy — wyjaśnił Midas.

—Tak. Słyszałam je. Kiedy nie mogłam zasnąć pewnej nocy.

—Może byśmy wyszli, żeby którejs poszukać?

Wyglądała na zaskoczoną.

—Chciałbyś to zrobić?

—Tak.

Żuła w zamyśleniu, przełknęła i wytarła usta.

—W dzieciństwie chodziłam na plażę i w świetle księżyca wypatrywałam delfinów. Ale sów nigdy nie obserwowałam. A teraz... trudno mi się poruszać w ciemności.

—Nie pójdziemy daleko.

—Przepraszam. — Zaczerwieniła się. — Przepraszam, Midas. Za bardzo się boję, że się potknę.

Był zaskoczony. W każdej innej sytuacji wydawała się pewniejsza sobie niż on. Taka nagła zmiana ról sprawiała, że przez chwilę wyglądała młodziej, prawie jak dziecko.

W środku zrobiło się zimniej. Ida zamknęła okno, podkreśliła ogrzewanie i zmusiła Midasa, żeby przyniósł z lodówki butelkę białego wina.

—Masz mnóstwo butelek w tej lodówce. Ida się uśmiechnęła.

—Są Carla. Ale powiedział, żebym się częstowała. Postawiła butelkę razem z dwoma kieliszkami na półce przy

amerykance, wzięła korkociąg i zaczęła nim wymachiwać jak nożem.

—Przez całe lata był dla mnie naprawdę w porządku. Taki dobry wujek.

—Jesteście spokrewnieni?

—Nie. Po prostu, moja matka знаła go od bardzo dawna. — Dźgnęła korkociągiem w korek i zaczęła nim kręcić, nie myśląc o tym, co robi. — To on. — Wskazała na półkę.

Na końcu stała ramka z pożółkłym wycinkiem z gazety. Midas wstał i ją zdjął. Tytuł głosił: „Miejscowa para otrzymała honorowe tytuły akademickie na kontynencie”. U dołu artykułu widniało ziarniste zdjęcie. Dwóch mężczyzn w nowych garniturach. Pierwszy to bez wątpienia Maulsen, mocno zbudowany, srebrnowłosy, z pewnym siebie uśmieszkiem.

—Cholera — zaklął Midas, mocniej ściskając ramę fotografii. Ida zaniepokojona podniosła wzrok. Korek wpadł do butelki

<sup>1</sup> zaczął kołysać się w winie.

Powlókł się do fotela i klapnął ciężko.

—Midas, co się stało?

Szybko pokręcił głową. Zmrużyła oczy, kiedy na nią popatrzył. Pomyślał o tym, jak ukrywał, co wie o Henrym Fowie, i nie był w stanie wy-

trzymać, że z tym też musi się maskować. Wręczył Idzie ramkę z wycinkiem.

—Przeczytaj nazwiska.

Przeleciała wzrokiem artykuł, potem zerknęła na zdjęcie.

—To ty?

—Mój ojciec.

—Macie tak samo na imię?

—Tak.

Odłożyła fotografię.

—Nie wiedziałeś o tym, prawda?

Pokręcił głową.

—To znaczy, o tytule wiedziałem, ale nie o Carlu Maulsenie.

—Hm... to wspaniała informacja! Powiedziałeś, że słabo znałeś swojego ojca. Carl mógłby ci pomóc.

—Nie chcę dowiadywać się niczego o ojcu. I oglądać jego zdjęć po tych wszystkich latach...

Milczała. Zastanawiał się, czy ludzie z kontynentu, tacy jak ona, są w stanie zrozumieć zawilości życia tutaj. Plotki silniejsze od telewizji. Węszący sąsiedzi, którzy potrafią wytropić tajemnice, jak wrony padlinę. I coś niemal gorszego, bo ludzi można zignorować: sposób, w jaki to miejsce wydała niepożądane szczegóły. Chciał, żeby śmierć obróciła ojca w proch, jak obiecywał ksiądz na pogrzebie. Może ziemia była za słaba na St. Hauda's Land.

—Boże! — wyrzucił z siebie. — Te wyspy! One są tak kazirodcze!

—To dlaczego się nie wyprowadzisz? — zapytała cicho, jakby myślała na głos.

—Bo... — wydał policzki — wyjazd nie zmieniłby tego, co się stało. Muszę to... pokonać.



Powoli pokiwała głową.

—A co właściwie się stało?

Wskazał na wycinek z gazety.

—Gdybyś pogrzebała w archiwach „Echa”, znalazłabyś może dwie albo trzy notki o wypadkach, jakie zdarzyły się w ciągu dziesięciu lat. Życie toczy się ospale... Kiedy jednak dzieje się jakaś tragedia, jej skutki są dalekosiężne. Nie możesz przejść ulicą, żeby ludzie nie rozpoznali cię jako tego nieszczęsnego dupka z gazety. A nawet jeszcze gorzej. Ponieważ jest to jedyny temat do rozmów, niektóre z tych spojrzeń są wstrętne. Zakłamanie.

Ida starannie dobierała słowa.

—Stało się coś złego? Tobie?

—Utonął mój przyjaciel. Wcześniej ojciec popełnił samobójstwo. Były też inne dramatyczne wydarzenia...

—Cholera. Midas, przepraszam.

Uśmiechnął się do niej słabo.

—W porządku. Tylko pierwsza z tych spraw nadal stanowi problem.

—To znaczy, przepraszam, bo ciągle paplam, jak to wszyscy tutaj wiedzą wszystko o sprawach innych ludzi. — Popatrzyła na szmaragdową butelkę w swojej w dłoni. — I wybac, że wpuściłam korek.

Uśmiechnął się.

—Nie szkodzi. Odcedzimy.

W kuchni — kuchni kolegi ojca — znalazł sitko do herbaty. Wino spłynęło z butelki.

—Zdrowie — powiedziała Ida. Patrząc na Midasa z czułością, podała mu kieliszek.

**W PEWIEN SPOKOJNY, LETNI WIECZÓR** ojciec sturlał się z fotek i leżał skrecony na podłodze swojego gabinetu. Matka Midasa znalazła go i zadzwoniła po pogotowie. Został szybko odwieziony do szpitala. Spędził tam trzy dni. Badania ujawniły narośl pod sercem. Nie było szans na wyleczenie.

—Może czuć się dobrze przez kilka tygodni, nawet miesięcy — poinformował obojętnie lekarz, pstrykając długopisem. — Potem prawdopodobnie dostanie ataku podobnego do tego, który właśnie przeszedł, albo gorszego. I nadejdzie moment, kiedy organizm już nie odzyska całkowitej sprawności. Pacjent straci czucie i funkcje motoryczne w częściach ciała dotkniętych chorobą. Mamy nadzieję, że zacznie się to od kończyn, ale rozumie pani, że kiedy przeniesie się na główną arterię albo układ trawienny, niewiele zdołamy zrobić.

Lekarz obracał długopis między palcami, potem go podniósł i zaczął nim stukać o podbródek.

—Jeśli da sobie z tym radę — powiedziała matka Midasa, mocno ścisnąc dłonie. — Przez dłuższy czas. Jeśli wytrzyma.

Lekarz obgryzał długopis.

Potem — w dniu, kiedy ojciec przykleił liścik do lodówki — Midas uciekł ze szkoły. To była wielka szkoła, do której codziennie zwożono autobusami dzieci z całego St. Hauda's Land, ale on do niej nie pasował ani nie był w stanie zapewnić sobie anonimowości. Podczas gdy inni uczniowie i uczennice sypiali ze sobą i palili konopie na skraju boiska, on siedział w bibliotece i przeglądał grube książki z fotografiami. Nauczyciele zakazali mu przynosić aparat z obawy przed kradzieżą, ale tego dnia, w czasie przerwy myślał tylko o nowym obiektywie o zmiennej ogniskowej, który kupiła mu ciotka. Prezent nadal leżał w domu, w lśniącym pudełku. Pachniał polistyrenem. Midas szalenie pragnął opowiedzieć o nim komuś, ale nie było nikogo, kto by go wysłuchał. Rozpętała się ulewa. Bębniła w dachy, zapędziła dzieci do szkoły. A Freddiego Clare'a do biblioteki.

—Cześć, Krukas — powiedział, sadowiając się na krześle, naprzeciwko Midasa. Przemoczona plereza przylepiła mu się do szyi.

—Cześć, Freddy.

—Popatrz, Krukas. — Coś srebrnego błysnęło mu w kieszeni, kiedy rozpinał blezer. Wyglądało jak rączka łyżki.

—Co to takiego?

Freddy rozejrzał się ukradkiem i wyciągnął swój skarb z kieszeni. Sprężynowiec z ostrzem złożonym w rączce.

—Jak w *Ojcu chrzestnym*. Podoba ci się?

—Bardzo ładny.

—Jak cholera. No, to masz jakieś pieniądze?

—Nie.

Freddy zgrzytnął zębami.

—Nie bądź głupi, Krukuś, bo możesz mieć kłopoty. Nie zapominaj, że wiem, gdzie mieszkasz.

Midas patrzył, jak Freddy bawi się nożem. Miał plastry na trzech palcach i na kciuku. W zasięgu wzroku nie było bibliotekarzy, a inne dzieci specjalnie wsadziły nosy w książki.

—Freddy, nie mam żadnych pieniędzy.

—Oczywiście, że masz. — Uśmiechając się, wyciągnął ostrze z rączki.

—Ja... nie kłamię.

—Kłamiesz, kłamiesz. Jak w *Ojcu chrzestnym*, Krukas.

Midas odetchnął z ulgą, gdy zza regałów z historią starożytną wyszła bibliotekarka. Zobaczyła nóż Freddiego, wyglądała na przerażoną. Otwierała i zamykała usta, dotykała guzików wełnianego swetra.

Freddy westchnął i zamknął nóż.

—W porządku, psze pani. Tylko pokazywałem Krukasowi swoją nową zabawkę.

Wstał i popatrzył ze smutkiem na nóż. Deszcz dzwonił o szyby biblioteki.

—Chyba chce go pani skonfiskować. Prawda, psze pani?

Wyciągnął go do niej. Złapała nóż.

—No! — Odetchnęła. — Dzięki Bogu. Odpowiedcie za to, chłopcy— oświadczyła.

Freddy się rozpromienił.

—Żaden problem, psze pani. Przyłapała mnie pani uczciwie.

Bibliotekarka trzymała nóż dwoma palcami, jakby mógł ją skazić.

—Zdajesz sobie sprawę, że muszę złożyć raport o złamaniu regulaminu szkoły?

Freddy przyjacielsko wzruszył ramionami.

—Pani po prostu wykonuje swoje obowiązki, psze pani.

Wepchnął ręce do kieszeni i zerknął na duży zegar.

—No, zaraz koniec przerwy. Czas ucieka, co Krukas? Do zobaczenia po szkole.

Midas i bibliotekarka patrzyli, jak odchodzi spacerkiem. Odezwał się dzwonek.

**MIDAS UKRYWAŁ SIĘ W BIBLIOTECZNEJ TOALECIE** do początku lekcji. Potem uciekł, wyśliznął się ze szkoły z podniesionym kołnierzem kurtki. Po drodze musiał walczyć z porywistym wiatrem i zacinającym deszczem. Do domu dotarł przemoczony do suchej nitki. Zawołał, żeby się przekonać, czy<sup>7</sup> ojciec jest w domu, ale nie dostał odpowiedzi. Potem, kiedy przygotowywał sobie kawę, zobaczył notkę przyklejoną do drzwi lodówki: „W garażu. Przepraszam za bałagan. M”.

Midas zostawił kawę i znowu włożył mokrą kurtkę. Wyszedł tylnymi drzwiami, przebiegł truchtem podwórko, potem alejką popędził do ulicznych garaży. Deszcz zaciął podżegany wiatrem.

Przez drzwi garażu miejscami przeświecały jasne smugi. Krople bębniły o metal i odbijały się od okien. Midas podszedł, rozbryzgując wodę, i uchylił drzwi. Zajrzał przez szparę do środka.

Ojciec stał na składanej drabince, blady, wąsaty mężczyzna w swetrze i eleganckich spodniach. Oddzierał zębami kawałek taśmy. Przylepiał do ściany plastikowe worki na śmieci. Nawet na drabince garbił się nerwowo.

—Co robisz? — zapytał Midas.

Zaskoczony ojciec omal nie spadł. Przyłożył rękę do serca.

—Mój Boże, Midas, ale mnie wystraszyłeś. — Szybko zszedł i kopnięciem zamknął skrzynkę, w której leżało jakieś narzędzie w kształcie litery L, z czarną rączką.

Midas nie zdążył rozpoznać, co to takiego, chociaż obok, w skrzynce, zauważył torbę z małymi, metalowymi cylindrami.

Ojciec położył ręce na biodrach.

—Co tu robisz? Powinieneś być w szkole.

—Uciekłem.

—Och... Midas! — Podszedł ciężkim krokiem i obrzucił syna wzrokiem od stóp do głów. — Dostaniesz zapalenia płuc, jeśli się nie wysuszysz. Wybrałeś podły dzień na wagary. Chodź, znajdziemy jakiś ręcznik.

—Co robisz z tymi workami na śmieci?

Ojciec obejrzał się przez ramię na czarne torby na ścianach i na podłodze.

—Z tymi? Hm... To idziemy po ten ręcznik?

Wyłączył w garażu światło. Midas otworzył drzwi i obaj popędzili z powrotem do domu, wpadając po drodze w kałuże. Wbiegli w drzwi od podwórka.

—Ręcznik, ręcznik... — mamrotał ojciec.

—Sam sobie znajdę — powiedział Midas.

—Już szukam. O, jest. — Podał mu ścierkę do naczyń. — No. Nie wolno uciekać ze szkoły.

Midas wytarł włosy.

—Będą się o ciebie martwili.

—Nie zatęsknią za mną.

—Ależ tak, Midasie. Tego rodzaju instytucje nigdy nie zapominają o człowieku. Na pewno już zawiadomili policję.

Zadzwoił telefon. Ojciec przygładził wąsy palcem wskazującym i kciukiem.

—To pewnie oni — powiedział. — Dzwonią, żeby mnie poinformować, że zniknąłeś. No dobrze. — Poszedł korytarzem i podniósł słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie. — Mówi Crook. Słucham. Tak. Obawiam się, że tak. Tak, ze mną. Och, jasne. Hm, cóż, do widzenia. — Odłożył mocno słuchawkę i westchnął. — Zakładaj buty. Odwiozę cię do szkoły.

—Mam już buty na nogach.

—A, aha. No to chodźmy. Samochód stoi na ulicy. Ja, hm, miałem zajęcie w garażu.

—Co robiłeś z tymi workami na śmieci?

Poszukał w kieszeni kluczyków, ale z ręką na klamce zatrzymał się, zanim otworzył drzwi.

—Nie przejmuj się, Midasie. Po południu będziesz mógł je zdjąć.

—Ale co...

—Midasie. Proszę. — Otworzył drzwi. Deszcz wpadł do środka i chlapanął mu na twarz. — Dobry Boże, jakby miał być potop.

Spojrzeli na czarne chmury.

—Nie chcę wracać do szkoły. Freddy Clare albo mnie zatłucze, albo zadźga na śmierć. Zależy, czy dostanie z powrotem nóż.

—Tak — mruknął ojciec, patrząc na fontanny wody tryskające z kałuż.

—Mówię poważnie — upierał się Midas. — Freddy też mówił poważnie. To wariat.

—No to chodźmy do samochodu. Jak chcesz, przynieś kubek, nazbieramy wody po drodze. — Zachichotał pod nosem.

Midas szedł za nim przez deszcz. Nadal trzymając ścierkę do naczyń, wsiadł na fotel dla pasażera. Ojciec zatrzymał rękę z kluczykami w połowie drogi do stacyjki.

—Matka wysłałaby cię do szkółki niedzielnej, gdybym nie za-protestował. — Odchylił się do tyłu. — Wyświadczyłem ci przysługę, że nie pozwoliłem. Dogmatyczna wiara w monoteistyczne bóstwo. .. to nie dla mojego syna. Nie, mój syn jest w pełni świadom symboliki panteonu, niezwykłego współistnienia rządzących bóstw. Prawda, Midasie?

Czy to będzie szybkie dźgnięcie, kiedy Freddy dostanie z powrotem nóż, czy długa tortura? Straszliwie powolne krojenie, kawałek po kawałku...

—Wiesz, Midasie, cieszę się, że dzisiaj wpadliśmy na siebie. — Postukał palcami w kierownicę. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce nieprzekrecone. — Wspomnienie szkółki niedzielnej i ta gwałtowna ulewa podsunęły mi myśli o potopie.

Deszcz rozbryzgiwał się o przednią szybę.

Ojciec zaczął opowiadać o arkach osiadających na górskich szczytach, o śnieżnobiałych gołębicach i utopionych krukach unoszących się na oceanach. Midas zagłębił się we własnych troskach. Potem zdał sobie sprawę, że ojciec przestał mówić. Kostki palców pobiełały mu na kierownicy. Okulary ześliznęły się z nosa. Tak wyglądał, kiedy był podniecony. Ojciec nigdy nie entuzjasmował się ani nie oddawał się radości, ale bardzo rzadko bywał podekscytowany.

Okładany deszczem kos usiadł na masce, przeszedł po niej, zeskoczył na asfalt i pokuśtykał w drugą stronę.

Ojciec klasnął.

—Łodzie, Midasie! Doskonały sposób na wszystko. Lepszy niż ta bzdu-ra z workami na śmieci.



—A co jest z tymi workami na śmieci?

—Robota głupiego. Łodzie, Midasie! Mój Boże, ale ty pobudzasz człowieka.

Niespodziewanie przekręcił kluczyk w stacyjce. — No to jedziemy do szkoły.

Midas zwiesił głowę. Wrócił akurat na dwie matematyki. Tylko przemoknięta ścierka do naczyń świadczyła o jego ucieczce.

TLR

**KIEDY MIDAS SIĘ OBUDZIŁ**, bolała go głowa, stawy miał sztywne. Zasnął w fotelu, w pokoju Idy. Było ciemno, choć oko wykol. Rozmawiali o lekkich tematach. O książkach — obliczyli, że na jej dwadzieścia on przeczytał jedną; o nowinkach — nie był na bieżąco; o kinie — powiedział, że nie daje sobie rady z filmami: chciałby przyrzeć się dokładnie każdej klatce, tak jak zdjęciu, ale to przyprawiało go o zawroty głowy. Wreszcie zmogło ich zmęczenie. Zasnęli tam, gdzie siedzieli.

Zasłony zostawili rozsunięte i teraz świat za oknem widać było w niewyraźnych, niebieskich warstwach, jakby oglądało się go z łodzi podwodnej. Z łóżka dochodził cichy oddech. Midas miał sucho w ustach, nadal czuł smak białego wina. Próbował znowu usnąć, ale mu się nie udało. Sięgnął do lampki. Pająk popędził w górę po ścianie, żeby uciec przed pomarańczową poświatą, która nagle wypełniła pokój. Ida leżała owinięta nakrapianym kocem. Stopy wystawały jej za łóżko. Patrzył na nie przez dłuższą chwilę, trochę śnięty. Sapała i co jakiś czas odwracała głowę, ale stopy nie poruszyły się ani razu. Nawet kiedy zacisnęła pięści i przyciągnęła je do piersi w obronnym geście, palce u stóp pozostawały bez ruchu.

Noc wzmagala jego ciekawość, jak księżyc podnoszący fale przypiływu. Aparat leżał w torbie przy krześle. Midas wyjął go, zdjął osłonę obiektywu. Wtedy w pełni dotarło do niego, co chciał zrobić, i znów ją założył. Odstawił aparat na ławeczkę przy łóżku i odwrócił od niego wzrok.

Aparat wyglądał niewinnie, ale przy śpiącej Idzie też niesamowicie obco, jakby był współnikiem zbrodni. Midas chwycił za pasek torby poczuł na opuszkach palców szorstki splot, nici. Od tak dawna uważał aparat za przedłużenie swojego ciała, jak inni wózek inwalidzki albo okulary, że myśl o działaniu z osobna wywoływała skurcz ramion i zimne odrętwienie w palcach u stóp. Bez aparatu byłby ślepy. Patrząc na nieruchome stopy Idy, zwątpił, że zbierze się na odwagę, żeby je obejrzyć gołym okiem.

Kiedy wstał, strzyknęło mu w kolanach. Podkradł się do nóg łóżka.

Pierwsza para skarpetek Idy była kremowobiała. Zerknął za siebie, na aparat. Matowy plastik zasłaniał obiektyw. Midasowi zadrżały ręce. Uspokoił oddech, potem łagodnie położył kciuk na paluchu Idy. Nie zareagowa-

ła. Niespodziewany chłód wywoływał wrażenie, że nie dotyka człowieka. Oddychała regularnie, wargi miała rozchylone, w kącie ust odrobinę śliny. Lekko nacisnął. Skarpetki były miękkie. Ale palec twardy jak diament.

Natychmiast odsunął kciuk i cofnął się o krok. Białe wino pewnie nadał mąciło mu zmysły. To, czego dotknął, nie mogło być palcem u stopy.

Wrócił na fotel, aparat położył sobie na kolanach. Wkrótce z zadowoleniem stwierdził, że sam musiał wprowadzić się w błąd.

Uwierzył w to na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Przełożył pasek od aparatu przez głowę i wrócił do łóżka. Nabrał głęboko tchu i ujął jej palec od stopy. Ścisnął, dopóki nie mógł zaprzeczyć, że paluch jest twardy jak lód. Na pewno tego nie poczuła. Mamrotała przez sen. Wsunął zziębnięte ręce do kieszeni. Pająk na suficie pędził w tę i z powrotem, pojawiał się w plamie światła i znikał.

Midas delikatnie ścisnął łydkę Idy. Potem zrolował jej skarpetki do kostki. Skamieniał, kiedy coś wymamrotała, ale nie cofnął ręki.

Nadal spała głębokim snem. Ściągnął skarpetki poniżej kostki i dalej, kilka centymetrów wzdłuż stopy.

Patrzył.

Nie przestawał patrzeć.

Zsunął skarpetki do końca.

Palce u jej stóp były z czystego szkła. Gładkiego, przejrzystego, lśniącego. Połyskujące półksiężycy światła otaczały każdy paznokiec i każdą fałdkę między stawami. Srebrne plamki narzuty, widziane przez jej palce u stóp, rozmywały się w metaliczną mgiełkę. Podeszwa pod śródstopiem też była szklana, ale ciemniejsza, stopniowo traciła przezroczystość aż do kostki, gdzie przechodziła w skórę: matową i cielistą, jak to skóra. A jednak... Tych kilka centymetrów przejścia zaskoczyło go nawet bardziej niż palce z czystego szkła. Kości materializowały się blado pod podeszwą, potem, bliżej kostki, robiły się liliowobiałe i dokładnie określone, osłonięte przeświecającymi więzadłami w głębszych partiach. W zagięciu podbicia smużki krwi wisały uwiecznione jak zawijasy koloru w marmurze. W nie-

których miejscach petryfikacja nie została ukończona. Tu pieprzyk jak ukłucie szpilki, tam cienki włos koloru blond.

Nadal spała głęboko.

Palce popęzły mu w stronę guzików aparatu.

Kiedy zrobił już dość zdjęć, stał przez jakiś czas, trzymając skarpetki Idy. Próbował je znowu włożyć, ale kiedy podciągnął do kostek, westchnęła przez sen, więc natychmiast zamarł. Nie obudził dziewczyny, ale nie był w stanie z powrotem naciągnąć skarpetek. Zostawił je zwinięte wokół palców u stóp i wrócił na fotel, gdzie zaczął się poważnie zastanawiać nad możliwością ucieczki. Ona w końcu się obudzi, zobaczy skarpetki i wyciągnie oczywiste wnioski. Jęknął cicho. Nadal był trochę pijany i bardzo zmęczony. Obraz jej stopy wbił mu się w głowę, jak pamięć snu, który miał odejść w zapomnienie.

**IDA BIEGŁA W RYTM PULSU I HIP-HOPU** dźwięczącego w uszach. Po jej lewej stronie wznosiły się olbrzymy z betonu i szkła: urzędy i bloki mieszkalne. Uprana bielizna i wiszące skrzynki na kwiaty setką kolorów rozjaśniały ponure ściany. Po prawej stronie płynąca przez miasto rzeka prężyła kark pod łodziami i bojami. Przed nią most przecinał miodowe fale, niosąc setki pieszych otrąbionych przez samochody. W każdej przedniej szybie słońce przeistaczało się w nieprzezroczysty talerz koloru pomarańczy.

Biegła truchtem pod mostem, jej kroki odbijały się nierównym echem od filarów oznaczonych przez grafficiarzy i przypływy. Echo było nierówne, bo nie mogła biec równym krokiem. Za każdym razem, kiedy jej prawa stopa dotykała chodnika, coś ostrego wbijało się w palec. Próbowała nie zwracać na to uwagi i zatrzymała się już parę razy, żeby wytrząsnąć kamień z tenisówki, ale to nic nie dało. Przebiegła ponad kilometr, zanim znów spróbowała. Tym razem usiadła na ławce, naprzeciwko miejskiej katedry po drugiej stronie rzeki. Pajęczyna rusztowań oplatała podwójne iglice kościoła, Budowniczkowie w kaskach poruszali się po niej jak pająki. Przy drugim brzegu stał zacumowany statek wycieczkowy. Turyści chwiali się na nogach, obejmowali, pokrzykiwali w stronę wody.

Zdjęła but i otrzepała go, potem to samo zrobiła ze skarpetką. Sprawdziła, czy są kamienie. Nadal nic.

Kiedy wkładała but z powrotem, poczuła coś ostrego. Wzięła stopę w dłoń, żeby poszukać zadry.

Słońce rozbłysło na palce pod paluchem, wydobyło pomarańczowe migotanie z zaczerwienionej skóry. Próbowwała to zetrzeć. Nie schodziło. Przyjrzała się dokładniej i zobaczyła coś, jak zatopiony w ciele kryształ. Obrosła go cienka warstwa skóry.

Później, w mieszkaniu, w parującej kąpieli, gdzie nieustanny hałas ulicznego ruchu dochodził nawet przez zamknięte okna, próbowała wyciągnąć kryształek igłą i pincetą. Chwyciła i szarpnęła. Ostry ból przeszył jej stopę. Syknęła i złapała dłonią palec u nogi. Ścisnęła mocno, czekając, aż klucie ustanie.

Kryształek został w poduszczyce zaczerwienionej skóry. Głęboko odechnęła i znów spróbowała go wyrwać pincetą, ale teraz, kiedy ciało było zaognione, ten manewr sprawił jej większy ból. Na ulicy rozległo się wycie syreny i nagle dotarło do niej, jak wielkie jest to miasto i kraj, który się poza nim rozciąga, krajobraz kontynentu, formacje chmur na niebie, oceany podmywające ląd. I ona, zaledwie drobinka na tle tego wszystkiego. Zadrzała. Woda w wannie zrobiła się zimna.

Znikąd pojawiło się wspomnienie człowieka z St. Hauda's Land. Henry'ego Fuwy i jego szkatułki z wywierconymi otworkami wentylacyjnymi.

**OBUDZIŁA SIĘ W NOCY I CIASNO OWIĘŁA KOŁDRĄ.** Nogi miała bezkrwiste, wilgotne. Popatrzyła na Midasa. Spał na fotelu, przeraźliwie chrapiąc. Włączył lampkę nocną. Nie byłaby zdziwiona, że to ze strachu przed ciemnością. Rozbrajające. Trzymał aparat na kolanach jak pluszowego misia. Zastanawiała się, czy może mu zaufać. Na tyle, żeby mu powiedzieć, że chce się o nim dowiedzieć więcej.

Usiadła i ukradkiem przesunęła się na łóżku. Skarpetki spadły jej ze stóp na dywan. Znieruchomiała, spojrzała na nie, potem na Midasa.

**OTWORZYŁ OCZY.** Gdzieś w ciemnościach tykał zegar. To była ta pora nocy, kiedy rzeczy wydawały się odrealnione, a uporczywa myśl wbijała się w głowę i nie dawała odgonić aż do rana. Ale nie spał. Na pewno. Widział to, co widział. Śniła mu się błyskawica uderzająca w plażę, topiąca piasek na szkło. I... nie chciał znowu zasnąć. Pragnął uciec, zanim Ida się obudzi.

Już miał się przeciągnąć i ziewnąć, kiedy zdał sobie sprawę, że aparat nie leży mu na kolanach. Lampka nocna nadal była włączona. Cały się spał.

Ida siedziała na łóżku tyłem do niego, pasek aparatu zwisał jej z kolan.

Wpadł w panikę. Udawał, że śpi. Nie mógł się zdecydować, którego zdjęcia najbardziej nie chciałby jej pokazać. Tego, na którym uwiecznił obszar przejściowy, gdzie skryształizowane wstążki krwi przypominały mu mgławice z fotografii przedstawiających głębie kosmosu. Albo zbliżenia palców u stóp, kiedy podłożył pod nie wolną rękę i wypełniły się bladym różem jego dłoni. Zaczął na niby chrapać. Po dłuższej chwili usłyszał, że Ida przysunęła się bliżej. Znowu poczuł ciężar aparatu na kolanach. Prześcieradła zaszeleściły na łóżku, materac zatrzeszczał. Światło zgasło.

**IDA OBUDZIŁA GO SZTURCHNIĘCIEM W RAMIĘ.** Zimowe światło wypełniało sypialnię. Szybko zamknął oczy.

—No, chodź, Midasie. Chcę ci coś pokazać.

Bił od niej aromat, włosy miała wilgotne. Ubrana była w gołę-bioszarą bluzę i czarną spódnicę przewiazaną białym fartuszkim. Znowu włożyła buciory.

—No, rusz się.

Zmusił się, żeby wstać, i poszedł za nią do kuchni. Zatrzymała się przy oknie, zostawiła mu miejsce, żeby stanął obok. Na zewnątrz cienka warstwa śniegu pokrywała pola wznoszące się ku zwichrzonemu lasowi. W połowie zbocza spacerowały sarny. Małe stadko, najbliższa była może dwadzieścia metrów od nich. Młody rogacz uroczyście przechadzał się między nimi, co jakiś czas strząsając śnieg z poroża.

—Piękne, prawda?

—Tak.

O Boże, pomyślał, kiedy wrócił do niego obraz Idy zgarbionej nad aparatem. Wiedziała, że widział jej stopy. Dlaczego o tym nie wspomniała? O Boże.

Podeszła do kuchenki. Niebieskie płomienie palnika podgrzewały patelnię. Bekon i pomidory skwierczały w oliwie. Zerwała plastikową pokrywę z paczki z bekonem.

—Zrobię ci angielskie śniadanie — oznajmiła. — Żeby podziękować za to, że zostałeś na noc. Masz kaca?

Próbował się uśmiechnąć.

Wrzuciła bekon i przesunęła go na patelni.

—Kawa czy herbata?

—Poproszę kawę.

Za oknem sarna szturchnęła pyskiem pysk rogacza.

Ida nałala kawy do wielkiego białego kubka. W powietrzu rozeszła się para.

—Sok pomarańczowy?

—Słuchaj, Ido...

Popatrzyła na niego, potem znów przeniosła wzrok na bekon.

—No?

—Poproszę kawę.

—Już masz kawę.

Spojrzał na czarne kółko w kubku.

—Tak. To znaczy, jest świetna, dziękuję. Bez soku. Tylko kawa. Wystarczy... hm.

Rozbiła różowe jajko, jego zawartość spłynęła na patelnię. Białko zasycało i zrobiło się mętne.

—Jedno czy dwa? Mam je od farmera, który mieszka za rogiem.



—Hm... Ido?

Posypała jajko odrobiną soli i popatrzyła na niego ze złością.

—Musisz o tym mówić? Chyba możemy udawać, że to się nie zdarzyło.

Przejechała szpatułką wokół brzegów jajka. Za oknem sarny szły przez pole w zwolnionym tempie.

—Słuchaj — powiedziała wreszcie. — Myślałam, że będę zła, ale nie jestem. — Postukała się szpatułką o drugą dłoń. — Przynajmniej nie za bardzo. Nie wiem dlaczego, ale właściwie trochę mi ulżyło. Rano próbowałam zrozumieć powody, dla których byłeś taki wścibski. A ty już je znasz? Może po prostu jesteś fetyszystą stóp? — Roześmiała się. — Ale chciałeś zrobić zdjęcie, prawda? W tym nie ma złej woli.

Przesunęła bekon. Midas zaszurał nogami.

—Lubię cię. — Pokazała na niego szpatułką. — Ale nikomu nie mów o moich stopach. Przysięgam na Boga, że cię zabiję, jeśli to zrobisz.

—Okej — mruknął, przelżykając.

—Śniadanie gotowe. Siadaj.

Odsunął krzesło i usiadł przy stole. Kraciasty obrus leżał po przekątnej, pozostawiając odkryte drewniane rogi.

—No, chcesz to jajko? — zapytała.

—Czy one cię bolą?

Uważnie rozdzielała jedzenie na dwa talerze. Postawiła je na stole, za-grzechotała nożami i widelcami.

Midas wcisnął się w krzesło.

—Słuchaj, powiedziałam, że ci ufam. Wybaczam, że jesteś ciekawski, chociaż nadal uważam, że zachowałeś się niewiarygodnie niegrzecznie. Ale nie mam zamiaru wchodzić w krwawe szczegóły. Chcę o tym zapomnieć.

—Przerażają cię, prawda?

—Midas, kiedy wykopiesz sobie dziurę i ktoś pomoże ci z niej wyjść, to zazwyczaj przyjmujesz pomoc i nie kopiesz dalej.

—Przepraszam.

Usiadła, znów wstała, pociągnęła za tasiemki fartucha, żeby rozsypać węzeł, zmięła fartuch i rzuciła go przez pokój. Znowu usiadła. Wzięła nóż i widelec i wbiła je w jajko, rozlewając żółtko na wszystkie strony.

Głęboko odetchnęła i oparła sztucę o talerz. Przyłożyła dłonie do twarzy i potarła oczy.

—Przepraszam. Masz rację. Przerażają mnie.

—Nie powiem nikomu i nie będę zadawać pytań.

—Dziękuję.

—Doskonała kawa. — Upił kolejny łyk i zabrał się do bekonu.

—Midas?

Przełknął.

—Tak?

—Szkło się rozprzestrzenia. Jestem przerażona. Zaledwie miesiąc temu dotknięte były tylko koniuszki palców.

Przełknął. Teraz, kiedy przestał jeść, kuchnia wydawała się taka cicha.

—Czy... to znaczy, pozwolisz, że zapytam...

—Czy byłam u lekarza? — Pokręciła głową. — Myślisz, że lekarz by pomógł? „Proszę brać antybiotyki. Zagoi się w dwa tygodnie”.

—Może poszukałabyś jakiejś... kuracji alternatywnej?

—Jakiej? Holistycznej? Akupunktury? Jestem w większych opałach niż... — przestała mówić, bo z oczu zaczęło jej kapać.

Spuścił wzrok na jedzenie. Przekroił smażonego pomidora i patrzył, jak nasionka wpływają razem z sokiem.

Ida otarła oczy i napiła się herbaty, ale skrzywiła się, bo herbata już całkiem wystygła.

—Boję się, Midasie, ale to mnie nie powstrzyma.

Pokiwał powoli głową.

—Co ja mógłbym zrobić?

—Mówiłam ci. Nie mów nikomu.

—Chcę ci pomóc.

Patrzył, jak Ida wstaje i, ostrożnie kuśtykając, idzie do czajnika. Pewnie znowoi powie, żeby przestał się wtrącać. Za oknem sarny weszły z powrotem między drzewa.

—Najlepiej, gdybyś... Jak już mówiłam... Boję się. Nie czuję palców u stóp, na litość boską. Nie wiem, gdzie kończą się ja, a gdzie zaczynają się skarpetki i buty. Mógłbyś, jeśli to nie za duży kłopot, po prostu być w pobliżu.

Wstał. Pomyślał, że na filmie byłaby to chwila, kiedy obejmuje dziewczynę w pasie i mówi coś męskiego. A przynajmniej kładzie jej dłoń na ramieniu. Ale ręce miał jak z kamienia.

—Okej — powiedział. — Z tym nie powinno być problemu.

—Dziękuję. Muszę iść do wychodka.

Siedział sam i dziobał widelcem bekon. To duża sprawa. Bardzo duża. Popatrzył na aparat. Czy to nie jakaś zawistna kara, bo za dużo o niej myślał? Ale ulżyło mu, bo nadal była szansa, że zrobi Idzie zdjęcie za jej zgodą.

Zamknął oczy poczuł się nawet szczęśliwy z tego powodu, chociaż z drugiej strony martwił się, że Ida zmienia się w szkło.

**CARL MAULSEN CHWYCIŁ SIĘ BALUSTRADY PROMU** i patrzył na fale. Stawały dęba i pluły jak kobry. Gęsta mgła zawężyła świat do pomalowanego na biało metalu statku kołyszącego się na morzu. Wiatr ocierał się o niego wstążkami mgły, która owijała się wokół jego rąk albo zapędała na szyi.

Odetchnął głęboko zimnym, słonym powietrzem. Gdyby powiedzieć, że przez ostatnich kilka dni nawiedzała go Freya MacLaird, nie byłaby to metafora. Nie wierzył w duchy, ale kiedy pewnej nocy drzemał w pokoju, widział ją, jak projekcję, na ścianie. Wydawało mu się, że dostrzegł Freyę na zatłoczonej ulicy. Przepychał się do niej, zanim wrócił mu rozsądek. Zaczął odpowiadać gniewnym wzrokiem na spojrzenia przechodniów, których odepchnął łokciami. Mimo wszystko był pewien, że rozpoznał jej ubranie i spieczony słońcem nosek z czasów, kiedy miał dwadzieścia jeden lat i oboje wracali z plaży na uniwersytecki kampus.

Potem, którejs z kolei nocy, zachorował. Obudził się cały zdrętwiały. Wił się w łóżku zaplątany w prześcieradło. Koce — jedyna ochrona przed zimnem wywołującym szczykanie zębami — były zrobione z materiału gorącego i lepkiego jak lava. Wpadł pod hotelowy prysznic, usiadł, kaszląc i pocąc się pod strugą letniej wody. Potem poczuł się lepiej. Jak zdjęty z krzyża, ale odrodzony. Przestał sobie wyobrażać, że widzi Freyę. Wziął się w garść.

Teraz na promie patrzył na białe smugi owiewające jego ręce. Gdzieś we mgle zabrzmiał róg.

Midas Crook pisał kiedyś i dyskutował z Carlem w swoim zagraconym gabinecie o niszczącym działaniu czasu na człowieka. Przedstawił życie jako ubranie. Najpierw wkłada się na siebie warstwy odzieży w zimny poranek, potem dokonuje poprawek przed wyjściem do pracy. Wieczorem powrót do domowego ubrania, na koniec rozbieranie się z nadejściem nocy. Crook powiedział, że każde ubranie to jeden z wielu charakterów jakie człowiek wdziewa na siebie za życia.

Carl argumentował, że przypowieść byłaby lepsza, gdyby dotyczyła ubrań noszonych przez okrągły rok, bo osobowości nie narastają i nie pokrywają się warstwami przez całe życie, ale są wielokrotnie zrzucane, zmieniane, kupowane i sprzedawane.

Zszedł z promu z walizką stukoczącą z tyłu i usiadł w ciasnej herbaciarni wychodzącej na port, między zużytymi kubkami a brudnymi talerzami, niesprząniętymi przez niemrawy personel.

Teraz obawiał się, że Crook miał rację. Carl zawsze myślał, że życie zmieniło go wielokrotnie, wymieniało osobowości, ulepszało. Tak jak ciało, które na nowo odtworzyło wszystkie komórki, odbudował całą osobowość, żeby uczynić ją mocniejszą, swoją własną, niezależną od Freyi.

Ale teraz poczuł się jak człowiek z przypowieści Cooka. Ubranie do pracy przetarło się i zaczęła spod niego przeświecać ukryta odzież z przeszłości.

Na wyspie długo czekało się na taksówkę. Już na promie skończył czytać — po raz tysięczny — *Odyseję*. Dla zabicia czasu zamówił sobie ciepłą filiżankę herbaty — za słodką jeszcze przed dodaniem cukru — i wziął miejscowy tabloid sprzed dwóch dni, poplamiony kawą. Przez pół godziny przeganiał cienie z głowy, wreszcie taksówka zatrąbiła, zostawił filiżankę wśród innych brudnych naczyń i wyszedł.

W kierowcy mglisto rozpoznał człowieka, który zawiózł go do portu, kiedy opuszczał wyspę. Taksówkarz też go poznał. Kiedy jechali, zapytał, jak udała mu się podróż. Carl unikał rozmowy, udzielał monosylabicznych odpowiedzi. Nagie pola z białymi drzewami i czarnymi wronami przemykały jak szachownica. Kiedy popatrzyło się na niskie chmury, nie można było rozróżnić, czy wiry, które się widzi, to złudzenie optyczne czy kotłujący się śnieg.

Zatrzymali się przed domkiem. Wyjął walizkę, zapłacił, postać minutę przed niebieskimi drzwiami z tą śmieszną podkową. Od Freyi. Położył dłoń na pokrytej wodą farbie, pokręcił głową w obie strony, aż trzasnęło należyście. Rozprostował ramiona, chuchnął w dłoń, żeby sprawdzić zapach oddechu, wreszcie chwycił za kołatkę i trzy razy mocno zastukał we własne drzwi.

Przywitała go Ida. Jedną ręką opierała się o ścianę, drugą o drewniane szczudło. Natychmiast je rozpoznał; sam zrobił. Na pewno znalazła je oparte o ścianę saloniku i bez wahania zaczęła z niego korzystać.

Podeszła, żeby go uściskać. Nieśmiało poddał się jej objęciom. Ścisnęła go tak, jakby otwierała się pod nią przepaść. Kiedy w pośpiechu wyjeżdżał z domu i zwrócił uwagę na jej łaskę, powiedziała coś niewyraźnie o złamanej kości, która prawie się zrosła. Nie miał czasu na dociekania. Teraz, kiedy zauważył wymuszony bezruch, wątpił, czy była wobec niego szczerą.

Wchodząc za nią do domku, zobaczył, że zlew jest pełen pryskającej piany. Zmywanie dopiero się zaczęło i nad zlewem nadal unosiła się para. Leżały w nim dwa talerze, dwa zestawy sztućców, dwa kubki do kawy.

—Miałaś gościa — powiedział obojętnie. Zdziwił się, że to go irytuje.

Wzruszyła ramionami.

—Dopiero co się minęliście.

Uniósł brwi. Uderzyła go ścierką.

—Przepraszam, Ido. Wtykam nos w nie swoje sprawy.

—Weź się w garść, Carl. Do niczego nie doszło.

Podniósł ręce i zmusił się do polubownego uśmiechu.

—Nawet jakby co, to nie mój interes. Miejscowy chłopak?

—Tak, oczywiście. Spotkałam go w Ettinsford. Fotograf.

Więc nie jest człowiekiem sukcesu. Na St. Hauda's Land nie było miejsca dla fotografa, który odniósłby sukces.

—Jakoś się nazywa?

—No jasne.

Carl nadal się uśmiechał.

—Nie powiesz mi jak?

Wyjęła ścierkę.

—Zresztą to bez znaczenia — dodał.

—Naprawdę? To zabawne. Wydaje mi się, że go znasz. Ma na imię Midas.

Od razu powinien się domyślić, że chodzi o chłopca, ale najpierw pomyślał o jego ojcu.

—Znałeś jego ojca, prawda? Trzymasz jego zdjęcie na półce.

—Tak.

—No więc...

Kiedy dostali doktoraty, szalała wichura. Fotograf musiał powtarzać zdjęcia, bo ilekroć je robił, wiatr spychał Midasa Crooka poza kadr.

Oczami wyobraźni zobaczył ich wszystkich razem. Freya i Midas Crook. Ida i on sam. Ida i jego młodsze ja. Ida i Crook. Parsknął i pokręcił głową.

—Co takiego, Carl?

Bawił się w cieślę. Rąbał drewno, czuł smak trocin w powietrzu, kiedy strugał szczudło, na którym teraz opierała się Ida. Wbijał gwoździe. Wypróbował szczudło, opierając się o nie z całej siły. Potem pojechał na złamanie karku do szpitala, gdzie leżała ranna Freya, z połamanymi żebrami i złamaną nogą, po wypadku, któremu uległa, kiedy spuszczała się po linie. Zdrowiała, chodząc o szczudle. Później, pewnego letniego poranka pachnącego kwiatami otworzył drzwi przed kichającym listonoszem z wąską paczką. Żadnego wyjaśnienia, tylko zwrot podarunku i sacharynowa kartka od Freyi MacLaird, chociaż wcześniej zawsze podpisywała się po prostu Freya. Rozpakował szczudło i wciągnął powietrze, przesuając nos wzdłuż drewna. Miał nadzieję, że poczuje jej zapach. Ale docierał do niego tylko zapach kwiatów w powietrzu.

—Nic — powiedział. — Bardzo... go podziwiałem. Był dla mnie kimś w rodzaju mentora. Jak się miewa jego chłopiec?

Roześmiała się.

—Trochę dziwak z niego. Ale uważam, że jest słodki. Nie lubił ojca.

—No tak, niewielu z nas go lubiło.



**MIDAS PODZIWIŁ TO, KIEDY BYŁ MAŁYM CHŁOPCEM** i siedział na najniższym schodku, w cieniu domu rodziców. Myślał, że to będzie skapywać albo lać się, ale tylko błysnęło i zniknęło w mgnieniu oka. Naprawdę się przesunęło. Z szybkością dziesięciu milionów kilometrów na sekundę. A jeśli to zatrzymać...

Zaciągnął rolety i zasunął ciężkie kotary. Zdjęcia na ścianach znów stały się arkuszami papieru. Ciemność zredukowała ich odcienie do jednorodnej szarości. Równie dobrze mógłby siedzieć na kamieniu, w mroku jaskini. Ale wtedy podłączył kabel do lampy błyskowej.

I oto było, uderzyło w zasłony. Wydobyło siatkę granatowych włókien i zniknęło tak teatralnie, jak się pojawiło. Po błysku wszystko zrobiło się ciemniejsze. Czekał ogarnięty grozą, aż przyćmione wstążki światła wypełzną na korytarz. Kiedy ciemność przeobraziła się w półmrok, znów podłączył kabel. Lampa błyskowa zamruczała.

Zdjęcia na ścianach przeszły z szarej nicości w ulice i sztywne postacie w eleganckich ubraniach, potem ponownie zapadły się w nicość. Niebieski ślad światła na powiekach zbladł. Midas był gotów jeszcze raz nacisnąć guzik, żeby wywołać kolejny błysk, kiedy niespodziewanie otworzyły się drzwi, a korytarz wypełnił się kolorem i hałasem.

Zmrużył oczy, zobaczył, jak matka wchodzi, kulejąc. Piegowatymi ramionami przyciskała do piersi kartonowe pudło. Napłynęło z nią parne powietrze, a wraz z nim zgiełk ruchu ulicznego i szczebiot ptaków. Energetycznie wytarła nogi o wycieraczkę i podskoczyła ze strachu.

—Och — wyszeptała odprężona. — To ty. Tak tu ciemno, że cię nie zobaczyłam.

Drzwi wejściowe zamknęły się, powróciła łagodna ciemność. Matka uśmiechnęła się do Midasa i siedzeniem popchnęła drzwi do jadalni. Tam też było ciemno. Podłączył kabel do lampy błyskowej. Matka krzyknęła i o mały włos nie upuściła pudła. Mocniej przycisnęła je do piersi, głaszcząc opiekuńczo jedną ręką.

—Synu, nie powinieneś mnie tak zaskakiwać.

Kulejąc, weszła do jadalni. Wstał i poszedł za nią. Położyła pudło na stole i klasnęła w ręce.

—Ojca nie ma, prawda?

Pokręcił głową.

Uśmiechnęła się i znowu klasnęła, potem odwróciła się na pięcie i energicznie rozsunęła zasłony. Słońce wlało się przez szyby. Wyjęła spinę z koka i potrząsnęła kędzierzawymi włosami. Światło przeświecało przez nie i rozświetlało beżowy materiał sukienki. Nucąc jak pozytywka, zerwała kawałek taśmy z paczki. Ogarnięte paniką cząsteczki kurzu zawirowały w świetle.

W paczce było pełno styropianowych kulek. Wyjmowała je z zapalem całymi garściami. Wyrzucone w powietrze zamieniały jadalnię w coś w rodzaju śniegowej szklanej kuli. Przestała na chwilę, potem z pierwszego pudła wyjęła mniejsze pudełko. Wzięła nożyk tapicerski i delikatnie nacięła taśmę na opakowaniu. W środku były znów białe kulki i coś owiniętego w ozdobny papier, który trzeszczał i szeleścił, kiedy go rozwijała.

Drewniane pudełko ze szklaną szybką. Kiedy mu pokazała, zobaczył w środku pięć przyszpilonych owadów. Ważki, wszystkie wielkości jego pięści, wszystkie nieskazitelnie białe. Mlecznobiałe skrzydła rozprostowane i przymocowane szpilkami. Upiorne, bezbarwne oczy wielkie jak perły. I do tego napis, ale Midas nie potrafił go odczytać.

Matka zamknęła oczy, zaczęła drzeć i głośno wciągać powietrze, żeby się uspokoić.

—Słuchaj, synu — powiedziała, kiedy znów otworzyła oczy. — Zabierz pudło i te wszystkie śmieci na wysypisko. Dam ci trochę pieniędzy. Kup sobie jakieś słodczy, jak będziesz wracał.

Popatrzył na słońce na chorobliwie zielonym trawniku.

—A ty nie możesz tego zabrać? Masz przecież samochód.

—Bądź dobrym chłopcem.

—Nie chcę wychodzić.

—Słuchaj... muszę... to schować. Zanim wróci twój ojciec. On nie zrozumie. Bądź grzeczny, synku.

Zebrali kawałki styropianu i włożyli je z powrotem do paczki. Potem matka dała mu kilka monet. Niechętnie wyniósł pudło z domu. Ale dalej nie poszedł, zakradł się z powrotem do środka, żeby ją szpiegować.

Patrzył, jak dumnie — choć przez chorą nogę niezgrabnie — wirowała na korytarzu z urojonym partnerem do tańca. Bez wahania podkradł się do kredensu, gdzie rodzice trzymali polaroid, i na paluszkach wrócił, żeby wykorzystać matkę jako model. Robił zdjęcia jedno za drugim. Cieszył się, słysząc, jak wypadają z warkotem. Kładł je na podłodze kuchni, a matka nuciała w korytarzu. Kształty wylaniały się z bieli jak odkrywcy wychodzący z zadymki śnieżnej. Zachwył tak go pochłonał, że nie usłyszał, jak matka zamilkła. Przyłapała go, kiedy ślęczał nad zdjęciami.

—Synu — syknęła, podbiegając do zdjęć. Kiedy je zobaczyła, przyłożyła rękę do czoła i jęknęła.

—Matko?

U drzwi wejściowych rozległ się hałas. Odwróciła się do Midasa nagle zaniepokojona. Jej oczy stawały się coraz większe.

—Szybko! — wycodziła, ale hałas wywołała tylko popołudniowa gazeta wrzucona przez otwór na listy. Matka złapała się za serce. Potem znów zaczęła się denerwować. — Muszę ukryć ważki — powiedziała bardziej do siebie niż do niego. Podniosła stosik fotografii. — A ty schowaj to. I wyrzuć pudło na wysypisko. Mówiłeś, że wyrzucisz. Proszę, zrób to dla mnie.

Wzruszył ramionami i wyszedł na dwór, zabrał pudło i poniósł je kilka kroków ulicą, a potem skręcił w zasypany liśćmi zaułek. W upale pocił się pod bluzą. Ptaki skrzeczały i odlatywały, kiedy przechodził. Czarno-żółta gąsienica zwisała z łądyżki, budowała kokon, żeby przeistoczyć się w coś innego. Pałace słońce było wszędzie, oślepiało. Biegł, żeby jak najszybciej pokonać drogę do wysypiska. Alejka skręcała w prawo, w stronę kontenerów na gruz i warczących maszyn. Umięśnieni robotnicy w neonowych kamizelkach popatrzyli na niego krzywo, kiedy potruczał po schodkach do kontenera i wrzucił pudło na podściółkę ze śmieci. Kiedy schodził, jeden z mężczyzn powiedział coś na temat jego fryzury. Pospiesznie wrócił do cienistej alejki.

Kiedy dochodził do domu i już otwierał furtkę do ogrodu, ktoś krzyknął.

—Midas!

Ojciec. Szedł ulicą w swetrze koloru czerwonego wina na białej koszuli z czarnym krawatem. Nie było na nim ani kropli potu. Światło błyszczało w jego okularach i na łysej głowie, rozpraszało się w gęstych wąsach. Skinał na Midasa przy furtce.

—Bawiłeś się na ulicy?

—Nie... Poszedłem kupić film do aparatu.

Ojciec pokręcił głową i przepchnął się przez furtkę.

—Kieszonkowe powinienes wydawać na książki. Nie wiedziałeś? Na książki, Midasie. — Zatrzymał się, palce mu drgnęły. Ukucnął przy skraju trawnika.

—Aha... co my tu mamy? — Podniósł kuleczkę styropianu, jakby to był rzadki klejnot. Obracał ją, gładził wąsy. — Hm. Proszę, proszę.

**BYLEJAKOŚĆ WRÓCIŁA DO DOMU.** Matka Midasa znów opuściła rolety i zasunęła kotary. Stała w korytarzu, ojciec wycierał buty o wycieraczkę, potem ukucnął i rozwiązywał sznurowadła.

—Dzień dobry, kochanie — powiedział słodko.

—Dzień dobry. Jak się masz, kochanie.

Zaniepokojona, z wahaniem podeszła bliżej. Ojciec zdjął buty i podał Midasowi. Syn postawił je na półce i wręczył ojcu kapcie, które ten włożył na kraciaste skarpetki. Potem ojciec wziął matkę za rękę. Odwrócił jej dłoń i wcisnął w nią kuleczkę styropianu.

—Śmieci. Na pewno rozrzucił je w naszym ogródku jakiś maćci ciel.

Rumieniec — słabo widoczny w mroku — spęłzył z jej twarzy. Z ukosa rzuciła zrozpaczone spojrzenie Midasowi. Ale co on mógł poradzić?

—Śmieci — powtórzył ojciec. — Chyba że dziś dostarczono ci kolejną paczkę.

Przygryzła wargi, żeby się nie trzęsły. Rzuciła wzrokiem na lewo i prawo.

—Słuchaj — podjął, przyglądając węża. — Nie chcę powtarzać całej sprawy. Ale obiecałaś: już nigdy więcej żadnych paczek.

Chciała coś wyjąkać, ale dała za wygraną.

—Rozumiem, kochanie, że nic na to nie poradzisz, że ci przysyłają. A poczta, mimo naszych obiekcji, trzyma je dla ciebie. Oczywiście, mają tam nawał pracy i zapomnieli, jak im mówiłaś, żeby te przesyłki zwracano nadawcy.

—To... to nie były te przesyłki. To tylko normalna paczka, kochanie.

—Z czym?

—A... a...

Westchnął.

—Gdzie to schowałaś? Nie chcę przewracać domu do góry nogami. Miałem nadzieję dokończyć Pliniusza przed kolacją.

—Ja... ja tego... nie schowałam.

Wzruszył ramionami i wyraźnie znużony zaczął wchodzić po schodach. Matka poszła za nim do sypialni. Midas patrzył od drzwi, jak ojciec włącza lampkę, żeby lepiej widzieć, i przegląda szuflady jedna po drugiej. W dolnej trzymane były bielizna i piżamy. Wyjął wszystko po kolei. Zwyczajne szare slipy, a głębiej, postrzępione koronkowe figi i biustonosz ze zmiętymi kwiatami z tkaniny.

—Ach! — zawołał. Jego długie palce chwyciły ważki w pudełku ze szklaną szybką. Opuścił ramiona. Uśmiechnął się promiennie do matki, połamał tylną ściankę i wyciągnął szpilki. Martwe owady wypadły na łóżko. — Fascynujące. Chociaż trochę makabryczne.

—Ty... Są śliczne. Proszę, nie niszcz ich.

—Droga Evaline, ocena ich piękna jest nieistotna. Powtarzam pytanie: kto je przysłał?

Milczała.

Pokiwał głową i ostrożnie podniósł pierwszą ważkę.

—Midasię, poproszę kosz na śmieci.

Midas potruchtał chyłkiem do kuchni i przydźwigał kosz. Ojciec go nie wziął. Ważka zachrzęściła w jego pięści jak ozdobny papier. Matka wzdrygnęła się, słysząc ten dźwięk. Ojciec otworzył pięść i strzepnął palcami. Kawałki białego skrzydła i zakrzywionej nogi w ostatnim locie opadły spiralą do kosza.

Miażdżył ważki jedną po drugiej; matka opadła ciężko na łóżko. Potem wrócił zmęczonym krokiem do gabinetu. Midas postać jeszcze chwilę, potem cichaczem zszedł ze schodów, tam gdzie panowały przyjemne ciemności, żeby pobawić się fleszem.

**W OGRODZIE GUSTAVA LEŻAŁA GRUBA WARSTWA ŚNIEGU**, który padał przez całe popołudnie. Denver — zapięta pod szyję na wszystkie guziki i suwaki — rękami zgarniała śnieg na kupkę, żeby ulepić bałwana. Była myszowatą siedmiołatką. Kiedy się uśmiechała, odsłaniała krzywe ząbki. We włosy miała wpiętą stokrotkę ze szklarni. Gustav pomagał, wykonując czarną robotę pod rozkazami córki, a Midas zajmował się szczegółami: marchewką, spłowiałym filcowym beretem i torebką orzechów przeznaczonych na guziki.



Zamknął oczy, zimne płatki śniegu opadały mu na twarz. Podczas tych chwil rodzinnego szczęścia czuł się czasem jak oszust podający się za kogoś innego. Gustav zażartował kiedyś, że Midas jest teraz zastępczą matką dla Denver. Kiedy zobaczył, że Midas jest zakłopotany, wyjaśnił, że nie ma w tym nic złego: nie mógłby prowadzić kwaciarni i opiekować się córką bez pomocy starego przyjaciela.

To było jeszcze gorsze, bo prawdziwe. Jasne, Midas uwielbiał towarzystwo Denver. Tylko że... Gdyby Catherine żyła, to ona robiłaby bałwanowi oczy, nie on. Wciskając orzechy w sypki śnieg, myślał o tym, co się z nią stało tam, na Lomdendol Tor, i gorzko żałował, że nie może się odwrócić i zobaczyć, jak Catherine potrząsa marchewką albo niesie rękawice na zrobione z gałązek ręce bałwana.

Słodko-gorzkie popołudnie z przyjaciółmi było jednak lepsze niż samotne przesiadywanie we własnej kuchni. Przez parę ostatnich dni tłumił poczucie winy, że ukrywał przed Idą to, co wiedział o Henrym Fuwie. Teraz niepokoił się, że tylko wyznanie prawdy może mu ulżyć. Potem zastanawiał się, co dobrego by z tego wynikło, bo chociaż znał nazwisko Fuwa, to o kryjówce, którą ten sobie wybrał na St. Hauda's Land, wiedział nie więcej od Idy. Żeby oderwać się od tych myśli, oglądał ściany obwieszane fotografiami. Zdjęcia wywoływały rozmaite wspomnienia, czasem tworzyły nowe. Uciekł z kuchni, zamknął drzwi i pobiegł śliskimi chodnikami do domu Gustava. Był świadom tego, że teraz tłum w sobie coś jeszcze. Chociaż sam się nie orientował, gdzie mieszka Fuwa, sądził, że zna kogoś, kto mógłby wiedzieć.

—Jutro będziemy piekli babeczki z nadzieniem bakaliowym — zakomunikowała Denver, kiedy wrócili do domu i Gustav namawiał ją, żeby zmieniła przemoczone ubranie. Była poważnym dzieckiem z czupryną rudych włosów i oczami za dużymi na piegowatą twarzyczkę. Niedawno wyrosły jej stałe zęby, które zachodziły na siebie jak talia kart. — Tata obiecał, że znajdzie foremki do ciastek, to upieczemy biszkopty. Pomożesz?

Midas zagapił się na pobielały świat.

—Midas!

—Przepraszam, co mówiłaś, Den?



Gustav wciął się z komentarzem na temat jej wilgotnych włosów. Przegnał córkę z kuchni. Wyszła bez narzekania, oglądała się tylko z niepokojem na Midasa. Gustav zamknął za nią drzwi.

—Co jest nie tak?

—Chodzi o Idę.

—Aha. Chcesz piwa?

—Naprawdę, nie mam nastroju.

—Midas... Wiem, że jest sto spraw, o których nigdy mi nie powiesz, i w porządku. Ale jeśli chcesz się pozbyć chociaż części melancholii, to obecny tu głupol chętnie ci pomoże. Może brandy? Albo parę wesołych wiwatów?

—Hm, Gus, to nie są problemy natury romantycznej. Po prostu. .. Słyszałeś kiedyś o Henrym Fuwie? Mieszka na wyspie.

—No... pfff. Nie. Możemy sprawdzić w książce telefonicznej i w rejestrze klientów kwiaciarni.

—Już to zrobiłem.

—Wynajęła cię? Zostałeś jej detektywem czy co?

—Ja, hm, ja... wyrzuciłem go z rejestru klientów.

—Kolejnego?

Zadzwoił telefon. Gustav popatrzył na numer na wyświetlaczu aparatu.

—Znowu mama Catherine. Naprawdę musi przeżywać ciężkie chwile.

—Lepiej odbierz.

Gustav podniósł słuchawkę i zaczął kolejną męczącą rozmowę z teściową o tym, gdzie spędzą Boże Narodzenie. Gustav nie chciał jechać na kontynent, żeby spotkać się z rodzicami Catherine, którzy przeprowadzili się tam po wypadku. A rodzice Catherine nie chcieli wyprawiać się na St. Hauda's Land, gdzie nie byli, odkąd tamto się zdarzyło. Po wielu telefonach skończy się to patem i wtedy jedna albo druga strona zaproponuje, żeby spotkać się za rok.

Otworzyły się drzwi. Wróciła Denyer. Chwyła Midasa za rękę i zaciągnęła go do salonu.

—Tę zabawę sama wymyśliłam. — Ukłękła za stosem pudeł na buty leżącym na dywanie. — Uważam, że jest bardzo dobra.

Za nimi stała świeżo wycięta, nieprzystrojona choinka. Wypełniała pokój zapachem sosnowych igieł.

—Dobrze... — Denver podniosła wieczko pierwszego pudła. W środku, owinięte w beżowy papier do wycinanek leżały bombki i misterne drewniane ozdoby. Midas pomyślał o ostatnim Bożym Narodzeniu. Obserwował, jak Gustav miażdży młotkiem szklaną kulę ze śnieżynkami, kiedy myślał, że nikt nie widzi. Powiedział, że przywozila mu na myśl powietrze tam, na Lomdendol Tor.

—Zasady są proste. Musisz tylko powiedzieć, co to za ozdoba, zanim powiesz ją na drzewku. Taka, jak ta... — Wyciągnęła z pudła niebieską, metaliczną bombkę. — To jest świat, kiedy Bóg zalał go potopem. A kiedy przyjrzesz się z bardzo, bardzo bliska — przycisnęła ozdobę do oka — to prawie zobaczysz arkę. I Noego. On jest łysy. I pływające narwale. — Zawiesiła nitkę bombki na gałązce i wyciągnęła pudło do Midasa. — Twoja kolej.

Sięgnął i wyjął pomarańczową bombkę mieniającą się kolorami tęczy.

—To karoca z dyni — oznajmił po dłuższej chwili. — Ale trzeba jeszcze znaleźć do niej koła.

Denver z aprobatą kiwnęła głową.

—Zawiesić ją za ciebie?

—Nie, ja to zrobię. — Znalazł odpowiednią gałązkę tuż przy czubku.

Denver wyjęła kolejną bombkę. Krwistoczerwoną, osypaną rubinowym pyłem.

—To jest Święty Mikołaj, który zjadł za dużo — oświadczyła.

Midas podrapał się po głowie.

—Nie rozumiem, jaki sens ma ta zabawa...

—Cśśś! — Obejrzała się za siebie, w stronę kuchni, gdzie Gustav z rezygnacją opierał się o ścianę, wolną ręką pocierał czoło i stukał nogą o podłogę. — Podglądałam... Zabawa polega na tym, żeby przez chwilę samemu się okłamywać. Żeby rzeczy nie były takie, jakie są naprawdę.

—He?

—Twoja kolej.

Wyciągnął całkowicie przezroczystą szklaną bombkę.

—No, dalej — poganiała go Denver. — Musisz się zdecydować, co to jest.

Szkło zniekształcało mu dłoń. Zadrżał.

—Kryształowa kula — powiedział, widząc swoje krzywe odbicie, szczuplejsze, z wylupiastymi oczami: był bardziej podobny do matki. Potem, kiedy obrócił kulę, zrobił się wychudzony, policzki miał ziemiste: bardziej jak ojciec. Obracał ją i patrzył, jak oscyluje między kodami genetycznymi. Przypomnił sobie zapach torfu; nucącą matkę, szczęśliwszą niż kiedykolwiek; ważki z bagien; połamany bukiet kwiatów wrzucony do kosza; napis znakami nihongo; wodę kapiącą z przyciętych łądyg; rozmazany, nieczytelny atrament.

—Tak! — pisnęła Denver, uśmiechnęła się zębato. — Wiedziałam, że to zadziała!

Popatrzył na nią zaskoczony.

—Co?

—Bo ignorowałeś to, co miałeś z tyłu głowy. A ja w ten sposób spędzam czas z myślami z tyłu swojej głowy.

—Jak to jest, że stałaś się taka odważna, Den?

Wzruszyła ramionami.

—Czasem ma się cholernego pecha, tak mówi tata. — Wstała i poprawiła bombkę na choince. — W każdym razie nie sądzę, żeby tu chodziło o odwagę. Nie chodzę po kałużach, żeby do nich nie wpaść i nie umrzeć jak mama. Ale jesienią, kiedy było tyle wody, wpadłam do kałuży i musiałam

się sama wygramolić. Nie czułam się bezpieczniejsza ani gorsza. Musiałam się wydostać albo poczekać, aż wyjdzie słońce i wszystko wysuszy.

Midas wstał.

—Masz rację, Den. Tak, przynajmniej od czasu do czasu trzeba przestać być odważnym i pogodzić się z losem. Muszę iść. Powiesz tacie do widzenia ode mnie?

TLR

**MOSTY Z GURM NA LOMDENDOL ISLAND** zawsze przypominały Midasowi obalone pylony. Stare stalowe dźwigary, pokryte białym morskim nalotem zygzakowały między skalistymi wysepkami nad otchłanią rozkołysanego oceanu. Po stronie Lomdendol nikły w tunelu wyrąbanym w skalnej fasadzie. W istocie był to najniższy odcinek skalistego pagóra. Po drugiej stronie tunelu droga wspinała się pod górę, przerywając ośnieżone skalne gzymsy. Latem cień wzgórza padający w poprzek wyspy miał ostre granice. Zbocza były wtedy szare, morze między mostami ciemne i głębokie, chociaż w oddali, tam gdzie słońce operowało bez przeszkód, woda skrzyła się jaskrawym błękitem. Z przyjściem jesieni cień wzgórza jakby uwalniał się z więzów. Upodabniał się do gazu w powietrzu. Na Lomdendol Island nic nie pozostawało wolne od ciemności. Ziemia reagowała połączeniami grzybni i szarymi jak kamyki kapeluszami. Ślimaki, nagie i w skorupach, płazy radowały się wilgotnym cieniem i często widziano, jak przemierzały chodniki Martyr's Pitfall, głównej wioski Lomdendol. Z przyjściem zimy cień skuwał ziemię niewidzialnymi pokrywami lodu, czynił z chodników ślizgawki i lustra z kałuż.

W oczach Midasa Martyr's Pitfall był cełą śmierci dla starych ludzi. Domy chytrze pobudowano tak, żeby z jednego nie widziało się drugiego, co dawało złudzenie, że są osobnymi siedzibami w wiejskim krajobrazie. Midas zaparkował. Na języku poczuł cień wzgórza, jak miedzianą monetę. Zadrżał. Gdzieś tam, na zamglonym szczycie znajdowała się ukryta sadzawka, która pochłonęła Catherine.

Na trawniku przed domem leżał śnieg, tłumiał dźwięk gongów wiszących w ogrodzie matki. Midas przytupywał na stopniu przed drzwiami i zacierał ręce w rękawiczkach. Cherubin z brązu wgryzał się w kółko kołatki. Midas chwycił je i ponownie zastukał do drzwi. Dom miał dopiero kilka lat, cegła nadal pozbawiona była charakteru, a kwadratowy ogród narzucał się krajobrazowi. Midas nie znosił tego ogrodu: tandetnej kołatki z cherubinem, tandetnej fontanny ogrodowej w kształcie greckiej nimfy, tandetnego zegara słonecznego z napisami w podłej łacinie. Jasne, sam nie należał do ludzi żądnych przygód, ale matka nie miała nawet sześćdziesiątki i uważała, że powinna się zająć jakąś pracą i nie zamykać w wiosce, która nie by-

ła niczym więcej niż rozproszonym po okolicy domem opieki. Zawsze pytał siebie, dlaczego po śmierci ojca nie potrafiła uwolnić się od jego ducha i podjąć życia, którego jej zabraniał. Tymczasem ona zameldowała się tutaj, zadowolona, że przeskoczyła wiek siwizny i weszła prosto w wiek bezzębności.

Pamiętał stypę po pogrzebie ojca. Monotonne skubał jedzenie kupione i przyrządzone przez ciotkę. Ciasta bez smaku, kanapki, jakby prosto ze stawu, lukrowane ciasteczka z rozgniecionymi, cukrowanymi wiśniami. Jedzenie zmarłego. Nałożył sobie na papierowy talerz plasterki ogórka i naleśniki z mąki owsianej i zaczął się rozglądać za kątem, gdzie mógłby uniknąć gości. Najlepszy znalazła matka. Nadal potrafił wyobrazić ją sobie w czarnej, koronkowej sukience. Siedziała na parapecie, a przeciąg poruszał firankami, niosąc ze sobą zapach deszczu na asfalcie. Palcami stuknęła w ciągle pełną szklankę wody<sup>7</sup>. Tkwiła tak przez całe popołudnie. Nie napiła się też wody ani nie skosztowała jedzenia. Żaden z nielicznych gości nie odezwał się do niej. On nie odezwał się do niej. Ale pamiętał, jak w duszy łkał, żeby zaczęła jeszcze raz.

Znów zastukał. W środku warczał odkurzacze. Nikt nie odpowiedział. Wiatr dmuchał między patykowatymi roślinami w ogrodzie. To były krzewy róży, ale dzięki pracy w Catherine's wiedział, że są zbyt chorowite, żeby zakwitnąć. Kilka lat temu matka przestała pielęgnować białe róże. Przytknął ucho do drzwi, usłyszał wyraźniejszy pomruk odkurzacza.

**PAMIĘTAŁ, JAK PO PIERWSZEJ PRÓBIE SAMOBÓJCZEJ OJCA** matka zdwoiła wysiłki, żeby związać ich troje jako rodzinę. Siedząc w dżdżyste popołudnie na kanapie, po przeciwnej stronie ojca, majstrował przy aparacie, a stary ślęczał nad grubą księgą z pożółkłymi kartkami. Matka podeszła na paluszkach, nachyliła się ukradkiem i pocałowała go w policzek.

Ojciec krzyknął i podskoczył, chwycił się za pierś nad sercem.

—Evaline!

Zachichotała. Trzymała bukiet białych, nieprofesjonalnie zapakowanych róż. Hodowała je w ogrodzie od poprzedniego lata i teraz ścięła najładniejsze na prezent. Kiedy ojciec patrzył przerażony, matka wyjąkała oklepany, wyuczony na pamięć wierszyk, potykając się o rymy.

—Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy.

Wcisnęła mu różę w ramiona, ale on się odwrócił, kalecząc dłoń o cierń. Drgnęła i znów podała mu różę. Złapał je, wysunął szufladę, znalazł nożyczki i zaczął ciąć kwiaty, aż białe płatki zaległy cały dywan, a po pokoju rozniósł się ich aromat. Obrażony wyszedł, ssąc dłoń w skaleczonym miejscu, i zamknął się w gabinecie.

W tamtych dniach dojrzewanie obezwładniało Midasa. Sprawiało, że jego odwaga była w równie żalnym stanie, jak odwaga ojca. Nie potrafił pocieszyć matki. Siedziała na kanapie i wrzeszczała.

Potem wysunęła ręce, wężowatym ruchem otoczyła jego szyję i przyciągnęła do siebie. Czuł na twarzy jej suche włosy, w uchu słyszał ohydne chlipanie. Szarpnął się, ale trzymała za mocno. Musiał ją odepchnąć, żeby uciec. Odskoczył, stanął, ciężko dysząc, ona niepohamowanie kiwała głową, jakby dostała ataku. Zacisnęła pięści i waliła nimi o kolana. Poczł się winny, że nie pocieszył matki, ale przerażenie wywołane jej dotykiem było nie do opanowania. Skórę miała cienką, papierową, łyzy takie gorące. Po prostu stał bez ruchu i przyciskał ręce do serca jak ojciec.

**NAGLE DRZWI DO DOMU MATKI W MARTYR'S PITFALL** uchylły się i wyjrzała młoda kobieta. Midas stał na schodku i trząsł się z zimna. Znów był dorosły.

—Cześć — powiedziała powoli, przyglądając mu się badawczo.

—Cześć, przyszedłem odwiedzić matkę.

Wyraz rozpoznania pojawił się na jej twarzy.

—A pan Crook! Od razu wiedziałam! Miło pana widzieć. Powiem jej, że pan wpadł.

Przywarła do drzwi, przymknęła je trochę bardziej.

Chłopak, próbując zachować uprzejmość, postawił nogę na progu.

—Hm... wejść.

—Ale...

—Przecież wiem, że jest w domu. — Wśliznął się z przeproszącą miną, zdjął buty i postawił je na wycieracze.



Młoda kobieta wyglądała na zirytowaną.

—Hm, cóż... Pozwoli pan, że ją powiadomię o pańskim przybyciu. Spytam, czy zechce...

Pokręcił głową, wszedł w krótki korytarzyk, zrobił krok nad odkurzaczem i otworzył drzwi do pokoju. Dziewczyna ze złości złapała się za głowę. Była służącą, którą matka zatrudniła do opieki, robienia zakupów, gotowania, czasem do kąpienia jej i wycierania.

Matka siedziała na fotelu przyciągniętym do wykuszowego okna. Obok niej stał stolik z zastawą do herbaty. Oprócz tego żadnych innych mebli. Na dworze widać było biały trawnik i czarne nagie drzewa, jak z fotografii. Z karmnika dla ptaków zwisały sople.

Włosy matki zachowały dawny, kościanożółty kolor. Nosiła długie kolczyki z pereł i łososiowo-różowy szal, który nie był w stanie zamaskować niesamowicie chudych łopatek.

—Dzień dobry, Christiano — powiedziała, a raczej wychrypiała, sięgając do stolika chudymi palcami. Wzięła brązową kostkę cukru

z cukiernicy. Paznokcie miała w beżowym odcieniu różu. Kostka cukru wpadła z pluskiem do filiżanki, którą trzymała na kolanach.

Przez chwilę chciał odwrócić się i wyjść. Ta wizyta sprawiała, że co i raz dostawał gęziej skórki. Ale wtedy pomyślał, że jest coś winien Idzie.

—To nie Christiana — powiedział.

Kiedy się odwracała, coś strzyknęło w jej szyi.

—Witaj, matko.

Trzęsącymi się rękami odstawiła herbatę na stolik, trochę rozlała sobie na kolana. Nie zauważyła tego: wyschnięte plamy po herbacie i tak już szpeciły jej sukienkę.

—Powinieneś... zatelefonować. Dać mi czas, żebym się przygotowała.

—Zrobiłabyś wtedy wszystko, żeby cię tu nie było.

—Nigdy! Poszlibyśmy na plażę. Na ładną wycieczkę. Mój Boże, jesteś taki jak ojciec.

Odwróciła się i spojrzała w okno. Wiedział, że matka nie patrzy na ośnieżony świat, nawet nie na swoje odbicie, ale na samą szybę.

—No, po co przyszedłeś?

—Przyniosłem ci prezenty na Boże Narodzenie. — Otworzył torbę i wyjął reklamówkę z prezentami, które owinał w czarny i biały papier.

—Och. Oczywiście. Zbliżają się święta. Przykro mi, w tym roku nie zrobiłam zakupów na Boże Narodzenie.

—Nie szkodzi. Zostawię to tutaj, dobrze?

—Tak. Christiana zajmie się tym, jak pójdziesz.

Ostrożnie położył paczki na dywanie.

—Idę na święta do Gustava. Denver wyrosła. Zostałaś zaproszona.

—Zdaje się, że w ubiegłym roku też u nich byłeś.

—Chodzę tam co rok. Jest przyjemnie.

—Tak. No cóż. — Spuściła wzrok. — Przemyślę to.

—Okej. Przemyśl.

—Więc... Coś jeszcze?

TLR

—Prawdę mówiąc, tak.

—Hm?

Uspokoił nerwy. Zaplanował, żeby powoli, pytanie po pytaniu, przejść do najważniejszej kwestii. Miał nadzieję, że wtedy lepiej to zniesie. Nigdy nie rozmawiali o Henrym Fuwie ani o prezentach, które kiedyś jej przysyłał od czasu do czasu. Midas z ulgą odsuwał ten problem, wraz z innymi problemami. Aż do tej pory.

—Kiedy byłem dzieckiem, przychodziły do ciebie paczki. Podarunki. Pewnego razu dostałaś oszklone pudełko z ważkami. Ojciec je zniszczył. Ale ty próbowałaś ukryć je przed nim.

Wyprostowała się. Czujna jak królik.

—Dlaczego, matko?

Wrzuciła kolejną kostkę cukru do filiżanki i zaczęła mieszać z zapamiętaniem. Cukier nie chciał się rozpuścić w chłodnej herbacie.

—Powiedz, proszę.

—Jakie to ma dla ciebie znaczenie? To było tak dawno. Po co do tego wracać?

—Ktoś ma kłopoty.

—Jak to? Nie rozumiem.

—Proszę, powiedz tylko, od kogo dostawałaś te prezenty?

Odłożyła łyżeczkę i siorbnęła herbaty.

—Sympatyczne były, prawda?

—Matko, proszę.

—Od twojego ojca.

—Nie. On ich nie znosił. Zawsze je niszczył.

—Był człowiekiem pełnym sprzeczności. Robił gorsze rzeczy, o których nie wiesz. Ukradł moją suknię ślubną. Mówiłam ci o tym?

—Nie.

—Pewnego razu zniknęła. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, ale wiem, że podzieliła los tych wazek.

Midas mlasnął, poczuł wilgoć języka w ustach.

—Więc... dlaczego udajesz, że to były prezenty od niego?

Bawiła się poplamionym rąbkiem sukienki. Równie dobrze mógł wyrywać matce włosy z głowy, tyle przyjemności miała z jego wizyty.

Jej oddech brzmiał jak wiatr w martwym lesie.

—Miałeś kiedyś na coś nadzieję? I wytrzymałeś wbrew wszelkim przeciwnościom? Aż wszystko, co zrobiłeś, zaczęło wyglądać śmiesznie?

Nie odpowiedział.

—Były specjalnie dla mnie. Takie jak ja chciałam. Starannie dobrane. — Zatrzęsła się i chwyciła za frędzle szala. — Zapomnij. Zapomnijmy o tym. Skoro nie dawał mi tych prezentów twój ojciec, nie mogły być dla mnie. To byłoby niestosowne.

Ich odbicia w wypolerowanym oknie wyglądały jak przezroczyście sobowtóry. Obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów.

—Jak ojciec — powtórzyła bez przekonania. — Słowo daję, jesteś jak twój ojciec.

Oblizwał wyschnięte wargi.

—Matko... Ty... Wiem, że miałaś romans.

Prawie niezauważalnie skinęła głową.

Rozplakała się, zacisnęła pięści, zaczęła bić nimi o kolana. Odwrócił wzrok, była taka nieszczęśliwa. Usiadł na dywanie i skrzyżował nogi. Pamiętał, że dawniej matka tak właśnie płakała: kiedy ojciec pociął na kawałki róże, które wyhodowała dla niego. A teraz Midas Crook młodszy siedział bez ruchu tak samo bezradny jak wtedy. Nie potrafił jej pocieszyć.

Szlochała. Łzy spływały po pomarszczonej skórze dłoni.

Wiedział, że próba zachowania się jak ojciec wymagałaby, żeby stał się swoim przeciwieństwem. Ale wtedy skazałby się tylko na potępienie.

Ku swemu zaskoczeniu pomyślał o Idzie i zaczął się zastanawiać, co ona by zrobiła.

Wstał i sztywno podszedł do matki. Położył dłonie na jej kościstym ramieniu i na głowie, jakby była starym, rozpadającym się posągami. Cienkie włosy drapały mu skórę.

—Kochał mnie — wyrzuciła z siebie.

Midas stłumił uczucie, które go zaskoczyło i rozproszyło: gniew. Nigdy nie spotkał Fuwy, ale nagle rozłościł się na tego człowieka, j Kiedy tak stał w dusznym pokoiku, zrozumiał, dlaczego matka zamknęła się w Martyr's Pitfall. Kiedy ojciec umarł, zniknęła przeszkoda, która nie pozwalała jej otwarcie kochać Fuwy. Ale po osiemnastu latach wyczerpującego małżeństwa nic w niej już nie zostało. Mogła tylko czekać, aż Fuwa przyjdzie i ją uratuje. Nie przyjechał.

—W porządku, matko. Ja tylko...

—Oczywiście jesteś oburzony na mój romans. Masz prawo. Ale nie wiesz nawet połowy tego, co ja wiem. Małżeństwo trwa długo.

—Nie jestem oburzony. Wszystko rozumiem. Tak naprawdę to... cieszyłem się ze względu na ciebie.

—Słuchaj... miałaś kiedyś dziewczynę?

Pokiwał głową.

—Jak miała na imię?

—Natasha.

—Nigdy mi jej nie przedstawiłeś.

—Nie chodziliśmy ze sobą długo.

—A czy... czułeś coś do niej?

—Tak.

Znowu skuliła się w fotelu.

—Dobrze. Twój ojciec... nie był stworzony do miłości. A może to miłość nie była stworzona dla niego. Ale Henry był stworzony do miłości. Na pewno.

—Wiesz, gdzie jest teraz?

—Cśśś! — Podniosła dłonie. — Synu, to nie trwało długo.

—Gdzie mieszkał?

—Na bagnisku.

—A dokładnie?

—Po cóż ci to wszystko wiedzieć? Po co tu przychodzisz i wypytyujesz?

Poczuł przemożną chęć, żeby wyjść, uciec od tego duszącego domu i jego mieszkanki, ale ciągle myślał o stopach Idy, dlatego został.

—Ja... — wychrypiał. — Próbuję pomóc.

Głowa zachwiała się jej, jakby miała spaść z szyi. Matka spojrzała na niego badawczo. W oczach miała tyle bieli.

—Pomóc? Za późno.

—Nie tobie. — Zabrzmiało to okrutnie. — Komuś innemu.

Matka jakby się odprężyła.

—Jest takie miejsce... kiedyś widziałam, jak łowi tam ryby. Pod starym mostem, do którego nie prowadzi już żadna droga. Bagienny bluszcz zwisa ze skały jak kurtyna w teatrze. A on w płaszczu przeciwdeszczowym, gołymi rękami łowi ryby w płytkiej wodzie. Zdumiewający człowiek. Wyciągał ryby za ogon. Nie rzucały się, bo ufały, że wrzuci je z powrotem.

—Dlaczego nie pójdziesz i nie zastukasz do jego drzwi?

—Nie rozmawiałam z nim od bardzo dawna.

Wsunął ręce do kieszeni i stał obok niej w milczeniu.



W ogrodzie biały kot przebiegł szybko po trawniku, zostawił za sobą małe wgłębienia w śniegu. Midasowi mocno biło serce.

—Szkoda — powiedział. — Tego wszystkiego.

Pokiwała głową.

—Wielki wstyd, Midasie. Z mojego małżeństwa nie wynikło nic dobrego dla twojego ojca, tylko wstyd.

TLR

**OJCIEC ZOSTAWIŁ MU PO ŚMIERCI JEDYNIĘ STOS PUDEŁ.** Po pogrzebie Midas z matką, nie otwierając, schowali je, a kiedy wyprowadziła się z domu, przeniosły się razem z nią z ciemnego kąta na starym strychu do ciemnego kąta na nowym. Pudła były solidnie opakowane — w końcu ojciec uchodził za perfekcjonistę — i minęły miesiące, zanim Midas albo jego matka potknęli się o coś, co przeoczył. Pod dywanem znaleźli kostki do pokera z kości wieloryba, które zamiast oczek miały wyrzeźbione i pomalowane wizerunki takie jak na kartach. Pod kuchenką matka znalazła wykałaczkę z maleńkimi inicjałami ojca. Kiedy Midas wrzucał stare książki do kosza, spomiędzy furkoczących kartek wypadła mapa.

Mapa wyspy z dopiskami ojca: zatłoczona tyloma odręcznymi uwagami o estetyce krajobrazu, że samo odwzorowanie terenu było zamazane słowami. Kontury wyglądały jak smugi między poszczególnymi zdaniami. Midas mógł przejechać po nich małym palcem, jakby po przekroju myśli ojca:

„rozłupane drzewo przypominało hydrę  
parów wart zapamiętania  
zamarznięte jezioro było lodową trumną”

Teraz dorosły Midas próbował ustalić swoje położenie, trzymając mapę na kolanach. Matka przypięła spinaczem własne wskazówki. Dziwne było widzieć te dwa charakterystyczne pisma razem.

W drodze powrotnej z Martyr's Pitfall cień skalistego wzgórza ogarniał wszystko, zwisał w kiściach z głazów, prażkował urwiste pobocza drogi. Wielki kawał cienia, jak czarny płyn, wypełniał wnętrze samochodu. Midas miał wrażenie, że smolista ciecz wyleje się, kiedy tylko otworzy drzwi.

Jechał w dół, do tunelu, który prowadził z Lomdendol Island na most z dźwigarami i na wyspę Gurm.

Po drugiej stronie widać było Gurmont, rozłożone leniwie na południowym wybrzeżu. Potem droga zagłębiała się w inny tunel: w mroczny szyb biegnący pod górę między sosnami. W głębi wyspy drzemiące drzewa ro-

sły gęściej. Osłupiałe buki stały w kałużach opadłych liści. Srebrne topole wyglądały jak promienie księżyca. W tych drzewach można było zobaczyć to, co się chciało: minął staruszkę, łosia i polującego kota przyczajonego w zaroślach.

A potem był już po drugiej stronie cieśniny, na Ferry Island, gdzie drzewa ustępowały miejsca rozległemu jezioru. Jechał przez bagna, a bagna... Hm, zawsze wyglądają tak samo. Przywieziono go tutaj raz czy dwa razy, kiedy był dzieckiem, żeby się napatrzył na kleistą wodę. Nie znosił swojego odbicia, które w brązowych stawach wyglądało, jakby się nie umył. Wiele dni po tej wizycie budził się z oddechem bagien na ustach i uczuciem coraz mocniejszego swędzenia po ukąszeniach komarów.

Przez bagna prowadziło wiele ścieżek, ale rozmokły śnieg i pokryty breją, porośnięty trzcinami brzeg maskowały przeprawy. W jednym miejscu minął rdzewiejący samochód stojący pionowo w dziurze czarnego błota. Ta droga zastawiała bagienne pułapki. Bagno ścinało się i przypominało asfalt. W końcu bagnisko zgruchocze wóz, połknie go i zamknie na wieki pod swoją powierzchnią. Midas zastanawiał się, co stało się z kierowcą.

Mgła była gęsta i opadła wcześniej. Kiedy Midas całkowicie stracił kierunek, wyszedł i od razu zakrztusił się smrodliwym powietrzem. Warstewka błota z dziurawej drogi lepiała się do jego butów przy każdym kroku. Patrzył, jak ptak koloru i wielkości pensa przelatuje nad drogą i znika w wysokich trzcinach.

Spojrzał na mapę ojca. Czy jest już taka stara, że pokazuje drogi pokryte teraz breją? Wrócił do samochodu i znowu ruszył.

Od jakiegoś czasu ciągnęły się wzory z trzcin i dziobatych grot z torfu. Potem droga się skończyła. Płynął przez nią strumyk. Midas bardzo dokładnie sprawdził mapę i był pewien, że kiedyś droga wiodła dalej.

Matka powiedziała mu o moście, do którego nie prowadzi żadna droga, a przed nim wznosiła się osobliwa hałda mchu i szlamu. Midas wysiadł z samochodu i popędził skokami wzdłuż brzegu strumyka, żeby podejść bliżej. Trzciny przesłaniały boki hałdy, więc odsunął je kijkiem. Pod mchami i porostami leżały popękane stare cegły. W końcu, trochę dalej zobaczył górną część wodowskazu. To były pozostałości mostu. Pobiegł z powrotem

do wozu i na wysokich obrotach wjechał w strumyk. W powietrze wystrzełyły płachty rozstępującej się wody.

Od tego miejsca musiał prowadzić ostrożnie, bo trakt rozmywał się nieustannie w ospałe strumyczki. Dotarł do brodu, przebył go i zaledwie po paru minutach jazdy zobaczył przed sobą samotny dom. Obrośnięty był bluszczem tak gęstym i starym, że pnącza miały grubość nadgarstka. Oplątały komin, jakby chciały go zadusić. Nierówno odrąbany odsłaniał okna i niskie drzwi, zielone jak traszka.

Wisielcze rośliny w ogrodzie miały cienkie nitkowate łodyżki. Na końcu kawałka ziemi, którą można by umownie nazwać trawnikiem, płot przecinał trzęsawisko otoczone krzemieniami. Na jednym z nich siedział dziwny ptak z długim, zakrzywionym dziobem, cienkim jak słomka. Midas patrzył, jak skrzydlate stworzenie zanurza go do wody i ssie zieloną ciecz. Ropuchy przyglądały mu się nieruchomymi oczami. Na końcu ogrodu stała stara przybudówka z łupka, z drzwiami zamkniętymi na kłódkę porośniętymi mchem.

Nie tak trudno było tutaj trafić. Wyobrażał sobie, że jeszcze łatwiej znajdzie drogę powrotną. Cała podróż zajęła mu nieco ponad godzinę. Znowu rozgniewał się na Fuwę, że nie znalazł tej godziny, aby dotrzeć do Martyr's Pitfall, do domu matki. Ale teraz miał coś pilniejszego do załatwienia. Postanowił, że przywita się z Fuwą wyłącznie jako z człowiekiem, który może pomóc Idzie.

Zapukał.

**HENRY FUWA SIEDZIAŁ PRZY BIURKU W SYPIALNI**, zmieniał wyściółkę z siana w starej latarni z brązu. Kiedy skończył, nalał świeżej wody do spodka, ostrożnie umieścił go w latarni, odwrócił się i gwizdnął na krówkę o skrzydłach ćmy, która wolno zataczała kręgi nad łóżkiem. Brzuch miała gruby jak winne grono. Na gwizd gwałtownie skreśliła i opadła na biurko. Wylądowała łagodnie i zwinęła skrzydła koloru lapisu-lazuli. Powłokła się do drzwi klatki, jej nabrzmiały brzuch kołysał się z boku na bok przy każdym stuknięciu kopytka. Henry uśmiechnął się z dumą i leciutko pogłaskał zmierzwiłone futerko na jej grzbiecie.

Skłonienie bydła do rozmnażania było ciągłą udręką. Często myślał, że to gatunek stworzony wbrew prawom doboru naturalnego. Łączył się w pa-

ry na całe życie, ale byczki robiły się czasem kapryśne i dobierały się do młodych jałówek, niepokojąc krówki z cielątkami. Kiedyś, kiedy zaczynał się nimi zajmować, często widział matki zawodzące nad odrobinką niedonoszonej materii ze zmiętymi, nieuformowanymi do końca skrzydłami.

Teraz zanieś ciężarną krówkę do środka. Ponowne wprowadzenie jej i cielątka do stada będzie ciężkim zadaniem, ale lepiej, żeby cielątko urodziło się tutaj, niż gdyby miało się w ogóle nie urodzić.

Podniósł wzrok i zobaczył czarnowłosego obcego, który skacze po kamieniach ułożonych na ścieżce prowadzącej do domku. Zaskoczony sapnął i odwrócił się gwałtownie. Mało nie strącił latarni z biurka. Ciężarna krówka przycupnęła ze strachu.

Stanął przy oknie, schowany za zasłoną. Był wstrząśnięty, że ktoś pojawił się w jego kryjówce.

A jeszcze bardziej wstrząśnięty, kiedy zobaczył zmarłego.

Czy to możliwe? Widział przecież grób Crooka na cmentarzu w Tinterli.

Chwileczkę... Oczywiście, to jego chłopiec.

Henry zaczął ogryzać koniuszki palców. Jeśli go wpuści, chłopiec uściśnie mu rękę. Jakie to będzie uczucie? Już dawno nie dotykał innego człowieka. Samo to niemal wystarczało, żeby nie podchodzić do drzwi. W przeszłości popuszczał wodze fantazji: jak wyglądałoby pierwsze spotkanie. Matka chłopca przedstawiłaby ich sobie i naląła wszystkim po szklanceczce dżinu. Henry przejechał po brodzie palcami. Nigdy sobie nie wyobrażał, że to będzie właśnie tak. Poczył wielkie wysiłki, przeprowadził się w samo serce pustki, pozwolił, żeby bagno zalało drogi, a niesforna woda zamazała oznaczenia na kamieniach.

To tak niewyobrażalne, tak niedorzeczne, że ktoś go tu odkryje, aż chciało mu się śmiać. Tylko że — serce zaczęło mu mocniej bić — chłopiec naprawdę tutaj był. Henry patrzył na niego jak na rysunek, którego początkowy szkic nie został wymazany. Widział tam ciemne, wykończone linie, nieomylnie należące do młodego człowieka, ale też słabsze cienie ołówka — kopia matki, w ruchach, w wystraszonej wyrazie oczu. Żeby nie komplikować sobie życia, należało zignorować syna Crooków.

Chłopak już stukał do drzwi. Stuk, stuk, stuk. Dudniło w całym domku. Czy Henry miał udawać, że go nie ma?

Trzymał w dłoniach włochate ciałka, chroniąc je przed zimowym wiatrem, spał z jałówką skuloną na czole, a jej skrzydełka drżały w jego oddechu, ale myśl o takiej bliskości z człowiekiem przerażała go jak podróż w kosmos. To prawda, że w towarzystwie wszystkich ludzi czuł się obcy, nie licząc Evaline Crook. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, nie mógł uwierzyć w jej urok, który wbił mu się w duszę. Wstrząsnęło nim nie tyle to, że chciał być z zameżną kobietą, ile to, że w ogóle chciał być z innym człowiekiem.

Pamiętał, że po spotkaniu z nią wrócił, żeby zaopiekować się posiwiąłym byczkiem ze skrzydłami ćmy, który nie miał partnerki. Został jako nieparzysta liczba na końcu wyliczanki, postarzał się, dostał reumatyzmu, bez towarzyszkę wpadł w przygnębienie.

Henry był tak zatopiony w tych myślach, że zostawił otwartą latarnię z brzemienią krówką. Na paluszkach szedł ze schodów, przebiegł susami przez korytarz i oparł się o ścianę. Pozwolił, żeby pukanie Midasa przenikało go jak dodatkowe uderzenie serca.

Czternaście lat temu Evaline uśmiechnęła się do niego. Siedział z nią, rozmawiał, rozumieli się wzajemnie. Jak owady, przyciągali się drganiami, bez potrzeby słów czy języka ciała.

Gwałtownie ruszył do przodu i otworzył drzwi.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Był za wysoki, żeby zmieścić się pod nadprożem. Wyciągnął rękę.

—Hm — mruknął Midas, nie podając dłoni. — Hm.

Henry obrzucił go wzrokiem od stóp do głów, kiwał głową tak, jak jego gość.

—Ja... — zaczął chłopak... hm... Nazywam się Midas Crook... Zdaje się, hm, że pan znał kiedyś moich rodziców.

—Hm — powiedział Henry.

—Hm.

—Ahm.

—Tak... Mogę wejść?

Henry wydał policzki i odsunął się, żeby wpuścić Midasa. Korytarz miał niski sufit i trzeszczącą drewnianą podłogę. Leżały na niej w nieładzie stare segregatory i związane sznurkiem papiery. Spostrzegł, że Midas zobaczył oprawione w ramki szkice owadów, w przekroju albo w locie. Wisiały na ścianach korytarza. Sama myśl, że obcy widzi rzeczy, które on widywał codziennie od lat, sprawiła, że poczuł nieprzyjemne swędzenie.

Wprowadził Midasa do saloniku przyozdobionego jeszcze większą liczbą odwłoków, skrzydeł i różnorodnych oczu. W gablocie przyszpilone były zakonserwowane motyle. W szklanym zbiorniku, wśród żebrowanych liści roiło się od mrówek. Dwie grube świece filowały w papierowych latarniach, wprawiając cienie w poklatkową animację. W pokoju stały niski, stary stół i cztery taborety z poduszkami.



Henry niespokojnie szarpał brodę.

—Więc... Mam na imię... Henry. — Słowa dziwnie brzmiały. Rzadko używał głosu. Migdałki miał jak kulki na mole, a język jak skrzypiące drzwi.

—Wiem.

—Och.

Znowu wyciągnął rękę, ale w odpowiedzi dostał tylko nerwowe spojrzenie. Czy odmowa podania ręki była obrażą, czy może sa zachował się nieuprzejmie? Henry nie pamiętał.

—Więc... — Z trudem wyłaniał z pamięci uprzejmości. — Her baty?

—Czy ma pan... hm, kawę?

—Przepraszam, tylko herbatę. Zieloną.

—No, to tak. Poproszę.

Henry zawahał się, potem pospiesznie poszedł do kuchni.

**MIDAS WSTAŁ ZASKOCZONY**, jak łatwo przebrnął przez rozmowę. W domu czuło się pergamin, ale spod tego zapachu przebijał odór bagnisk. Obejrzał kilka zdjęć w ramach. Ukazywały morze z lotu ptaka. Na falach jaśniał odbłask słońca, ale kiedy Midas przyjrzał się bliżej, przekonał się, że to nie efekt odbicia promieni od soczewki, ale coś namacalnego w wodzie, tuż pod powierzchnią. Obok zdjęcia wisiał w ramach szkic przedstawiający meduzę. Jej wici opisano po łacinie. Midas pomyślał o ojcu, który śmiał się do siebie, czytając książki w martwym języku.

Henry wrócił z zieloną herbatą w delikatnych porcelanowych filiżankach z czerwonymi płatkami wymalowanymi wokół brzegów. Zastał Midasa oglądającego rysunek meduzy, postawił herbatę na stole.

—Pocięli je na kawałki, ale nadal nie potrafią znaleźć źródła tego światła.

—...naprawdę?

—To lokalny gatunek. Narysowano jego przekrój. Te meduzy świecą... Ale pan to, oczywiście, wie.

Midas skinął głową. Wiedział wszystko o zimujących bezkręgowcach, które tłoczyły się w grudniu w zatoczkach, łapały słońce w nabrzmiałe ciała i strzelały nim w roziskrzonych pokazach elektrycznego światła. Ale mimo to, że potrafiły zmagazynować każdy wlew słońca i przekształcić go w różowe, migotliwe albo żółte lśnienie, było coś, co trzymało go z dala od tego widowiska.

—Kiedy przybyłem na St. Hauda's Land, część mojej pracy polegała na badaniu tych okazów. W kuchni ojca, w Osace, widziałem mniejsze meduzy, małe, białe stworzenia podobne do purchawek. Ojciec kroił je na paski, żeby potem ubić na miazgę. Ale gatunek, który pod pływa do St. Hauda's Land, jest zupełnie inny. Zupełnie.

—Na czym właściwie polega pańska praca?

Henry się zaczerwienił.

—Jest pan biologiem?

—Posiadam pewną... intuicję, która daje mi środki finansowe. Sądono, na przykład, że meduzy ciążą ku wyspom, żeby się rozmnażać. Dopiero moje badania dowiodły, że wydzielają światło, umierając.

Minęła chwila, zanim ta myśl dotarła do Midasa. Podekscytowany odwrócił się w stronę zdjęcia w ramkach, które wcześniej oglądał.

—Więc... St. Hauda's Land jest jakby cmentarzyskiem słoni dla meduz?

—Rozpuszczają się i zostawiają po sobie tylko blask.

—Więc te światła w wodzie...

—To umierające i umarłe nocą w ławicy. Materia ich ciał rozkłada się, rozpuszcza i uwalnia światło. Każda cząsteczka jest jak gwiazdny pył, aż pozostają tylko opary powoli niknące w morzu.

Midas wskazał na świecący krąg na jednym ze zdjęć. Żółty jak mniszek lekarski.

—Ta musiała być ogromna.

—Wielkości łodzi wiosłowej. A widziałem większe. Z początku, naiwnie, chciałem wśród nich popływać, żeby zrobić zdjęcia, ale oczywiście ich

trucizna może być śmiertelna. Nie tak, jak niektórych innych gatunków, ale całkiem silna na ograniczonej przestrzeni. Potem człowiek kuleje przez... Ach, ale pan o tym wie.

—Moją matkę poparzyła meduza.

Henry przestąpił z nogi na nogę.

—Proszę — powiedział po niezręcznej pauzie. Otworzył szufladę i wyjął album fotograficzny. Przerzucał kartki z ogromną liczbą zdjęć świecących meduz. Potem było kilka fotografii kamienistej plaży. Między nakrapianymi kamieniami leżały ławice wyrzuconych na brzeg błyszczących ryb.

—Nie były martwe — wyjaśnił Henry. — Przynajmniej dopóki nie zadusiło ich powietrze. Sparaliżowały je meduzy, potem zostały wyrzucone na brzeg jak dryfujące drewno.

Stali obok siebie, popijali zieloną herbatę i przez kilka minut oglądali zdjęcia. Wreszcie Midas, którego tak szybko wciągnęły te fotografie, pomyślał o utykaniu matki. Zdał sobie sprawę, jak nieprzyjemnie blisko niego stoi Henry.

Sprawa matki unosiła się między nimi jak tajemnicza meduza. Patrzył, jak jakiś owad z niebieskimi skrzydłami sunie po suficie, a potem ląduje na dół i znika z pola widzenia za paczką czasopism z pozawijanymi okładkami.

Herbata w maleńkiej filiżance stygła szybko.

—Czy nazwisko MacLaird coś panu mówi? Ida MacLaird. Blondynka. Taka... monochromatyczna. Bardzo, hm, wie pan... ładna. Postawiła panu drinka w Gurmont.

Henry nagle wyraźnie się zaniepokoił.

—Nie ma jej tutaj, prawda?

—Jest. Przyjechała na St. Hauda's Land, żeby jej pan pomógł.

Henry szeroko otworzył oczy, paski w jego tęczówkach stały się ostre jak miedziane sztylety.

—Powiedziała panu?

—Co?

—Właśnie, co?

—Ona... jest chora.

Henry się zachmurzył. Przygryzał kosmyki wąsów.

—Chora? O to chodzi?

—Tak.

—Przyjechała, żeby mnie w tej sprawie odwiedzić? Czy mówiła panu coś o... tajemnicy?

—Hm... tak. O pewnej wielkiej tajemnicy.

Midas przyglądał się palcom Henry'ego. Pod paznokciami był torf. Henry otarł czoło.

—Proszę wybaczyć, panie Crook — wyrzucił z siebie i pospiesznie wyszedł.

Midas słyszał, jak Fuwa idzie po schodach na górę. Na dworze żaby rechotały jednostajnie. Obrócił filiżankę w dłoniach, liście zawirowały na porcelanowym dnie.

**HENRY MUSIAŁ PÓJŚĆ NA GÓRĘ**, żeby nabrać do sprawy dystansu. Usiadł na łóżku i naciągnął koc na ramiona, otulił się nim jak dziecko. Samo dziedzictwo chłopca Crooków było trudne do zniesienia, ale to, że wspomniał Idę MacLaird... czego ona chce? Musiała wrócić w sprawie bydła o skrzydłach ciem. Bagno miało go uchronić przed ciekawskimi. Odsunął się od społeczeństwa na rzecz prostego życia, które z trudem tutaj zbudował. Życia entomologa: on na polu łapie świerszcza w dłonie, czuje, jak owad porusza się ukradkiem, szukając drogi ucieczki, a potem, uwolniony i oszołomiony sadzi susami przez długą trawę. Innymi słowy, nie chciał, żeby świerszcz zapukał do jego drzwi, szukając wyjaśnienia dla swojego przeżycia. Ale... Ale... Raz w życiu pragnął czegoś więcej niż dystans do rzeczy, które miał w ręku. Doskonale pamiętał, jak ostatniego lata, nocą, leżał na plecach na moczarach, zaledwie parę dni po spotkaniu z Idą. Gazy bagienne przez cały dzień wydobywały się w upale i mieszały z atmosferą,

marmurkując błękitne niebo butelkową zielenią i brązami. Podziwiałby ten efekt, gdyby bezmyślnie nie sięgnął w bok, żeby wziąć Evaline za rękę. Złapał suchą ropuchę. Kopała go nóżkami w przedramię, aż się uwolniła.

Był jedynym człowiekiem w promieniu wielu kilometrów Bagno bulgotało wokół niego, wykaszliwało nowo narodzone muchy. Godzinami zwalczał poczucie osamotnienia.

Niechętnie odłożył koc na łóżko i zaczął głęboko, równomiernie oddychać. Ida... Wiedziała o byczkach ze skrzydłami ciem. Martwił się, że teraz przybyła, żeby im zagrozić. Popatrzył na latarnię z brązu stojącą na biurku i stłumił krzyk, kiedy zobaczył otwarte drzwiczki. W środku było pusto.

**MIDAS POSTANOWIŁ PONOWNIE OBEJRZEĆ ZDJĘCIA** meduz pływających w szafirowym oceanie, ale zanim się do tego zabrał, jego uwagę odwrócił owad z niebieskimi skrzydłami, którego wcześniej zauważył na suficie. Mocno zamrugał, szybko odwrócił głowę, żeby nie stracić go z oczu, rękami instynktownie zaczął szukać aparatu.

To była mała krówka, jej futerko nastroszyło się lekko od wiatru wywołanego wirowaniem skrzydeł. Nogi z kopytkami zwisały swobodnie pod tłustym brzuszkiem. Oczy miała ospałe.

Błyskawicznie otworzył torbę, jednym szarpnięciem wyciągnął aparat. Ruch sprawił, że stworzonko podskoczyło i odleciało wyżej, więc Midas zamarł z aparatem przy oku. Krówka spłynęła na papierową latarnię, w której drżał płomień świecy. Midas zrobił jej zdjęcie na tle cienia rzucanego przez papier. Krówka usiadła obok latarni i wachlowała skrzydłami, odsłaniając perłowe, białe znaki na ich spodzie.

Krzyk przerażenia od drzwi.

Henry, potykając się, wpadł do pokoju, zagapiony na aparat Midasa.

—P... pan — wyjąkał — musi mi oddać film. Trzeba go zniszczyć.

—Tu nie ma filmu. — Midas przezornie przyciągnął aparat do siebie. — To aparat cyfrowy.

—Więc niech pan to usunie.

Midas pokręcił głową.

Henry napiął wątle ramiona. Nie miał praktyki w straszaniu ludzi. Midas powoli, jakby trzymał bombę, włożył aparat do torby i zamknął zamek błyskawiczny. Krówka uklękła na blacie i oblizwała sobie pysk.

—Proszę.

—Musi pan pomóc Idzie.

Henry pokiwał głową.

—Czego ona ode mnie chce?

—Nie bardzo się orientuję. Ale ona myśli, że pan wie coś o tym, co się z nią dzieje.

—A co się z nią dzieje?

Midas poklepał torbę.

—Zachowam tę tajemnicę, jeżeli pan też nie zdradzi tego, co ode mnie usłyszysz. Nawet Idzie pan nie powie, że to ja przekazałem tę informację.

—P... pan nie wiedział o bydle ze skrzydłami ciem? Nie dlatego się pojawiła?

Krówka zamknęła oczy, jej nabrzmiące boki unosiły się i opadały z każdym ciężkim oddechem.

—Przyjechała, bo jej stopy zamieniają się w szkło.

Henry oparł się o framugę drzwi.

—Zachowa pan to w tajemnicy — powiedział Midas. — Obiecał pan.

Henry lekceważąco pokiwał głową.

—Jak niby mógłbym to wydać? Moglibyśmy teraz usunąć zdjęcie?

—W porządku. — Midas przez sekundę patrzył na obraz jaśniejący na ekranie. Tak czy inaczej, to nie było dobre zdjęcie. Usunął je jednym kliknięciem.

—Dobrze, Midasie. Ach... nie wiem, od czego zacząć.

—Proszę zacząć od tego, czego pan chce.

—Byłeś na kontynencie?

—Tak.

—Ile razy?

—Pięć, sześć.

Henry z namysłem pokiwał głową.

—Może zauważyłeś jakąś różnicę. Kiedy wróciłeś na St. Hauda's Land. Jakiś smak w powietrzu. Manieryczne zachowanie ptaków.

TLR



Dziwne opady śniegu, tworzące niemal matematyczne wzory. Białe zwierzę, które nie jest albinosem.

Midas pokręcił głową.

—To dla mnie normalne.

—Tak, pewnie tak. — Henry westchnął. — Ludzie, którzy się tutaj rodzą, najczęściej przyzwyczajają się do tego albo się stąd wyprowadzają. Niewielu tu przyjeżdża.

—Ty przyjechałeś.

—Tak... Ale ja byłem dobrze poinformowany. Słyszałem opowieść o pewnym zwierzęciu, które samym spojrzeniem potrafi zmieniać kolor wszystkiego na biel. Kiedy je zobaczyłem... znalazłem powód, żeby zostać. Ale to dygresja, bo chciałeś dowiedzieć się czegoś o Idzie. — Spojrzał za okno na zanurzony w sepii krajobraz jeziorek i błotnistych sadzawek. Wyglądał na wykończony, jakby od chwili pojawienia się Midasa minął ciężki dzień. — Chodź. Coś ci pokażę na bagnach.

**WYSOKIE BUTY I WODOODPORNE SPODNIE**, które pożyczył Midasowi, wkrótce pokryły się szlamem. Deptali po nieskończonych bagniskach posypanych śniegiem. Zmarznięte błoto chlupotało im pod nogami. Nagie ślimaki patrzyły z cienia oczami na szypułkach. Miały tajemnicze miny. W pewnej chwili zobaczyli, jak czapla ze zmierzwioną bródką łapie rybę, ale kiedy podeszli bliżej, ptak się poderwał i odleciał w pochmurne niebo, ciężko uderzając skrzydłami. Midas czekał nerwowo, czy Henry się zatrzyma, żeby spojrzeć na kompas albo sprawdzić punkty orientacyjne na bagnie: skała z koroną z kolców, kłoda w kształcie s tego z aura.

Wreszcie Henry znalazł to miejsce. Powiedział, że oznaczył je poprzednim razem, przywiązując neonowożółtą taśmę do pobliskiego krzewu. Teraz rozpoznał je po pobrudzonym znaku.

—To tutaj. — Wskazał trzęsącym się palcem na czarną jak atrament sadzawkę przed nimi.

—Dobra. A... czego szukamy?

Henry przeszedł ostrożnie wzdłuż brzegu sadzawki. Na powierzchni pływała tylko skorupa ślimaka. Znalazł długą gałąź, zakrzywioną jak kosa. W wodzie coś beknęło, kiedy ostrożnie zanurzył badyl i zaczął przeczesywać sadzawkę, dopóki nie zahaczył o jakiś przedmiot. Stanął mocniej i kijem próbował podnieść znalezisko. Stopy trochę mu się ślizgały na śniegu z błotem.

Woda rozstała się i coś gładkiego, lśniącego wynurzyło się na chwilę. Henry stęknął i przedmiot znów dał nura.

—Musisz mi pomóc — powiedział Henry. — Trzymaj kij.

Midas wziął gałąź od Henry'ego. Po ciężarze na drugim końcu poznał, że o coś zaczepił.

Henry wszedł do sadzawki, zatrzymał się dopiero, kiedy woda sięgnęła mu do bioder.

—Teraz ciągnij — polecił.

Midas szarpał gałąź, wysilał się, żeby wydźwignąć przedmiot. Jednocześnie Henry zmagał się z ciężarem, stojąc w sadzawce. Powoli wyłowili znalezisko.

Zdziwiony Midas aż sapnął.

To był człowiek. Woda spłynęła z niego do stawu. Ale światło przenikało przez jego tułów, przystojną twarz i zawile esy-floresy włosów na klatce piersiowej. Załamywało się, wychodząc z ciała mężczyzny, i rozprasało nad sadzawką w setkę tęcz. Wszystko w nim było szklane. Ślimaki przylgnęły do skóry jak brodawki, na głowie miał czepek z zielonych alg. Henry skrzywił się pod ciężarem i puścił ciało z powrotem do wody. Zanurzyło się, jakby podczas chrztu.

Midas ciężko usiadł na zgniłym pniaku, było mu obojętne, że zamoczy sobie tyłek. Oparł ciężko głowę na rękach, znacząc policzki szlamem.

Henry wydostał się z sadzawki. Patrzył, jak pomarszczona powierzchnia się wygładza.

—Aż brak słów, prawda?

—Chce pan powiedzieć, że to samo stanie się z Idą?

Henry miał poważną minę.

—Chcesz powiedzieć, że nie brałeś tego pod uwagę?

Midas słabo pokiwał głową. Wszystko go bolało po ciężkim marszu.

—Dlaczego leży w bagnie?

Henry wzruszył ramionami.

—Grób równie dobry, jak każdy inny.

—Pan go tutaj wrzucił?

—Nie. Natknąłem się na to, kiedy zbierałem żabi skrzek. Nie wiem, kim był i od jak dawna tu leży. Lata, setki lat? W bagnie znalazłem szklane ręce i coś szklanego, co wyglądało jak model lodowca, a okazało się, że to tylna noga lisa albo psa. To bagno jest cementaryzyskiem szkła. Jak się przesieje osad z dna sadzawek, to na sicie zostaną roziskrzzone punkciki.

—Kiedy mogę przywieźć do pana Idę?

Myślał, że Henry zgodzi się na to bez wahania. Tymczasem on bawił się sznurkami swojej peleryny.

—Midasie, rzecz w tym... Przyprowaździłem cię tu dlatego, że...

Midas przymknął oczy, próbował wyrzucić z siebie siarczany odór.

—Nie może pan jej wyleczyć, tak?

Henry zerwał sitowie i zaczął je wcierać w sznurki peleryny.

—Nikt nie potrafi wyleczyć Idy, bo ona nie jest chora. To nie schorzenie. Teraz szkło stanowi jej część. Jak paznokcie albo włosy.

—Więc nie może tego po prostu... obciąć?

—To nic nie da. Odrośnie.

Henry wyrzucił kawałki sitowia do stawu. Midasowi wydawało się, że ryba podpłynęła pod powierzchnię i otworzyła pyszczek.

Henry westchnął.

—Przepraszam, Midasie.

Coś tąpnęło w brzuchu Midasa: nigdy jeszcze nie doznał takiego tektonicznego uczucia. Jęknął na myśl o stracie Idy, zanim między nimi dwójgiem do czegokolwiek...

Patrzył z wściekłością na uwieczoną czerń wody. Po raz drugi wydało mu się, że widzi, jak rozwarte wargi wyłaniają się z wody.

—Może pan znaleźć ratunek. Sam pan powiedział, że ma niepowtarzalną intuicję.

Henry wzruszył ramionami.

—Zmarnowałbym tylko twój czas i dałbym jej złudną nadzieję.

Midas złożył ubłocone ręce.

—Moja matka — powiedział. — A co z moją matką? Wiem wszystko! Wiem, że chce z panem być. Pomogę panu w tym. Ale pan musi pomóc Idzie.

Henry zwiesił głowę.

—Nie mogę, Midasie, nie rozumiesz? To po prostu niemożliwe. W istocie jest tu doskonała analogia. Nie mogę już zrobić ani jednej, ani drugiej z tych rzeczy.

—Dlaczego nie przyszedł pan do niej po śmierci mojego ojca?

Henry wyglądał blado.

—Gdzie była, Midasie?

—W naszym domu! A teraz jest w Martyr's Pitfall.

Henry pokręcił głową.

—Odeszła jeszcze przed śmiercią twojego ojca.

W wybuchu gniewu Midas chwycił kawałek murawy i cisnął ją do wody, która zmarszczyła się w tysiąc przeplecionych kółek. Na myśl o Idzie takiej, jak to ciało z bagna, serce mu się mocno ścisnęło. Twarz wykrzy-

wiały skurcze. Odwrócił się do Henry'ego i przez załzawione mgnienie oka zobaczył w nim kolejnego samotnego uczonego. Jak on może wymigiwać się od udzielenia pomocy Idzie? Czy zastanawiał się nad tym choćby przez milisekundę?

—To co teraz? — zapytał.

—Nic nie poradzimy, najwyżej możemy się pocieszać, że i tak nie ma ratunku.

—Nie ma ratunku? Chce pan po prostu zrezygnować? Nawet teraz, kiedy zobaczyliśmy, co się z nią stanie?

Ptaki śpiewały gdzieś na bagnach. Gniew opuścił Midasa nagle, jakby to była elektryczność uziemiona w gładkiej glebie wokół stawu. Midasowi zrobiło się zimno, życie z niego wypłynęło. Owady brzęczały, chwiały się trzciny.

W milczeniu wrócili do domku Henry'ego i samochodu Midasa. Zachowywali między sobą dystans na rzut kamieniem. Henry stanął w drzwiach. Midas zostawił pożyczone gumowce na ścieżce, żeby spłynęło z nich błoto, wsiadł do samochodu i odjechał.

**OJCIEC MIDASA SIEDZIAŁ W GABINECIE**, pochylony nad grubą, książką. Oblizywał palce, zanim przewrócił kolejną sztywną stronicę. Midas zapukał w otwarte drzwi, odczekał, znowu zapukał. Był małym chłopcem, kłankę miał na wysokości głowy.

Ojciec powoli zamknął powieki. Zrobił długi wydech. Ramiona mu opadły. Na twarzy pojawił się wyraz znużenia.

Przewlekłym „Hmmm?” przyjął do wiadomości obecność syna. Zabrzmiało to jak skrzypienie gałęzi w lesie.

—Matka płacze.

Ojciec westchnął.

—Jak to?

—No... płacze. W waszej sypialni.

—O Boże, Midasie...

—Przepraszam... Zrobiłem coś złego?

—Pytałeś ją, o co chodzi?

—Zabroniłeś mi wchodzić do sypialni. Powiedziałeś, że...

—Tak, tak. Och, Midasie, czytałem.

Przygładził wąsy długim, czystym palcem, popatrzył tęsknie na strony książki trzymanej na kolanach.

—Zobaczyła cię?

—Drzwi są zamknięte.

—Hm. Dlaczego podsłuchiwałeś?

—Ona... płacze bardzo głośno.

W książce było zdjęcie. Midas podszedł, żeby je zobaczyć, ale ojciec zamknął książkę, kciuki wetknął między kartki.

—Nie pukałeś?

—Pukałem. Nie odpowiedziała.

Ojciec popatrzył na zamkniętą książkę. Była inna niż te, które zazwyczaj czytywał. Wielka, o anatomii, z przekrojem klatki piersiowej na okładce.

—Midasie?

—Tak.

—Powiedz jej... że zostało mi jeszcze sześć stron. Potem przyjdę ją pocieszyć.

Midas pokiwał głową i poszedł na górę. Drzwi do sypialni rodziców były wyższe niż pozostałe. Wyglądały jak z kamienia, pomalowane na szaroniebiesko, rzeźbione w kwadraty.

—Matko?

Usłyszał szloch, popchnął drzwi. Światło wpadało przez szczelinę między ciężkimi kotarami, rysując oślepiający biały pas wzdłuż postaci matki. Siedziała przed wysokim lustrem po drugiej stronie łóżka. Rozpuszczone piękne żółte loki zwisały jej do ramion. Miała na sobie wełniany sweter na guziki.

W lustrze jej odbicie wpatrywało się w trzymaną przy brzuchu fotografię. Widniała na nim jako młoda kobieta, nie taka chuda i przygarbiona. Pozowała na brzegu rzeki, z jedną ręką we włosach. Wokół widać było splątane gałęzie. Ich odbicie falowało na wodzie. W tle jaśniały białe plamy, ale to nie mógł być śnieg, bo zdjęcie robiono latem. Może kwiaty. Midas fantazjował, że mają kształty wróżek.

—Synu — chlipnęła, kiedy go zobaczyła. — To zdjęcia twojej matki. Z młodości. Chcesz obejrzeć?

Wzięła pięć odbitek z łóżka. Na każdej stała w trochę innej pozie za odmienną konfiguracją białych plam. Midas wyciągnął rękę.



—Ostrożnie — powiedziała. — Tylko tyle mi przysłano. Nie mam negatywów.

Mimo że był taki mały, zaczął myśleć o negatywach jak o sidłach ze światła: światło wypala na negatywie fizyczne resztki przeszłości. Wspomnienia wykonane ze światła. Odbitka jest wspaniałą rzeczą, ale to negatywy trzeba zachowywać. Bez nich zyskuje się tylko atrapy, z nimi miałyby fragment z przeszłości matki, równie rzeczywisty jak włos czy kawałek paznokcia.

—Midasie! — syknęła i spojrzała na niego dziko.

Szybko zrozumiał: po schodach zbliżały się kroki. Zanim zdołał cokolwiek zrobić, ojciec już był w sypialni. Przez chwilę wszyscy troje nie ruszali się, twarze im zbielewały. Potem ojciec rzucił się naprzód i chwycił zdjęcia z kolan matki.

Przebiegał je wzrokiem, w tę i z powrotem, jakby to były słowa. Potem wydał przyduszony dźwięk. Nie zauważył zdjęcia, które trzymał Midas, bo chłopiec schował je pod koszulą.

—Midasie, wyjdź, proszę. — Zamknął za nim drzwi.

Ale Midas słuchał.

—Kochanie — odezwał się ojciec. — Co to jest? Powiedziałaś, że je zniszczyłaś. Zapewniałaś.

—Ale... Kochanie, to nie on je zrobił. To nie tak. To ja. Na tych zdjęciach jestem ja.

Midas usłyszał darcie papieru. I znowu. I znowu, i jeszcze raz. Kiedy drzwi otworzyły się nagle, przywarł do ściany. Ojciec przemknął obok, z garścią białych strzępków. Kiedy zszedł na dół, Midas zajrzał do sypialni.

Trzymała w dłoni kawałek wielkości paznokcia. Patrzył, jak drżą jej ramiona, potem nieśmiało zapukał w drzwi, aż podniosła wzrok. Podał jej zdjęcie, które schował pod koszulą.

Kąciki ust jej drgnęły, stłumiła szloch. Widział, jak matce powiększają się źrenice, kiedy patrzy na swoją podobiznę, jej soczewki dostosowywały się, jak w aparacie.

—Zachowaj to, Midasie — poprosiła. — Żeby twój ojciec nigdy tego nie znalazł.

I zachował.

TLR

**WIATR DAŁ z PÓLNOCY**, nawiewał deszczowe chmury jak kurz, aż pokryły niebo szarością. Henry siedział na progu swojego domku, wiatr wypełniał mu usta i nozdrza, wdmuchiwał zapachy kompostu z bagna do żołądka.

Nie mógł pomóc Idzie. Ta świadomość wypływała z jego trzewi, ściśniętych z żalu wywołanego właśnie bezradnością. Żądanie chłopca Croków uważał za krzywdzące. Ze wszystkich ofiar, jakie poczynił, żeby odciąć się od świata, największą było odwrócenie się plecami do kobiety, którą kochał. Dlatego krzywdzące było również to, że właśnie jej syn, dorosły, wyłonił się z izolujących Henry'ego mgieł bagiennych, żądając rzeczy niemożliwych — pomocy i odpowiedzi.

W oddali deszcz wyglądał jak szare wełniane spojenie między ziemią a niebem. Henry nie mógł pomóc Idzie, ale... przykrył twarz rękami. Nie był całkowicie uczciwy wobec Midasa.

Jako chłopiec sprzedał rower za zestaw do chemii. Wtedy wydawało się to rozsądne, porzucenie dzieciennych zabaw na rzecz dojrzałych studiów. Potem zobaczył chłopca, który kupił rower, jak radośnie pedałuje wieczorami, kiedy on grzebie szpatułką w kryształkach na szalce Petriego. Odniósł wtedy wrażenie, że jest w nim dwóch Henrych Fuwów. Jeden naukowiec, mieszkający w głowie, aspirujący do czytania książek z biologii i anatomii, i drugi — kryjący się gdzieś pod żebrami, pełen żalu i tęsknoty na widok roweru.

Wiele lat później wyjechał z Osaki, zabierając ze sobą mały bagaż, żeby szukać po omacku właściwego kamienia, pod którym znajdzie jeszcze nieopisanego żuka. Henry Fuwa usychający z tęsknoty za rowerem bał się wyjazdu, ale ten drugi od zawsze wiedział, że nie ma przyszłości w zamieszkiwaniu nad restauracją rodziców, w pobliżu Dotonbori, gdzie codziennie budził go zapach ryżu gotowanego na parze. Czuł się wtedy tak, jakby miał nakrochmalone płuca. Wiedział, że wyjazd nie jest błędem, że samotnicze życie wśród trzcin i bagiennych lilii, gdzie mógł spokojnie i pracowicie studiować, to dla niego właściwy sposób życia. Kiedy usłyszał o śmierci matki, zdziwił się, jak spokojnie przyjął tę informację. Potem szukał tego

chłopięcego Henry'ego Fuwy, skulonego w klatce piersiowej, z nadzieją, że wydusi z siebie trochę smutku, ale go nie znalazł. Prawdę mówiąc, nie mógł znaleźć już od jakiegoś czasu. Może podczas wielkiej podróży przez oceany zagubił się albo, zapomniany, został w terminalu lotniczym, między nieodebranymi walizkami lub w źle nadanej poczcie lotniczej. I tak oto Henry Fuwa nic nie poczuł po śmierci kobiety, która go wychowywała w Osace. Nie pamiętał nawet, jak to jest być jej synem. Bagienne życie trwało w cyklach: wiosną gorczyca zamieniała grząską glebę w żółty kosmos, letni upał tworzył podstępne pokrywy na stawach, jesień dawała życie milionom owadów i lepkich żuków.

Ale pewnego popołudnia, po tak wielu cyklach, wrócił ten drugi Henry Fuwa. Teraz dorosły i trochę nienasycony. Podszedł go podstępnie. Mścił się. Pokonał go.

Jego wzrok spoczął na Eyaline Crook.

Tego letniego dnia łapał węgorze w górze rzeki. Zafascynowany patrzył, jak wiją się i rzucają w kubły. Łapał za aparat, fotografował je, robił notatki na temat ich koloru i rozmiarów, potem wrzucał z powrotem do rzeki, a one, pobłyskując, uciekały jak żywe srebro.

Dzień był przyjemny, Henry przechadzał się bez celu po brzegu. Dopiero co uskrzydłone komary i komarnice wyskakiwały tysiącami z trawy i bzycały wokół jego kostek. W rzece trzepotały ciemne plamki: nowo narodzone ryby, gotowa strawa dla łuskowatego szczupaka i żarłocznych ropuch. Szedł sobie nad wodą, meandry i zakręty wiodły go w leśną głąsz.

I wtedy ją zobaczył, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na brzegu rzeki, w beżowej, letniej sukience i kapeluszu panama ze sztuczną różą przyszytą do runda. Na jego widok podskoczyła, ale nic nie powiedziała. Miała piękną sylwetkę, smukłe ręce i nogi, a włosy falowały wokół jej głowy, jak pod wodą. Palcami nerwowo ugniatała talię sukienki, mięła ją w dłoniach i puszczała, znowu mięła i znowu puszczała. Przyglądał się, jak bez końca powtarza te czynności, aż przypomniał sobie, że nie należy podziwiać kobiety tak, jak podziwia się wyjątkowego komara albo węgorza żywego jak rtec. Ukłonił się i przeprosił za nieuprzejmość.

Roześmiała się i przedstawiła. Wiedział, że nigdy nie zapomni jej nazwiska. Zapytał, co sprowadziło ją do lasu. Po prostu wędrownica, odparła. Jej rodzina była gdzieś w pobliżu, drzemała na polanie.

—Rodzice? — zapytał z nadzieją.

—Nie. Syn i mąż, obaj w koszulach z długim rękawem i spodniach w celu ochronny przed osami i pokrzywami.

Zaśmiała się smutno i zrewanżowała pytaniem.

—A pana co tu sprowadza?

W odpowiedzi potrząsnął kubłem z węgorzami.

Kiedy zapytała, czy nie będzie mu przeszkadzało jej towarzystwo, niemal eksplodował. Bez końca podziwiał, jak cętki światła przenikające między liśćmi padały na jej kapelusz i szczupłe ręce. Nie potrafiła utrzymać palców w bezruchu — ciągle albo coś pokazywała, albo przebierała nimi w milczeniu. Szli brzegiem rzeki. Kuląła.

Nagle obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i naciągnął jej kapelusz na twarz. Krzyknęła i ze strachem odskoczyła od niego.

Ośmielił się obejrzeć przez ramię.

Zniknęło.

Kłęczało i chłeptało wodę ze strumyka. Szorstkie białe futerko i płaski pysk przytknięty do wody. Wielkie oczy, dzięki Bogu, były zamknięte, gdy piło. Bardziej niż sam widok zaskoczyły Henry'ego rozmiary stworzenia: niewiele większe od jagnięcia.

Zapytał Evaline, czy też to widziała. Przyznała — zakładając prosto kapelusz — że coś zobaczyła. Ale czy spojrzała temu czemuś w oczy? Jak mogła, skoro to miało opuszczoną głowę? Przeskoczył przez strumyk do miejsca, gdzie kłęczało zwierzę. Zielone łodygi wystające z wody obładowane były poczwarkami ważek, w pełni rozwiniętymi, przywartymi do roślin. Wszystkie białe jak płatki śniegu. Usiadł na brzegu i przygryzł wargę. Wyjaśnił Evaline, że poczwarki powinny mieć kolor sadzy, idealny kamuflaż w wodzie, z której wypełzły. Teraz, białe, stanowią łatwy cel dla pta-

ków. Ich nieruchome ciała są przytwierdzone nóżkami do łodyg, a skóra wysycha przed przeobrażeniem w dorosłe osobniki.

—Więc ich pilnujmy — powiedziała Evaline, siadając na brzegu, naprzeciwko Henry'ego.

Skopała buty i zaczęła poruszać palcami stóp w chłodnej wodzie. On zrobił tak samo. Serce biło mu jak szalone, bo chciała to zrobić razem z nim. Powiedziała, że jest zabawny, ale że jej się to w nim podoba. Siedzieli spokojnie w milczeniu i patrzyli, jak białe egzoszkielety poczwarek powoli pękają, począwszy od miejsca, w którym znajdowały się oczy. Głowy i tułowia koloru kredy siłą przepychały się przez pęknięcia w skórcie i wysunięte do połowy zwisały ze starego ciała.

—Jeśli się pani skupi — powiedział Henry — zobaczy pani, jak odychają. Powietrze je rozdyma, a słońce wysusza. Potem są gotowe, żeby całkowicie się uwolnić.

Jakby na dowód tego, jedna ze świeżo wyklutych ważek wygięła się do tyłu na skorupce poczwarki, wyciągając ogon i nóżki. Skrzydła przylegały jej do tułowia jak spopielały papier. Wisiała nieruchomo, obejmując swoją starą, pomarszczoną powłokę. Tymczasem inne poczwarki na pobliskich łodygach zaczęły robić to samo.

Henry i Evaline patrzyli w ciszy i zadziwieniu na schnące skrzydła, które powoli rozwijały się na łodygach jak płatki rozkwitających kwiatów.

Słońce parzyło Henry'ego w kark. Kątem oka obserwował zafascynowaną Evaline. Światło padało cętkami na wodę. Biała traszka wychynęła z pluskiem spomiędzy liści lilii, żeby nabrać powietrza. Evaline jest piękna, pomyślał, piękniejsza od tego wszystkiego.

Rozpostarte skrzydła najbliższej ważki nagle zaczęły się poruszać i rozwinęły na całą długość. Światło wydobywało ich sitowatą strukturę. Inne ważki zrobiły to samo. Łodygi roślin obwieszane były lśniącymi płatkami.

Kilka minut później pierwsza ważka wzleciała w niebo. Wystrzeliła pionowo, potem zaczęła zygzakować wokół ich głów. Evaline ze zdziwienia gwałtownie wciągnęła powietrze i przykryła usta. Henry nie mógł ode-



rwać od niej oczu. Kolejne ważki uwalniały się i odlatywały od swoich spetryfikowanych byłych ja, śmigły w powietrze jak białe iskry.

Kule mocnego deszczu spadły na Henry'ego z nieba, sprowadzając go znów na bagna i do rzeczywistości. Zamknął oczy, krople chlupotały o zabłoconą trawę. Uwielbiał to wspomnienie i bał się go, bo chociaż zawierało obietnicę i po raz pierwszy w życiu był zakochany, z latami zmieniło się ono w najtrafniejszą metaforę: nie wiedział, gdzie podziała się Eyaline z tamtego dnia. Wszystko, co z niej zostało, w Martyr's Pitfall, to pusta łupina poczwarki ważki.

I oto on, stoi przemoknięty w deszczu, czuje się winny, bo nie był do końca uczciwy wobec jej syna, jakby poznanie całej prawdy mogło komukolwiek pomóc.

Nagle ogarnął go gniew. Kamień w ogrodzie odgrywał rolę miejsca spotkań ślimaków. Wyrwał go z zeschniętego błota i cisnął do kałuży. Pod spodem, wśród szamoczących się robaków i mszyc czaił się żuk, jak plamka nefrytu. Henry nabrał powietrza i go zdeptał.

Natychmiast padł na kolana obok zmiażdżonych szczątków, rył i drapał tak mocno, że gdy odzyskał nad sobą kontrolę, zobaczył krew na paznokciach. Kiedy wstał, poczuł się monstrualnie wysoki. Buty wyglądały jak buty olbrzyma, ręce miał sękaty i niezgrabne.

Nic nie było tak, jak powinno być, bo zjawił się Midas Crook.

— W porządku! — ryknął w głąb bagien. — Powiem ci! — Płuca natychmiast rozboleły go od krzyku, tak dawno już nie podnosił głosu. Ścisnąc się za boki, wszedł do domu i zagotował wodę w rondlu. Wyniósł bulgoczące naczynie na dwór, para buchnęła na zimnym powietrzu. Zamrożone sznurki deszczówki trzeszczały mu pod gumowcami, kiedy niósł rondel na bagna. Wrzątek chlapał z sykiem na błoto. Henry dotarł do sadzawki o wymiarach sarkofagu, gorącym denkiem rondla wytopił krąg na zlodowaciałej powierzchni wody i wylał ukrop na wodorosty. Zanurzył rondel i pociągnął go po brejowatym dnie, jak sieć rybacką. Od zimnej wody drętwiały mu palce. Czuł, jak lód zamyka mu się wokół nadgarstków. Wyciągnął rondel z sadzawki pełen brudnej cieczy. Leżała w nim spowita szlamem bryła.



Zaniósł to do domu. W środku odsączył wodę. Potem zatkał odpływ zlewu i odkręcił kurek z ciepłą wodą. Dodał solidną porcję płynu do mycia naczyń. Założył rękawice do zmywania, głęboko odetchnął i sięgnął do zlewu po bryłę, teraz ukrytą pod pianą. Szorował ją szczotką, aż piana opadła. Wyjął bryłę, już oczyszczoną.

Wtedy, kiedy wykopał ją z grobu Midasa Crooka, odór sprawił, że żółć podeszła mu do gardła. Teraz serce Midasa Crooka rzucało blaski na wszystkie strony jak ogromny diament. Przez ostatnich kilka lat ślimaki ze stawu zamieszkały w przezroczystym przedsionku serca, a kijanki zapchały przeświecające komory. Znowu było czyste i sterylne, wywoływało w Henrym wstyd i strach z powodu tego, co zrobił. Wyrwał je, jak dojrzały owoc, z piersi Midasa Crooka, pognął do domu i wyszorował do czysta z warstewki zaschniętej krwi. Badając je w kolejne wieczory, odkrył jego tajemnice. Szkło zachowywało się jak paznokcie albo włosy. Rosło przez jakiś czas po śmierci, nawet w grobie, ale potem zamierało, razem z resztą ciała. Codziennie, odkąd przyniósł je ze sobą na bagna, rozmyślał nad potwornością tego, co uczynił.

Tamtej nocy, kiedy zgarnął łopataą ziemię znad trumny i podważył gnijące drewno, kupił i wypił całą butelkę dzinu. Kwiaty na cmentarzu kościoła w Tinterl, skapane w świetle księżyca, były białe nawet późno w nocy. Miał wtedy wątle mięśnie, musiał je przystosować do pracy łopataą. Kościół w Tinterl stał na samotnym grzbiecie, z którego wiatr zwiął cienką warstwę gleby, zostawiając podłoże zwirowate jak plaża. Tylko raz dostrzegł ślad żywej duszy. Zobaczył dwa reflektory zbliżające się z oddali. Rzucił się na ziemię ogarnięty<sup>7</sup> paniką, kiedy jasne promienie rozbłyły na ścianie kościoła i wzburzyły cienie nagrobków, jak czarne zasłony. Oblał go zimny pot, zanim reflektory zniknęły na drodze do Gurmtun. Wiedział, że pod nim leży zmarły. Chociaż nie miał czasu, żeby sprawdzić, za czym nagrobkiem się schował, przez twardą ziemię wyczuwał, czyj to grób. Szybko wstał, z trudem otworzył dzin i napił się z butelki. Oblizał wargi, chwycił łopataą i zerwał marną trawę.

Pamiętał naga, drewnianą płytę, którą odkopał w świetle jesiennych gwiazd. Rozłupał trumnę i zaczął się dławić na widok zgniłych resztek spoczywających w środku. Na bagnie proces rozkładu był skomplikowany. Gazy i ciecze potrafią zakonserwować człowieka w wodzie na stulecia albo zdjąć z niego skórę w kilka dni, jak warstwę farby. Miał nadzieję,

że piaszczysty grób zrobił swoje przez siedem lat, i otworzył tors nieboszczyka. Tylko tyle Henry'emu było potrzebne: zobaczyć to, co jest pod żebrami, to co tam zostało. Ośrodek miłości.

Grób zrobił więcej niż trzeba.

Teraz, w kuchni, Henry włożył szklane serce do torby na zakupy i położył na stoliku.

Gdyby zapytać psychiatrę, dlaczego człowiek może zabić sam siebie, usłyszysz się o stu powodach, ale nigdy o przedmiocie, który teraz leżał w torbie na zakupy. Henry długo i głęboko rozważał szczególne samobójstwo doktora Crooka. Zestawił szklane serce ze szklanym ciałem, pokazanym Midasowi na bagnach. Jeżeli przemiana w szkło kończy się wraz ze śmiercią, to Crook ją oszukał, odbierając sobie życie. Wynikało z tego także to, że człowiek z bagien w pewnym sensie nie umarł. Po śmierci proces przemiany w szkło zatrzymuje się zbyt szybko. Człowiek z bagien nie mógł za życia przeistoczyć się w szkło do tego stopnia, żeby metamorfoza miała czas dopełnić się po tym, jak woda wypełniła mu płuca. Jeśli otrul się bagiennymi jagodami i położył się na brzegu sadzawki, żeby umrzeć, jego żołądek musiał być jeszcze żywy, a nie szklany, bo wydelał enzymy trawiące truciznę z jagód. Jeśli został zamordowany — na ciele nie było śladów obrażeń, ale mógł dostać cios w głowę — musiał mieć żywą czaszkę i mózg, żeby morderca dokonał dzieła. A jeśli nawet zabiło go szkło, przekształcając organ po organie w kryształ, to z pewnością samo doprowadziłoby siebie do porażki, bo musiał nadejść moment, kiedy życiowo ważny organ zmieniłby się w twardy silikon, kiedy ciało przestałoby funkcjonować, i człowiek byłby martwy, a szkło nie zdołałoby rozprzestrzenić się wystarczająco szybko, żeby zawładnąć nim całkowicie.

To wszystko pozwalało Henry'emu postawić dwie hipotezy.

Jedna: nawet po przekształceniu się w szkło cierpiący człowiek nadal pozostawał żywy. Doktor Crook chyba nie wierzył w tę teorię, bo tak łatwo nie zrezygnowałby z życia.

Druga: szybkość przemiany nie była stała, jak to sobie Henry wyobrażał. Prawdopodobnie przyspieszała, pokonywała ofiarę nagłym atakiem transformacji. Bardziej prawdopodobne, że tego obawiał się doktor Crook, kiedy planował samobójstwo. Że człowiek z bagien też się tego obawiał,

kiedy rozmyślał nad swoim stanem — wiele lat albo stuleci temu — i nagle, błyskawicznie, zaczął się przeistaczać w twardy i pusty minerał. Nie miał nawet czasu, żeby się zdziwić.

Do tej pory Henry traktował to jako interesującą zagadkę. Teraz było inaczej. Krótco widział Idę MacLaird, ale poznał ją na tyle dobrze, że nie życzył jej, aby szkło zrobiło z nią to, co z doktorem Crookiem albo człowiekiem z bagien.

Nie miał ochoty myśleć przez resztę popołudnia o Idzie. Żeby z tym skończyć, wypił resztkę zapasu dżinu, koncentrując się na tym, żeby nie zmarnowała się ani jedna krystalicznie czysta kropla. Pomyślał o Evaline, o białych wazkach szybujących nad rzeką, o łupinach, które zostawiły na trzcinach i zielonych łądogach, i o tych odległych czasach, kiedy sądził, że to miłość się wykluwa.

**WIECZÓR PRZYGASAŁ MIGOTLIWIE ZA ŚNIEŻNYMI CHMURAMI.** Sklepienie lasu było jak zębata groźba dla nieba. Śnieg topił się jeszcze w powietrzu, opadał na przysypaną liśćmi drogę i zamieniał się w pulpę pod kołami.

Carl Maulsen jechał samochodem.

Czas, tego mu brakowało. Rzecz nie w tym, żeby mieć w zanadru zapas wielu lat, lecz żeby mieć te nieprzeżyte, które jednak można odłożyć. Bo kiedy człowiek się starzeje, wszystko się wali. Chciał, żeby jego pierwsze poważne otarcie się o śmierć dotyczyło kogoś innego. Była w tym jakaś przewrotność, że matka i ojciec trzymali się życia daleko, w Arizonie. To któreś z nich powinno pójść pierwsze, nie Freya. Ktokolwiek, byle nie ona, żeby zdał sobie sprawę, że nie zostało mu wiele czasu, że nie będzie miał tego luksusu i nie przeżyje Charlesa MacLairda, i nie zdąży ułożyć planów na doskonałą przyszłość.

Poczuł ucisk w gardle i piekącą wilgoć pod powiekami. Zaskoczony przełknął łzy. Czuł się stary i sentymentalny. Może wywołała to magia lasu. Srebrne osty drżały na poboczu. Reflektory wydobyły biel z oczu zająca.

Dziś zobaczył ją jak żywą. Tańczyła w sukni balowej w ostatni wieczór na uniwersytecie. Suknia i włosy do pasa lśniły jak oczy tego zająca. Pamiętał, jak spojrzała z uznaniem z parkietu, ironicznie uśmiechnęła się kącikiem ust. Ale gdyby podszedł do niej, uczyniłby ze wspomnień fantazję, bo tego nie zrobił. Rozegrał to na zimno, zbliżył się dopiero później i znalazł ją w ramionach innego mężczyzny.

Wrócił do początku wspomnienia i ułożył je na nowo. Tym razem ruszył na parkiet i podszedł do niej, oszołomiony jej włosami, promieniującymi w błyskach światła disco. Wziął dziewczynę za wyciągniętą rękę i poczuł, jak jej miękkie palce przeplatają się z jego palcami.

Za późno nadepnął na hamulec. W reflektorach stała łania. Zachręściło od uderzenia, zwierzę zostawiło wgniecenie w masce i rozbiło jeden reflek-

tor. Upadło na bok, błyskając bladym podbrzuszem. Carl, przeklinając, wyskoczył z samochodu i obejrzał szkody w karoserii. Jedno ze świateł zostało zmiżdżone, a maska była pocięta w harmonijkę. Wygłosił tyradę nad trupem łani, otworzył bagażnik, chwycił zwierzę i przewiesił sobie przez barki. Jeśli ma zapłacić za naprawę samochodu, to chociaż przez tydzień będą z Idą jedli dziczyznę.

Uderzenie skreśliło łani kark, ale kiedy wrzucił ją do bagażnika, zobaczył, że jedna z tylnych nóg połamała się w kilku miejscach i luźne kawałki kości napinają futro, jak zabawki skarpetę z podarunkami na Boże Narodzenie.

Stał przez chwilę z rękami w kieszeni. Zaskoczenie wywołane zabiciem zwierzęcy na drodze, lodowe iskry na każdym liściu i kolcu ostu sprawiły, że zaczął mieć dziwaczne myśli.

Trzydzieści lat temu latem uschła zadbana trawa rosnąca w czworokątach między budynkami uniwersyteckimi. Pożółkłe trawniki wyglądały jak postrzępione pergaminy gnijące na ziemi. Carl stał w cieniu gmachu z piaskowca, z rękami w kieszeniach, marsem na czole. Wyjął grzebień i kilka razy przejechał nim po włosach czarnych jak smoła. Inni studenci, wchodząc na schody prowadzące do dusznego korytarza, omijali go z daleka.

Jakże ich nienawidził. Ludzie bez wizji, motywacji, ambicji. Tłoczyli się w nadęte koterie albo przechadzali się, beztrąsko akceptując wiszącą nad nimi uniwersytecką porażkę. Niechby nawet byli fanatyczni albo obojętni wobec studiów, ale żaden nie miał takiej pasji jak on. Bardziej obchodziło ich rozwalanie się na nieznośnym słońcu niż nauka. Parsknął jak dzik, nastraszył tłustą studentkę, która nerwowo poprawiła okulary i oddaliła się chwiejnym krokiem.

Na trawnik wjechała jakaś dziewczyna na rowerze. Widać było, że się spieszy. Pedalowała szybko, ale kiedy najechała na popękana płytę chodnikową, rower podskoczył i dziewczyna przewróciła się na ścieżkę, z nogami zaplątanymi w ramę. Carl uśmiechnął się, kiedy z trudem wstawała.

Przestał się uśmiechać. Była piękna.

Rozcięła sobie kolano. Ciemna krew spływała po łydce, jak źle umiejscowiony stygmat. Próbując uporządkować arktycznie jasne włosy, umaza-

ła je na rubinowo. Zostawiła rower i pobiegła po schodach na uniwersytet, zostawiając Carla owianego gorzkim zapachem krwi.

Poczuł napięcie w lędźwiach. Wydawało mu się, że stoi ponad takimi popędami, że jest tu tylko po to, żeby poświęcać się nauce. Ale teraz... Wstrząśnięty uświadomił sobie, że idzie na trawnik, aby uratować porzucony rower dziewczyny. Potrzebowała nowego, ten miał zardzewiałą ramę. Oparł go ostrożnie o ścianę i położył dłoń na siodełku z nadzieją, że wychwyci resztki ciepła. Nic nie poczuł, ale został dłuższą chwilę.

Potem fantazjował, że zakleja plastrem rozcięte kolano.

—Freya — powiedział i to słowo sprowadziło go z obłoków między nieme drzewa, na oblodzona szosę, do martwej łani w bagażniku. Odwrócił się, spojrzął na przydrożne osty i srebrny las za nimi.

—Freya — powtórzył rozpaczliwie.

Jej imię uleciało martwo w powietrze. Nie było już niczym więcej jak imieniem pożywki dla korzeni traw na kontynentalnym cmentarzu. Miał takie przeczucie, kiedy jej panięńskie nazwisko przeszło do historii, ale nie zrobił nic, żeby temu zapobiec. Nigdy nie należał, żeby przybrała nazwisko Maulsen. Chwycił się za włosy i tak mocno pociągnął, że łzy stanęły mu w oczach. Jak zazdrościł tym korzeniom, że piją z jej ciała, włóknom rosnącymi tam, gdzie była jej skóra, gorąca i delikatna.

Odwrócił się i zatrzasnął bagażnik z ubitą łanią. Ida: imię, które nadal coś znaczyło. Dzięki niemu uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni na myśl, jak kiedyś wyłoniła się z ciała, które teraz leżało pogrzebane pod trawą. Prosta realność Idy była zachwycająca.

Ale tym trudniej było znieść myśl o niedomaganiu dziewczyny. Przyglądał się, jak chodziła, i szybko narosły w nim podejrzenia, że jest poważnie chora.

Trochę znał się na obrażeniach. Sam kiedyś złamał kość prawego śródstopia i pękł mu lewy piszczel. Ale to co innego. Ida poruszała się po domu tak ostrożnie, jakby miała stopy z porcelany. To porównanie przywiodło mu na myśl Emilianę Stallows, żonę Hectora, która dzięki fortunie męża w Enghem, na północnym wybrzeżu Gurm, prowadziła małą klinikę medycyny alternatywnej. Z punktu widzenia Carla wszystko to były cygańskie gu-



sła i szamańskie sztuczki, ale schlebiał jej, ilekroć się spotykali. Ich romans więcej znaczył dla Emiliany, niż kiedykolwiek mógłby znaczyć dla niego, ale w swoim czasie była piękna, a on fałszywie spekulował, że jeśli jakakolwiek kobieta zdołałaby przełamać jego daremne uczucie do Freyi, to musiałby to być ktoś równie olśniewający jak ona.

Przeszukał umysł, żeby przypomnieć sobie, co mu kiedyś powiedziała, kiedy słuchał jej jednym uchem. Teraz to przywiodło mu ją na myśl. Pewnego ranka leżeli w łóżku, on delectował się pierwszym papierosem tego dnia, a ona paplała bez przerwy o swoich udrękach życiowych. Emiliana zawsze użalała się nad tym czy innym pacjentem, ale historia pewnej dziewczyny — szczegóły umknęły mu z pamięci — była niezwykła. Emiliana wyznała, że nie potrafi tego rozgryźć.

Będzie musiał odkurzyć jej numer telefonu albo wybrać się do Enghem, bo nie kontaktował się z nią od paru lat.

Najpierw jednak złoży<sup>7</sup> inną wizytę. Od śmierci doktora Crooka raz czy dwa razy myślał o jego synu. Był równie ciekaw, co z chłop



ca wyrosło, jak i tego, czy stanowiłby odpowiednie towarzystwo dla Idy. Jeśli po Freyi można było odziedziczyć coś złego — a Idzie na pewno to się udało — to gust odnośnie do mężczyzn. Przez całe lata Ida opowiadała mu o swoich chłopakach. Zdumiewało go, co w nich widziała.

Potrzebowała pomocnej dłoni, a Carl z chęcią ją poda.

—**POLUBISZ GO** — powiedziała o Carlu Maulsenie. — A on będzie tobą zainteresowany.

Problem jednak tkwił w tym, że on nie lubił ludzi, a oni się nim nie interesowali. Midas siedział samotnie przy stole w kuchni, z głową opartą o dłoń. Tak już się rzecz miała. I dobrze.

—Za bardzo angażuję się w sprawę Idę — wyznał aparatowi leżącemu na stole. — Muszę się z tego natychmiast wyplątać.

Z zadowoleniem rozejrzał się po kuchni, po przytulnym życiu, jakie sobie urządził. Powinien do niej zadzwonić i odwołać wszelkie spotkania. Co dobrego może z tego wyniknąć?

Wstał.

—Nie lubię, jak ktoś burzy mój ład.

Podszedł do telefonu i wystukał pierwsze cyfry jej numeru — dotarło do niego, że zna je na pamięć. Zawahał się, rzucił słuchawkę na widełki. Tak bardzo nie przeszkadzała. Pomyślał o jej stopach. Przenikało przez nie światło, roziskrzając skryształizowaną krew. Obiecał, że przy niej będzie. Nie miałby serca, gdyby teraz ją porzucił.

—Jeżeli sprawy wymkną się spod kontroli, zejść z pokładu i tyle — postanowił, wracając do czajnika. — Bez wyrzutów sumienia.

Zadrzał. Nigdy nie potrafił zmierzyć się z ludźmi, szczególnie z kobietami. Przekonał go o tym jego pierwszy i jedyny związek. Fotografował Nataszę w profesjonalnym studiu, wynajął nawet garderobę. Uwielbiała pozować, mówiła, że dobrze jej to robi. Ponieważ Natashy podobała się praca fotografa, wydawała się doskonałą towarzyszką. Była fantastyczna... ale tylko na zdjęciach. Z coraz większą niechęcią gdziekolwiek z nią wchodził. Wolał udawać, że jest chory, żeby zostać w domu i przeglądać foldery z własnymi zdjęciami. Jej gęste, połyskliwe włosy z fotografii poza

kadrem były suche i śmierdziały lakierem. Słodkie oczy stawały się kawałkami spalonego drewna, jak tylko zamykał album. To wymagało wielkiej odwagi, żeby z nią zerwać, usiąść i wyjaśnić, że pociągała go tylko jej wersja uwieczniona na błonie.

Było mu z tego powodu przykro przez kilka lat. Wyprowadziła się, żeby znaleźć kogoś, kto pokocha ją za to, jaka jest naprawdę, a nie za to, co z niej wydobędą azotan srebra i miękkie światło. Napisała do niego list, który przeczytał tyle razy, że zapamiętał każde słowo.

„Zawsze byłeś szczęśliwszy w towarzystwie płaskich, dwuwymiarowych rzeczy. Nigdy nie udało mi się Ciebie od tego odciągnąć, sprawić, żebyś zaczął widzieć w trzech wymiarach. Do dzisiaj nie wiem, czy odkryłeś głębię albo perspektywę, chociaż rozpaczliwie chciałam stać się tą, która Ci to pokaże.

Uważaj na siebie, Midasie"

Poczuł się koszmarnie, po części dlatego, że ją uraził, ale też dlatego, że go nie rozumiała. To śmieszne mówić, że nic nie wie o głębi i perspektywie. Każdy fotograf się na tym zna. Nie nosił końskich okularów, jak jego ojciec, wyrobił sobie zdrowy dystans do świata. I dlatego został z aparatem.

Denver powinna już przyjść. Lubił jej towarzystwo, bo zachowywała się cicho. Nie gadała niepotrzebnie. Razem godzinami siadywali przy stole. Midas pracował nad fotografiami, a Denver rysowała.

A jednak od dnia, kiedy pokazała mu bombki i szczerze powiedziała o spędzaniu czasu z myślami z tyłu głowy, zaczął się o nią martwić. Gustav zadał sobie trud, żeby wprowadzić ją w zewnętrzny świat przedmiotów, przemocy i pogody. Namówił córkę, żeby zaczęła chodzić po pęknięciach w chodniku, żeby rozumiała, że nic złego się jej nie stanie — potem odprawiła swego rodzaju pokutę, skacząc godzinami w tę i z powrotem z płyty na płytę. Pozorował przerwy w dostawie prądu, żeby pomóc jej uporać się z ciemnością; chociaż od tego czasu zaczęła gromadzić świece w pudełku pod swoim łóżkiem. Wieki mu zajęło, zanim wyleczył Denver ze strachu przed wodą. W szkole nakłuwała motylki do pływania wiecznym piórem. Nauczyciele za karę kazali jej przepisywać zdania, ale robiła to z cierpliwą akceptacją, więc takie rozwiązania okazywały się nieskuteczne. Midas też nie lubił wody, toteż po cichu popierał to szczególne nieposłu-

szeństwo, ale od pewnego czasu martwił się, że trochę zniweczył ciężką pracę Gustava. Popierał jej introwersję jako część tożsamości. Zawsze uważał, że to dobra rzecz. Czy kiedyś przestał tak myśleć?

Właśnie teraz rysowała narwala z rogiem na dziobie i złotymi płetwami, a on przypinał nowe zdjęcia do ścian kuchni. Wilgotne wrzosowisko w jasnym słońcu, ziemia jak milion atramentowych odcisków palców na białym arkuszu. Ślimak w skorupie jak czarny marmur i z czułkami wysuniętymi do nieba. Kot albinos z jednym okiem, którego sfotografował przed Catherine's. Jeszcze tydzień temu byłby z tego zadowolony. Potrafił spędzić godzinę zafascynowany głębią cieni i jaskrawością światła, tylko że teraz przypinanie tych fotografii do ściany wydawało mu się marnowaniem miejsca. Rozkładał więc na stole zdjęcia, które uznał za ciekawe. Przedstawiały stopy Idy. Zrobił je, kiedy spała. Wybrał jedno, przypiął do ściany, a resztę odłożył do segregatora. Potem stanął z rękami w kieszeniach i zaczął mu się przyglądać.

Przez ostatnie kilka lat stopniowo odchodził od starej lustrzanki jednoobiektywowej. Brakowało mu wieczorów w ciemni, zapachu wilgoci i wywoływacza, czerwonego światła dającego wrażenie, że patrzy się na pokój przez zamknięte powieki. Mimo tych ukłuc nostalgii uległ aparatom cyfrowym. Za silna była pokusa zrobienia kokieteryjnie czekającego kolejnego zdjęcia. Przed epoką cyfrówek koniec kliszy narzucał mu powściągliwość i prowadził z powrotem do ciemni, żeby z azotanu srebra wywabić odbitki. Jego oczy przystosowały się, nauczyły widzieć w półmroku świat i powoli wyłaniające się z kuwety obrazy.

Potem były negatywy. Jakże za nimi tęsknił. To prawdziwe promienie światła, odbite wprost od krajobrazu, przedmiotu, osoby, kładące się piętnem na błonie. Negatywy zdjęć stanowiły najmocniejszy element wspomnień. Były oparzeliną zostawioną przez ogień, siniakiem na skórze. To samo światło, które docierało do oczu w dzień zrobienia zdjęcia, ten sam obraz matki, ojca albo bliskiego przyjaciela, to wszystko zapisało się na kliszy. A teraz, patrząc na wiszące na ścianie zdjęcie przezroczystych palców nóg Idy na tle prześcieradła, myślał, jak bardzo jej stopy podobne były do negatywów: należały do świata przejściowego między wspomnieniem a teraźniejszością. To nie prawdziwe, giętkie palce, ale gra światła wskazująca, gdzie palce kiedyś były.

Odezwał się dzwonek do drzwi, Midas spojrział na zegarek. Gustav przyszedł pół godziny za wcześnie.

Zaskoczyło go, kiedy za progiem zobaczył Carla Maulsena, w skórzanej kurtce, z rękami w kieszeniach i śniegiem na ramionach.

—Cześć — rzucił. — Nie spotkaliśmy się, ale ty jesteś Midas, zgadza się? Nazywam się Carl Maulsen. Przyjaciel Idy.

Midas dobrze zapamiętał zdjęcie ojca i Carla, gdy odebrali doktoraty. W prawdziwym życiu ten człowiek miał w sobie coś, czego nie uchwycił aparat: obecność. Jakieś pole magnetyczne, jakby powietrze wokół prądnicy.

—Tak. Cz... cześć. Pokazywała mi pańskie zdjęcie.

—Pomyślałem, że tak po prostu wpadnę. Dziwne, co? Znałem twojego ojca. — Próbował zajrzeć przez ramię Midasa do domu. — W złą porę?

To miało znaczyć, domyślił się Midas, „Czy mogę wejść?”

Cofnął się do korytarza. Carl wszedł i zamknął drzwi, zdjął kurtkę i zawiesił ją na wieszaku, potem poszedł za Midasem do kuchni.

—Denver, to jest, hm, pan doktor Maulsen. Panie doktorze, to moja przyjaciółka Denver.

—Cześć, panie doktorze.

—Nie mów do mnie „panie doktorze” — powiedział miękko Carl. — To takie ważniackie.

Denver wzruszyła ramionami i wróciła do rysowania.

—Proszę usiąść. — Midas odsunął krzesło od stołu. — Napije się pan czegoś?

—Napiłbym się z tobą kawy.

—Dobrze. — Midas włączył czajnik.

Carl przyglądał się rysunkowi, nad którym trudziła się Denver. Jej narwał w głębi oceanu nosił uprząż z wodorostów i ciągnął wóz z muszli, którą dziewczynka kolorowała na różowo. W muszli siedziała kobieta. Wskazał na nią, uważając, żeby nie dotknąć rysunku.

—To syrena?

Denver pokręciła głową i rysowała dalej.

Przeniósł wzrok na ściany obwieszane zdjęciami.

—A więc, Midasie... widzę, że niezły z ciebie artysta. Co twój ojciec o tym sądził?

Midas postawił dzbanek z kawą i najmniejsze kubki, jakie miał.

—Nie rozumiał fotografii. Myślał, że coś jest piękne, jeśli przeczytał o tym w martwej, starej książce.

Carl pokiwał głową, napił się kawy i dalej oglądał zdjęcia.

—Przez jakiś czas miałem przyjemność z nim pracować, w Wretchall College.

Midas przygarbił się na krześle.

—Niech pan posłucha — powiedział. — Z mojego ojca był kawał dupka.

Carl wyglądał na zaskoczzonego.

—Nie zgadzam się. Bardzo go lubiłem. Wspominał kiedyś o mnie?

—Nie. Przykro mi. On nigdy nie mówił o ludziach ani o swoim życiu. Trajkotał tylko o archetypach i tak dalej.

Carl uśmiechnął się czule.

—Takiego właśnie go znałem. Nie spodziewałem się, że o mnie wspomni. Ale twój ojciec mówił czasem wspaniałe rzeczy. Otworzył wiele oczu.

—Może.

Denver głośno ziewnęła. Drapanie jej ołówka wdzierało się w ciszę, która zapadła między dwoma mężczyznami.

—Widzę w tobie twojego ojca, wiesz? Masz taką samą... jak to powiedzieć? Zimną krew. Było mi smutno, kiedy umarł. Ta cała sprawa z łodzią. Wielka strata.

Midas wzruszył ramionami.

—Nic do niego nie czujesz?

Znów wzruszenie ramionami, mniej ostentacyjne.

—Masz jakieś jego zdjęcie?

—Tam jest jedno, na ścianie. Resztę wyrzuciłem.

—Rozumiem. — Carl zerknął na fotografię. — To niemiłe widziany temat.

Midas patrzył na kółka po kawie, jak na wiry, w które można się zanurzyć i uciec od tej rozmowy. Pod stołem wbijał paznokcie w kolana.

—Szkoda, że go nienawidzisz. — Carl rozparł się w krześle. — A przy tym ciekawe, nie sądzisz? Okazuje się, że jesteście tak do siebie podobni, a zarazem tacy różni. Ale cóż, nie przyszedłem, żeby rozmawiać o nim.

—Powiedział pan, że tak po prostu wpadł — wtrąciła się Denver.

Spojrzał na nią z ukosa. Najwyraźniej zapomniał o jej obecności.

—Hm. — Głęboko nabrał tchu. — Prawda, przyszedłem w pewnej sprawie. Chodzi o Idę.

—Nowa dziewczyna Midasa.

—Den!

Wzruszyła ramionami.

Carl uniósł brwi.

—Nie! — zaprotestował Midas. — Nie, nie, nie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Poza tym dopiero co się spotkaliśmy.

Na ustach Carla pojawił się krzywy uśmieszek, jakby zachowanie Midasa wcale go nie zdziwiło. Przybrał niemal nostalgiczny wyraz twarzy.

—Ida jest chora, prawda? — zapytał.

Midas milcząco przytaknął.

—Ale razem jej pomożemy, tak? Cieszę się, że otworzyła się przed tobą.



Midas miał ochotę wyrzucić z siebie taką samą pełną zażenowania odmowę, jakiej udzieliłby jego ojciec. Ale nie miał doświadczenia w mówieniu o uczuciach. Chciał pobiec na górę i wskoczyć pod zimny prysznic.

—Czy mówiła ci, co się dzieje z jej stopami? — spytał Carl.

Denver kaszlnęła. Przewiercała Midasa wzrokiem, próbowała mu coś przekazać.

—Ja, hm... — wymamrotał. — Nie sędzę, żeby Ida opowiedziała mi ze szczegółami, co jej dolega.

—Nie sędzisz?

Denver zastukała ołówkiem o blat.

—Nie — powiedziała. — On tak nie sędzi.

—Mówiła ci, że jesteśmy znajomymi?

—Hm... — Tak, pamiętał, ale Denver pokiwała ołówkiem, więc nic nie powiedział.

—Byłem najlepszym przyjacielem jej matki. To stawia mnie w ciekawym położeniu, jako starego kolegę twojego ojca.

—Na St. Hauda's Land wszyscy się znają — odparła Denver.

—Niewiele osób znało twojego ojca, Midasie, a ja jestem jedynym człowiekiem z St. Hauda's Land, którego zna Ida.

—Zna Midasa — sprzeciwiła się Denver. — I mojego tatę, i mnie.

—Ale wy dopiero co się spotkaliście. Ida i ja znamy się od dawna. I dlatego znalazłem się w szczególnym położeniu, skoro znam rodziny was obojga.

—Midas jest inny niż reszta jego rodziny. Jest taki, jakby... jakby Bóg zaczął od początku.

Carl uśmiechnął się słodko.

—Byłaby zaskoczona, prawda, Midasie?

Midas coś wymamrotał.



Denver zdenerwowała się i zamknęła szkicownik.

—Nie mogę się skupić.

Carl wstał.

—A ja już wypilem kawę.

Poszli za nim do korytarza. Carl włożył skórzaną kurtkę i otworzył drzwi. Na chwilę przystanął na schodku, jakby podziwiał padający śnieg.

—Masz ciekawe zdjęcie — powiedział. — Na ścianie w kuchni. Jakies pięć fotografii nad zdjęciem twojego ojca.

—Eeee. — Midas przeszukiwał pamięć. — Naprawdę?

—Tak. — Carl podrzucił kluczyki, złapał je i poszedł do samochodu. Odjechał, nie oglądając się za siebie.

—To było straszne — jęknął Midas.

Denver trzymała ręce na biodrach, twarz miała zaczerwienioną.

—Głupi! — wysapała. — Dlaczego jesteś taki głupi?

—O... o co ci chodzi?

—Coś zobaczył. Kiedy cię wypytywał jak nauczyciel. — Zdenerwowana wróciła do kuchni. — To na pewno to zdjęcie, które zawiesiłeś dziś rano.

Pognał za Denver. Duchem był już w kuchni.

—To. — Wskazała na ścianę. — Ale nie mogłam do niego dosięgnąć.

Zdjęcie szklanych stóp Idy. Pięć fotografii nad zdjęciem ojca.

O Boże. Może... wyrwane z kontekstu... po prostu stopy ze szkła... nic więcej... to nic nie znaczy...

—To tylko... efekty specjalne — wyjąkał. — Wiesz, komputery potrafią... Zdjął zdjęcie ze ściany i położył je wizerunkiem w dół na stole, jakby to cokolwiek dało. Denver wróciła do drzwi wejściowych i zatrzasnęła je oburącz, żeby zimno nie wleciało do domu.

**NOCNE PRZEBUDZENIA OBDARZAŁY JĄ CHWILAMI**, w których zapomniała o stopach. Ale to był moment. Natychmiast psuły go mrowieniem w żyłach i głuchą reakcją martwych nerwów, kiedy próbowała zgiąć palce u stóp. Tej nocy nie mogła zasnąć. Wiedziała, że to bez sensu, ale Carl po powrocie do własnego domu wyglądał jak oszust. Poprzedniej nocy spał z nią Midas, na wyciągnięcie ręki od jej łóżka, i było przytulnie. Następnego ranka, kiedy olej przyskał z patelni, czuła się niemal szczęśliwa.

Miała dość leżenia bez ruchu. Wstała wcześniej i zrobiła sobie płatki. Patrzyła, jak zamieniają się w mleku w mokre plamki. Nie była głodna. Potem obserwowała, jak tłuste płatki śniegu uderzają w okno. Po kwadransie usłyszała na dworze kroki, zaczęła się denerwować. Drzwi do kuchni zakrzypiały i otworzyły się gwałtownie; wszedł Carl w szarym płaszczu i grubym szalu. Nos i uszy miał sine z zimna, we włosach iskrzył mu się śnieg. Ida wzdrygnęła się od powiewu lodowatego powietrza, które wypełniło pomieszczenie, zanim zamknął drzwi.

Carl uśmiechnął się niewyraźnie i usiadł.

—Też nie mogłaś spać?

—Nie mogłam.

—Czasem nie jestem w stanie się wyłączyć.

Próbowała przybrać współczującą minę.

—A ja nie potrafię przestać myśleć o swoich stopach.

—Ach. — Spojrzał jej w oczy i się wyprostował. — Słuchaj, Ido, martwię się o ciebie.

Wzruszyła ramionami, podziobała łyżką rozpuszczone płatki.

—Nie ma o co...

—Ido. Znam kobietę... Myślę, że mogłaby ci pomóc,

—Znaleźć Henry'ego Fuwę?

—Nie. Pomóc cię wyleczyć.

Zmrużyła oczy, zacisnęła dłonie, żeby nie wydały jej nerwowym podrygiwaniem. Po bezsennej nocy siłę woli miała na wyczerpaniu. Płatki śniegu uderzały w szybę.

—Carl... Proszę... Nic się nie da...

Trzasnął w stół. Aż podskoczyła, a łyżka zadzwoniła w miseczce z płatkami.

—Bzdura, Ido. Całą noc nie spałem i myślałem o tobie. O tym, jak chodzisz. O twoich nieśmiałych krokach. O tym, jak zwieszasz głowę, kiedy sądzisz, że nikt nie patrzy. Nigdy wcześniej cię takiej nie widziałem.

—Co... no... o czym ty mówisz, Carl?

Wschód słońca był już kilka godzin wcześniej, ale miała wrażenie, że za chwilę sięgną po pistolety. Próbowwała się zorientować, co on wie, a co chce wyczytać z jej twarzy. Głęboko nabrał tchu.

—Palce u nóg zamieniły ci się w szkło.

Zachłysnęła się z zaskoczenia, czuła, jak wzbiera w niej gniew. Stan stóp od miesięcy był jej ściśle strzeżoną tajemnicą.

—Podglądałeś mnie? Wśliznąłeś się w nocy do mojego pokoju?

Lekceważąco machnął ręką.

—Naprawdę uważasz mnie za takiego marnego człowieka, Ido? Wczoraj rozmawiałem z Midasem Crookiem.

Nie była w stanie opanować dłoni, nawet gdy zacisnęła je w pięści.

—Powiedział ci?

—Tak. I może wyniknie z tego coś dobrego. W Engham mieszka moja przyjaciółka. Parę lat temu zajmowała się... niezwykłym

przypadkiem. Wczoraj ją odwiedziłem, obiecała, że zrobi wszystko, żeby ci pomóc. Mogę cię do niej zawieźć.

Rąbnęła pięściami o stół.

—Zdażyłeś już komuś o tym powiedzieć?

Uniósł oczy.

—Ido... tę propozycję należy traktować bardzo poważnie.

—Przemyślę to.

—Przemyśl. Byle szybko. Być może zostało ci niewiele czasu. Z pewnością za mało, żeby tracić go na polowanie na ekscentryków i zadawanie się z chłopakami, co mają za długi język. Kiedy odwiedziłem Midasa, sam mi wyznał, że nie jest gotowy na romans.

—Tak powiedział?

—Tak! I szczerze, Ido, nie potrzeba psychologa, żeby to zauważyć. Jeśli ty... — Przerwał.

Zakryła twarz rękami. Płakała w dłonie. Po minucie wykuśtykała z kuchni, żeby zrobić sobie kąpiel.

Carl wstał i wyszedł na dwór. Ciśniej owinał szyję szalikiem. W ciemnościach nie było widać lasu, ale śnieg pokrywający pola emanował słabą niebieską poświatą. Carl spojrzał na dach, dachówki wystawały spod śnieżnej czapy jak niebieskie łaty. W oknie łazienki zapaliło się światło, zobaczył sylwetkę Idy zaciągającej żaluzję.

W kieszeni został mu tylko jeden papieros, zapalił i zaciągał się bardzo powoli. Charles MacLaird nie poinformował go o raku Freyi. Carl nie miał pojęcia, co by zrobił z tą wiedzą, ale, do jasnej cholery, coś by zrobił. A teraz zrobi coś z Idą.

**KIEDY BYŁA DZIEWCZYNKĄ**, mama przyniosła jej szczeniaka, wbrew woli taty. Taki roztrzepany spaniel. Mama, widząc, jak piesek marszczy nos na jej widok, wybuchła śmiechem i od razu się w nim zakochała. Nazywała go Pączek.

Pączek rósł po kawałku. Najpierw ogon wydłużył mu się tak, że energiczne machanie nim zbijało go z nóg. Potem urosły mu nogi i zaczął biegać tak szybko, że aż sam się dziwił. Wyciągali go skowyczącego z dziury w jezdni albo z rowu. Z kolei wyrosnięte uszy zasłaniały mu oczy i psisko męczyło się odrzucaniem ich z pyska.

Podczas nieobecności Idy z Pączkiem chadzał tata. Początkowo nie chciał psa ze względu na wydatki, ale potem dokładnie przeczytał etykiety na puszkach i kupował tylko najbardziej pożywne jedzenie. Kiedy z Pączka zrobiła się dysząca bestia, która obwąchiwała zadki innych psów, mama przestała się nim interesować. Pies dostał gorączki, więc tata poszedł z nim do weterynarza, zaczął go niańczyć, dawać mu plastikowe kości, z wzięcia na homary zrobił legowisko.

Pewnego dnia trzynastoletnia Ida wyszła z Pączkiem na spacer — jak to robiła setki razy — na ścieżkę wzdłuż brzegu, tam gdzie szczyty urwisk są zwietrzałe. Długie szczeliny w ziemi obnażały sieć krzemienych czeluści schodzących do morza w miejscu, gdzie woda wrzynała się w ląd. Czasem leżała z głową nad przepaścią, z włosami zwisającymi w otchłań i wsłuchiwała się w morze szepczące jej imię.

Tamtego popołudnia, spacerując z Pączkiem, odkryła nowiutką przepaść, która przerzynała ścieżkę jak nacięcie na sznurze. Mogła cofnąć się trochę w głąb lądu, przeskoczyć płot i pójść dalej. Powinna zadzwonić do straży przybrzeżnej, żeby zamknęła ścieżkę. Tymczasem postanowiła przeskoczyć szczelinę. Odeszła, żeby nabrać rozpędu, odwróciła się i pognęła przed siebie. Długi wysoki sus wyniósł ją w powietrze. Przez moment czuła zło emanujące z morza w głębi, pod klifem. Wylądowała bezpiecznie po przeciwnej stronie, jej śmiech odbijał się słabym echem w szczelinie.

Pączek, zawsze chętny do zabawy, z ujadaniem pognął za Idą. Skok był za krótki. Pies drapał pazurami o ziemię po drugiej stronie szczeliny, potem zsunął się w przepaść. Za późno rzuciła się na skraj urwiska. Nie widziała Pączka. Został tylko skowyt. Ujadowanie mogło dochodzić z którejkolwiek szczytów prowadzącej w dół. Potem słychać było szamotaninę, skomlenie, syk morza, szczeknięcie — z ziemi wyszła dżdżownica i popęzła w stronę dźwięku — chluśnięcie niewidocznej fali, znowu ujadanie, podmuch słonego powietrza, zimnego jak ściana jaskini.

Kiedy wróciła do domu, makijaż nastolatki spływał jej po policzkach. Mama leżała w ogródku, w hamaku i czytała poezje. Natychmiast się zerwała, żeby objąć zrozpaczoną córkę, ale Ida wywinęła się, żeby wyjaśnić, co się stało.

—Spokojnie, spokojnie, Ido. Jego siły życiowe wróciły do natury. Z tym jest tak jak z nirwaną, o której ci opowiadałam. Taka kolej rzeczy. Proch do prochu. Na swój sposób możemy się z tego cieszyć.

Ida, łkając, wbiegła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi. Tata wyszedł do holu i posadził ją na pierwszym stopniu schodów. Odtrąciła jego rękę i łamiącym się głosem zrelacjonowała całe zajście.

—Cśś — mruknął. — Cśś. Bóg w niebie zna czas i miejsce wszelkiego stworzenia. Może trudno to zrozumieć... Ale kiedy On wzywa do siebie duszę... Bądź pewna, że ma przygotowane miejsce w swoim królestwie.

Poczucie zdrady objawiło się w postaci krótkiego, ostrego wdechu. Wy-rwała się i, dudniąc nogami, pobiegła po schodach na górę. W połowie ko-rytarza Carl Maulsen wyszedł z łazienki, zapiął rozporek, za nim rozległ się plusk spuszczonej wody.

Poprzedniego wieczoru przyjechał z niezapowiedzianą wizytą. Ponie-waż przemierzył kawał drogi, mama nalegała, żeby przenocował w pokoju gościnnym. Tata nic nie powiedział i wcześniej poszedł do łóżka. Ida nie mogła zasnąć. Po cichu zeszła ze schodów i przez zamknięte drzwi zaczęła się przysłuchiwać rozmowie Carla i mamy. Mówili o miejscach, w których byli. O obcych krajach, o nocach przespanych na mroźnych przestworach pustyni i dniach spędzonych na nurkowaniu wśród ruin zatopionych miast obrośniętych pąklami.

Na półpiętrze znów wyrzuciła z siebie całą historię, dodając epilog, jak rodzice próbowali ją pocieszyć. Wysłuchał jej uważnie i oparł się o ścianę, zaplatając rękę na piersi.

—Jak myślisz, co się stało? — zapytał.

—Nie wiem. — Zaczęła płakać.

—Powiem ci. Spadał długo. Prawdopodobnie połamał sobie kości. Mu-siał bardzo cierpieć. Potem zabrało go morze. Jeżeli miał szczęście, zmyło

go szybko i cisnęło o skały. Bardziej prawdopodobne, że utonął podczas wolnego przypływu, w egipskich ciemnościach. Teraz jego ciało albo jest tam zaklinowane na dole, albo już spłynęło na dno morza z prądami oceanicznymi i obgryzają je padlinożerne ryby. A może rekiny rozdarły je na kawałki.

—Co dalej? — wydusiła z siebie.

Wzruszył ramionami.

—Część zgnije, ciało się rozpadnie i rozpuści w wodzie. Z kości zrobi się piasek.

—Ale jego... duch?

Znowu wzruszył ramionami.

—Przykro mi, Ido. Nic na ten temat nie wiemy. Cokolwiek bym powiedział, to będzie fikcja. Może jego czaszka posłuży krabom jako schronienie przed drapieżnikami.

Rzuciła się przed siebie i objęła go mocno, przyciskając twarz do jego koszuli i twardego brzucha.

**TERAZ WYCHODZĄC Z ŁAZIENKI CARLA**, Ida patrzyła, jak niebieski poranek niechętnie zamienia się w dzień. Przyrównywała jego obojętność wtedy do tego, co powiedział teraz.

Otworzyła okno, żeby wyleciała para. Ruch przestraszył sowę, która poderwała się z drzewa, zrobiła krąg i wróciła cicho na gałąź. Ida usiadła na klapie sedesu, żeby obeschnąć. Pomyślała o Midasie, który chciał z nią obserwować sowy. W przekonaniu Carla właśnie na takie rzeczy nie miała czasu. Ale była wściekła, że Midas powiedział Carlowi o jej stopach.

Niech wraca do tego koszmarnego aparatu, który mu zwisa z szyi i przygina go do ziemi jak staruszka. Tylko że... choćby Midas był szary jak jego krajobrazy, to nie przypominała sobie, żeby którykolwiek facet pojawiał się w jej myślach tyle razy w ciągu tych ostatnich paru dni. Nie była pewna, czy ma ochotę przyjąć radę Carla, jeśli miałyby to oznaczać, że straci jedyną bliską osobę na St. Hauda's Land.



W łazience, na czterech nóżkach w formie lwich łap stała staroświecka wanna. Przyglądając się własnym stopom, Ida zobaczyła straszne podobieństwo w dekoracyjnej elegancji. Mogła wyobrazić sobie te kocie łapy stąpające po dalekiej pustyni i dostrzec w ich ołowianych pazurach więcej życia niż we własnych palcach u stóp. Przyglądała się po kolei wszystkim świetlistym szklanym punktom, potem ich kondensacji powoli unoszącej się znad lśniącej powierzchni. Starła się za często nie oglądać ich w ten sposób, bo za każdym razem wyglądały gorzej. Odkąd ostatni raz je widziała, szklistość pogłębiła się zauważalnie. Wyglądały jak miraż na posadzce łazienki. Lewy mały palec mrugał w promieniach świtu wpadających przez okno. Śródstopia, stwardniałe w przedniej części, były tak precyzyjnie wyostrzone, jak końcówka gęsiego pióra. Wydawały się o kilka milimetrów krótsze niż poprzednio. Skóra wokół pięty zrobiła się gumowa i biała, przygotowana do transformacji. Ida pospiesznie wytarła stopy ręcznikiem i szybko naciągnęła pierwszą parę skarpet. Nie miało znaczenia, czy palce są nadal mokre. Skarpetki wciągną wilgoć, a ona i tak nie poczuje, że nie są suche jak pieprz.

**ŚNIEG Z DESZCZEM PADAŁ NA ETTINSFORD BIAŁYMI STRZAŁAMI.** Na High Street, gdzie Midas czekał w samochodzie na zielone światło, podstępny wiatr kradł przechodniom parasole i zwiewał kaptury. Śnieg z deszczem niespodziewanie zmieniał kierunki, to chłostał samochód z lewej, to dźgał ostro z prawej. Midas widział rozpacz na twarzy młodej kobiety, która przesuwiała parasolkę raz w jedną, raz w drugą stronę, używając jej jak tarczy.

Zapaliło się zielone. Ruszył. Jechał w dół wzgórza, obok starego kościoła, Catherine's, parku nad zamarzną cięśniną. Przez most, za rogatki Ettinsford. Na drugim brzegu cięsniny stał niedokończony dom. Odkąd Midas pamiętał, budowę dociągnięto do połowy. Widział, jak obiecujące mury z czerwonych cegieł zmieniają się w krąg gruzu. Nie wiedział, dlaczego przerwano budowę, ale na pewno nie chciałby mieszkać pod gołym niebem.

Sklepienie z koron drzew w lesie na Gurm przypominało Midasowi martwego żuka, którego rano znalazł zwiniętego na progu. Nieskończone rzędy gałęzi zgiętych pod różnymi kątami były jak liczne nogi chrząszcza. Stęsknione za światłem krzewy poszycia miały cienkie liście, żyłkowane jak skrzydła żuka.

Wtedy go znalazł. Domek z drzwiami zielonymi jak traszka, z podkową wiszącą nad skrzynką na listy. Drzewa rzedniały, ustępowały miejsca polanie przed domem i ogródkiem na tyłach, przysypanym śniegiem.

Otworzyła drzwi, zanim do nich dotarł. Stała ze skrzyżowanymi rękami, oparta o ścianę.

—Czy, hm, wejdziemy? — zapytał.

Pokręciła głową.

—Och. Carl jest w domu?

—Nie, Midasie, pojechał do Glamsgallow, do pracy.

—Więc...

—Nie wejdziemy do środka, bo jesteś w stu procentach niemile widzianym gościem.

Zrobił krok do tyłu, podrapał się w głowę.

—Nie udawaj takiego niewiniątka, Midasie. Powiedziałeś Carlowi o moich stopach.

W jej głosie była kontrolowane oburzenie. Przestraszył się. Miał ochotę pobiec do samochodu i szybko odjechać. Mrugnięciem stracił śnieżynkę z rzes.

—Hm, Ido, ja... on przyszedł do mnie, do mieszkania i zobaczył zdjęcie. Ja mu nie powiedziałem.

—Powiesiłeś tę pieprzoną fotografię, żeby każdy mógł ją zobaczyć? Jezu Chryste, Midasie, potrafisz dotrzymać tajemnicy jak cholera. Myślałam, że usunąłeś zdjęcia.

—Mnie... nikt nie odwiedza. Zazwyczaj. Hm... — Wykręcał sobie rękę.

—To żalosne — mruknęła i zatrzasnęła drzwi.

Wiatr szarpał go za włosy, ciskał śniegiem w policzki.

W domu Ida oparła się plecami o drzwi.

Pomyślał, że ona ma rację, powinien wykasować to zdjęcie razem z innymi. Jednak uważał, że częściowo sam jest ofiarą, że Carlowi udało się go oszukać.

Czuła, jak gniew z niej uchodzi, zwątpiła, że chciał nadużyć jej zaufania.

A on nie zdążył jej powiedzieć, że znalazł Henry'ego Fuwę. Znowu zapukał do drzwi. Miał nadzieję, że Ida otworzy i będzie mógł przynajmniej dać jej namiary na bagna.

Mało brakowało, a otworzyłyby. Wątpiła, żeby Midas wiedział, jak bardzo ją uraził. Ale nie otworzyła.

Powlókł się do samochodu.

Uznała, że gniew nie ma sensu, skoro był dla niej prawie jak przyjaciel, jedyny, jakiego miała na St. Hauda's Land. Otworzyła drzwi. Smugi śniegu pokryły ogród. Midasa i samochodu nie było.

TLR

**MIDAS ZMYWAŁ z ZAMKNIĘTYMI O CZAMI.** Często tak było najlepiej, myć noże i kubki do kawy, kierując się dotykiem. Wydawało mu się dziwne, że wśród nieprzyjemnych wrażeń, jakie pozostawił po sobie jego ojciec, najbardziej żywe było wspomnienie zmywającego mężczyzny. Właśnie dlatego zmywał po omacku. Jego własne ręce zanurzające się w wodzie, ślady bąbelków na skórze, palce purpurowe od gorąca, niezamierzony manieryzm, z jakim wyjmował naczynie ze zlewu i podnosił je, żeby spłynęła woda — wszystko to wyciągało na wierzch wspomnienia. Pomyje były szklaną kulą dającą dostęp do dzieciństwa.

We wspomnieniach Midas był taki mały, że mógł podglądać przez dziurkę od klucza, nie przykucając. Patrzył, jak ojciec zmywa. Recytował pod nosem coś w martwym języku, dopóki do kuchni nie weszła chyłkiem matka. Koniuszkami palców dotknęła jego pleców tuż nad lędźwiami. Midas patrzył, jak dotknięcie wlewa się w ojca, niczym wosk w formę. Talerz wpadł z powrotem do zlewu. Plecy się wyprostowały, kolana zeszywniały. Matka odwróciła go, piana kapała mu z rąk, plamiąc posadzkę. Wytarła jego dłonie o swoją sukienkę, potem rozłożyła je na boki i położyła sobie na biodrach, mocno przyciskając się do niego ciałem. Ojcu drżały usta, patrzył nad jej ramieniem.

— Wo... wo... — jąkał się przez chwilę. — Woda do zmywania wystygnie, kochanie.

Zdjęła jego ręce i się odsunęła. Midas schował się, kiedy wybiegła z kuchni i ruszyła schodami na górę. Potem wszedł i stanął przy ojcu, który znów wyjął talerz, popatrzył, jak woda omywa porcelanę półkolami, i postawił na suszarce, żeby popękały gorące bąbelki.

—Midasie... — Zanurzył kolejny talerz.

—Tak?

—Czy kiedykolwiek czułeś... Nie, podam ci przykład. W szkole, kiedy dobrze ci idzie na lekcji, czujesz się podekscytowany, prawda?

—Co to znaczy „podekscytowany”?

—Jest ci dobrze, naprawdę dobrze. Co czujesz, Midasie? Na przykład, kiedy świetnie radzisz sobie w szkole?

—Hm... jestem zadowolony? Dumny?

Ojciec miał zadumany wyraz twarzy.

—A nie czujesz się rozczarowany?

—Co to znaczy?

—Coś przeciwnego do podekscytowania.

—Jeszcze raz, co to „podekscytowany”?

—Dobrze się czujesz. A raczej, bardzo dobrze. Możesz czuć to lub coś innego, prawda? Do tego zmierzam. Nawet się nie zastanawiasz ... Dokąd idą uczucia?

**KIEDY MIDAS ZMYWAŁ NACZYNIA**, Ida siedziała skulona pośrodku trawnika, tyłem do domu. Las zaczynał się raptownie u szczytu zbocza, tam gdzie kończył się ogród. Carl nie miał grządek z kwiatami, przystrzyżonych krzewów, tylko trawnik jak polana. Teraz trawa ginęła pod śnieżną peleryną. Kiedy, niosąc krzesło, Ida z mozołem szła po śniegu o szczydle, trzeszczał jak drewniana podłoga. Był równie sztywny jak reszta St. Hauda's Land. Gałęzie niezgrabnie gięły się na wietrze, kruche liście łamały się jak stary pergamin. Nawet sokół, którego obserwowała, leciał bez wdzięku, mechanicznie uderzając skrzydłami. Jakby te wyspy wszystko niszczyły, pozbawiały żywotności.

Właśnie tak na nią działały.

Dobrze było wyjść na dwór. Czowała chłód w ciele, a nie w sercu. Podniosła do ust kubek od termosu z gorącą zupą pomidorową, cieszyła ją kwaśna para wypełniająca nozdrza. Włożyła szkarłatne, wełniane mitenki i szalik, żeby zwalczyć czernie i biele wyspy. Ale takie były dzieje tej ziemi i jej ludu. Wszystko sztuczne i monochromatyczne, jak dekoracje i gwiazdorzy w telewizji, zanim pojawił się tam kolor. Weźmy Midasa: co sprawiało, że zachowywał się tak sztywno? Wiek usztywnił jej mamę. Religia zrobiła to z ojcem. Pamiętała, że tylko raz widziała go płaczącego, w noc, kiedy ich stosunki płynnie przeszły od relacji ojciec-córka do relacji między uprzejmymi domownikami. Przyłapał ją w łóżku z Josiahem, studentem, który

przyjechał z Afryki Południowej na wymianę i przez miesiąc mieszkał w ich domu. Przestał być lokatorem natychmiast po tym incydencie. Ale płacz to wydarzenie o wieczór wcześniejsze, kiedy ojciec, który tygodniami, cały w nerwach, czekał na przyjazd Josiaha, próbował odezwać się do niego w afrikaans. Uczył się afrikaans przez trzy lata i nie miała powodów, żeby nie wierzyć w jego postępy. Ale kiedy odchrząknął przy obiedzie, żeby odezwać się do Josiaha, spotkał się z pustym wzrokiem. Przyjął to z pełnym gracji rumieńcem, ale później, kiedy go podglądała — myślał, że jest sam, że nikt go nie widzi w ogrodzie, między zakurzonymi dmuchawcami — zobaczyła, że płacze. Łzy spływały jak wijący się padalec, a on trzymał przy sercu na wpół zdmuchniętego dmuchawca. Była w nim sztywność taka jak w Midasie.

W nagłym przypiływie gniewu chlusnęła zupą pomidorową na ogród. Patrzyła, jak pomarańczowy łuk wsiąka w śnieg, niczym zasklepiająca się oparzelina. Znowu przeblýsk wspomnienia o tacie. Jego poorana bruzdami twarz robi się dziecinnie strachliwa, kiedy przyjmuje komunię. Znowu on, modli się, z płamą po winie mszalnym na dolnej wardze, raz po raz robi znak krzyża. Kiedy otwiera oczy, pierwszą rzeczą, na jaką trafia jego załzawiony wzrok, jest ona.

Midas miał nadzieję, że jego ojciec jest w piekle. Opisał jego charakter i opowiedział wspomnienia z dzieciństwa. Z tego, co usłyszała, wyniosła jasne wrażenie, że Midas Crook starszy był mściwy, kapryśny, lubił manipulować ludźmi. Wyobrażała go sobie jak jakiegoś złośliwego skrzata, a dom dzieciństwa Midasa jak nawiedzaną przez burze jaskinię w górach, taką w jakiej z matką schroniła się, kiedy podczas podróży na Bliski Wschód rozpętała się burza piaskowa. Mimo to w jego opowieściach było coś bardzo bliskiego jej sercu. Dziwne, ale wyobrażała sobie, że więcej wie o Midasie niż on sam. Wątpiła jednak, czy kiedykolwiek zdoła zrozumieć swojego ojca, chociaż wydawał się mniej okrutny niż pan Crook.

Nie miała już zupy, żeby się ogrzać, i czując, że śnieżna pogoda zaczyna kąsać — przyszła jej na myśl gorąca burza piaskowa, która wtłaczała się do jaskini, rozwiewając końce jej kolorowej chusty — zaczęła mozolny odwrót do zacisza domku Carla.

**NA KOŃCU ULICY**, wzdłuż której stały domy jednorodzinne pomalowane jaskrawą niebieską farbą, mieściła się biblioteka publiczna Ettin-



sford. W odróżnieniu od małych willi otynkowane ściany małej biblioteki uginały się pod własnym ciężarem. Wypaczone ramy okienne wyglądały, jakby zrobiono je z drewna wyrzuconego na brzeg przez morze. Szyby oblepiały czarny kurz. Był pochmurny wieczór i okna rzucały pomarańczowe projekcje na wilgotne chodniki. Mewy kłóciły się, przycupnięte w rzędach wzdłuż rynsztoków, skrzeczały na Idę, kiedy z trudem wchodziła po stopniach do drzwi wejściowych. Trzymając się śliskiej poręczy, cały ciężar ciała oparła na szczudle.

Zapach w bibliotece budził wspomnienie klasy w jej szkole: kreda, środki dezynfekcyjne i coś słodkiego jak guma balonowa. Półki na książki były chromowane, ściany beżowe i niczym niepryozdobione, nie licząc kącika dla dzieci, gdzie leżała sterta poplamionych woreczków do gimnastyki wypełnionych styropianem. Tam na ścianie widniały rysunki przedstawiające bajkowe postaci w jaskrawych ubraniach, z niezdarnymi dłońmi, niepasującymi do reszty ciała.

Podeszła do bibliotekarza, mężczyzny w kolorowej koszuli i modnym krawacie. Miał rumiany, podwójny podbródek i przedziałek na blond włosach. Kiedy zapytała o archiwum z gazetami, nie odpowiedział, tylko ze znudzoną i obrażoną miną leniwie podniósł rękę, żeby pokazać.

Przeszukanie małego archiwum nie powinno zabrać dużo czasu. Carl podał jej dokładną, według niego, datę samobójstwa. Niestety, wydania lokalnych gazet były nieuporządkowane, a systematyzowano je z taką samą ospałością, jaką popisał się bibliotekarz. Ida nie miała wyjścia, musiała od nowa poukładać wydania we właściwej kolejności. Najpierw od sierpnia do października. Kiedy brała gazetę z końca września — to była za późna data, według szacunków Carla — na pierwszej stronie zobaczyła znajome zdjęcie.

Ta sama fotografia, którą Carl trzymał w ramce, w domu. Towarzyszący zdjęciu artykuł dotyczył wyłącznie ojca Midasa. Tytuł głosił: „Profesor samobójca ekshumowany przez wandali”. Odłożyła czasopismo i zakryła ręką usta. Grób, pisano, został rozkopany, a trumna naruszona. Niecierpliwie przeszukiwała pozostałe wrześniowe egzemplarze i ponownie przejrzała wydania październikowe. W kilku kolejnych artykułach informowano, że nie ma postępów w śledztwie. Potem sprawa się urywała. Ida przejrzała wydania od listopada, ale doszła do wniosku, że historia mo-

gła wrócić na łamy w dowolnym dniu od daty zdarzenia. Prośenie bibliotekarza o pomoc z pewnością nic by nie dało, więc postanowiła zadzwonić do Carla. Wtedy uświadomiła sobie, że on na pewno o tym wiedział.

Chętnie podzielił się informacjami o rozpadzie rodziny Crooków, ale najwyraźniej postanowił nie wspominać o dramatycznym wydarzeniu na cmentarzu.

Odłożyła czasopisma na półki i po cichu wyszła z biblioteki. Była tylko jedna osoba, którą mogła bez problemów o to zapytać.

**OJCIEC I IMIENNIK TEJ OSOBY**, ten którego historia dotyczyła, wiele lat wcześniej siedział przy dębowym biurku, z głową opartą o porysowany blat pachnący atramentem i strużynami ołówków.

Po dłuższej chwili wyprostował się z wysiłkiem, westchnął, sięgnął po czystą kartkę papieru w linie i wygładził ją na biurku. Odkręcił skuwkę wiecznego pióra, przyłożył je prostopadle do kartki i zaczął pisać.

Często porównywał swoje pisanie do spienionej wody. Wystarczyło, żeby wskoczył, a prądy porywały go z sobą, rzucały nim w różne strony, nie zważając na jego wolę. Kiedy pisał, słowa wypływały z mięśni dłoni, z samego pióra, ze zgiętego stawu łokciowego, z drapania ostrza stalówki po papierze, a przede wszystkim z jakiegoś nadrzędnego impulsu wychodzącego z wnętrzości. Na pewno nie z umysłu. I, Boże, cóż to za błogosławiona ulga, zatracić swoje ciężkie myśli i niepokoje w wybuchu obrazów i symboli. Był, po pierwsze i najważniejsze, człowiekiem słów; dopiero po drugie, człowiekiem z krwi i kości. Rzeczywiście — masował żebra po lewej stronie, rozpraszając głęboko umiejscowione pieczenie wolnymi, okrężnymi ruchami — ciało zawsze go zawodziło. Jeśli chodzi o wyczyny wymagające kondycji fizycznej, zawsze był gorszy, czy to podczas zawodów w skokach wzdłuż znaków wymalowanych na trawie w czasach szkolnych, czy to kiedy rodził się syn, a on haniebnie zemdłał — walczył z omdleniem, ale przegrał, sufit zrobił się nieostry i pociemniał. Potem doszedł do siebie, usłyszał płacz noworodka i myślał, że to on sam płacze.

Potań obolałą klatkę piersiową, ostateczną porażkę swojego ciała. I pisał.

Po godzinie odłożył pióro. Palce drżały mu na papierach, wreszcie wyciągnął szarą kopertę, w której trzymał zdjęcia rentgenowskie.

Lekarz stwierdził, że między przeponą a sercem utworzyła się narośl, która rozwija się od lat. Podkreślał też gorliwie, że trudno tu o pewność, bo nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego.

Midas Crook ceremonialnie otworzył kopertę i wyciągnął pierwsze zdjęcie. Bania serca i centymetr jakiejś krystalicznej narośli. Wyglądało to jak plama na odbitce i czasem, opętany fanatyczną nadzieją, próbował zeskrobać skazę ze zdjęcia i przekonać wszystkich, że cała sprawa to głupi dowcip. Udowodnić, że wkrótce mu się poprawi i znowu wróci uczucie: podstawowe uczucie, dawno wyśmiane, a teraz utracone. Ze weźmie chłopca w ramiona i podniesie wysoko, zacznie się z nim kręcić w kółko, aż obaj upadną oszołomieni i będą się śmiać pod jasne niebiosy.

TLR

**MIDAS MIAŁ SZESNAŚCIE LAT**, kiedy jego ojciec, obracając w rękę czarną książkę w skórzanej oprawie, zapytał:

—Chcesz?

Midas powiedział, że chce, chociaż nie chciał.

Noc była parna, później miała się stać nocą znieawidzoną, powtarzaną w myślach, aż mógł ją oglądać jak w teatrze. Dramatyczna ironia retrospekcji sprawiała, że krzyczał na swoje młodsze ja, żeby zrozumiało sens, pojęło, co ojciec planuje. Szare chmury wisiały jak martwe płatki w pajęczynie. W oddali pulsowało światło latarni morskiej. Wszystko pokrywała mgielka księżycowego światła.

Ojciec pogłaskał okładkę i wręczył Midasowi oprawioną w skórę książkę.

—Mój pierwszy szkic. Rękopis. To doprawdy żalosne rozczulać się nad tym, ale... Opiekuj się tym. Nigdy nie zginaj grzbietu, zawsze używaj zakładek. Proszę, to dla ciebie. No dobrze, pomóż mi teraz załadować tamte rzeczy na łódź.

Razem przynosili pudła nad niską burtą łodzi. Większość wypełniały książki, papiery i broszury, które od lat wypełniały półki i zalegały podłogę gabinetu ojca. Po porządkach pokój opustoszał, a na biurku nic już nie leżało, zostało starannie oczyszczone ze śladów ołówka i plam od atramentu.

—Ostatnie — powiedział, kiedy razem dźwigali na łódź największe pudło.

Było oklejone taśmą i znacznie lżejsze, niż Midas się spodziewał. Wydawało mu się, że poczuł parafinę.

—Co w nim jest?

Ojciec unikał jego wzroku, patrzył na morze, równie spokojne jak niebo. Przyływ sprawił, że słabe fale docierały już do łodzi.

—Co jest w tym wielkim pudle?

Ojciec wzruszył ramionami.

—Śmieci. Nic.

—Ale...

—Materiały na rozpałkę, synu.

Midas ściągnął brwi. Lato było w pełni. Przypuszczał, że materiały na rozpałkę miały być przechowywane na potem, żeby ojciec mógł przebrnąć przez zimę.

Obaj spędzili kiedyś dzień na wysepce, na której ojciec kupił drewniany domek. Midas był tam wtedy, żeby pomóc zamienić go w pracownię, ale kiedy znosił podstawowe meble i ustawiał półki, ojciec tylko siedział na progu i patrzył na wodę, na rozpadliny w urwisku.

—Midasie, pomóż mi zepchnąć łódź.

Midas nie potrafił się powstrzymać i zerknął niepostrzeżenie na chude, białe stopy ojca. Tak niewiele widział jego ciała: ojciec zawsze nosił koszule z długim rękawem, z ciasnymi mankietami i kołnierzykiem zapiętym pod szyją. Nigdy nie odsłaniał kolan. Widok jego palców u nóg, długich jak u małpy, pokrytych cienkimi, czarnymi włoskami, ze starannie przyciętymi paznokciami, na cały dzień wypełnił go poczuciem zaskakującej zażyłości.

W łodzi było tyle książek i papierów, że niewiele brakowało, a nie zdołaliby jej zepchnąć, ale trochę dalej od brzegu poszło już łatwiej. Wkrótce stali w wodzie po pierś, a łódź kołysała się obok nich. Słońce zachodziło, morze zrobiło się zimniejsze. Midas żałował, że ojciec nie wybrał wysepki położonej bliżej falochronu. Nigdy nie zanurzał się tak głęboko w morzu jak tego dnia. Ogrom wodnego przestworu i jego ciężar przerażały go, ale niespotykana pewność siebie ojca łagodziła to uczucie. Ojciec głęboko nabrał tchu i machając nogami, chwycił za burtę, żeby się podciągnąć. Kiedy prawie już był na górze, rozluźnił chwyt i z krzykiem wpadł z powrotem do wody. Białe krople wystrzeliły w górę, kiedy się zanurzał. Midas rzucił się za nim, chwiejnie pokonując prąd.

Ojciec, prychając, wypłynął na powierzchnię, okulary zsunęły mu się do połowy nosa, mokre wąsy przylgnęły do warg. Znowu chwycił za burtę i stał przez chwilę, opierając o nią głowę. Ociekał morską wodą.

—Pomóż mi wejść, Midasie.

—Jak?

—Złącz dłonie. Podsadź mnie.

—A jak się pośliznę? Mogę utonąć.

—Nie utoniesz. Tu jest za płytko.

Midas, pokrzepiony, kiwnął głową i złączył dłonie. Ojciec patrzył gniewnie na wodę.

—Gdzie masz ręce? Nie widzę.

—Tuż przed sobą.

Uniósł nogę, stopa przecięła wodę jak biała ryba. Źle ocenił odległość i palcami stopy pchnął syna w pierś. Midasowi serce załomotało, kiedy palce przejechały mu po żebrach i trafiły na dłonie. Biała stopa odepchnęła się mocno od jego rąk. Zadrzał gwałtownie z zimna i podniecenia. Już myślał, że straci równowagę. Potem, rozpryskując wodę, ojciec wyskoczył i wgramolił się do łodzi. Po chwili wrzucił za burtę kawałek wodorostu. Roślina plasnęła o fale. Midas wyciągnął ramiona. Czuł, że woda z minuty na minutę robi się coraz chłodniejsza.

—Pomóż mi.

—Nie, nie. Wystarczy, że ja tu siedzę, łódź już jest za bardzo wyładowana. Mój Boże. Midasie, ty drżysz. Wracaj na plażę. Zapakowałem ci ręcznik i zmianę ubrania. Kluczyki są na desce rozdzielczej. Wiesz, jak się włącza ogrzewanie?

Midas kiwnął głową.

—Ale ja chcę popłynąć do domku razem z tobą!

Ojciec zdjął okulary, kciukami starł z nich wodę.

—Może innym razem. W tę noc chcę być sam, dziękuję ci, synu. Teraz wracaj na plażę, zanim całkiem zdrętwiejesz.

Midas niechętnie odwrócił się i zaczął brnąć z powrotem na brzeg. Wydawało się, że trwa to wieczność. Kiedy rozchlapując wodę, wszedł na piasek, z koszulą i spodniami przyklejonymi do wyziębionego ciała, ojciec zdążył już odpłynąć kawał drogi.

—Midasie! — zawołał w ciemności zmierzchu. — W porządku?

—Oczywiście! — odkrzyknął Midas, obejmując się ramionami. Próbował opanować szczykowanie zębami. Tam, w morzu, przez chwilę myślał, że udało mu się zadzierzgnąć więź z ojcem.

Łódź płynęła w stronę wysepki, blask wskazywał miejsce, w którym stał domek.

—Midasie! W porządku?!

Może nie usłyszał pierwszej odpowiedzi.

—W porządku! Nic mi nie jest!

Był w połowie drogi do samochodu, kiedy pierwszy jęzor żółtego ognia wystrzelił nad wodą. Odwrócił na pięcie i przerażony gwałtownie wciągnął powietrze. Łódź płonęła. Żołądek podszedł mu do gardła. Midas w panice popędził po piasku, rozchlapując wodę na mieliznach. Teraz już wszystko rozumiał. Ogień ułożył się w tańczącą łzę. Dym kłębił się w powietrzu.

—Ojczy! — ryknął, rzucając się przez wodę. Płomienie zadrżały i się rozdzieliły. Zobaczył, jak ojciec, żywa pochodnia, skacze do morza. Syk, który temu towarzyszył, przebił się przez szum fal.



TAMTEGO POPOŁUDNIA IDA PRZYJECHAŁA DO MIDASA TAKSÓWKĄ, zadzwoniła do drzwi. Zaskoczył go widok dziewczyny.

—Hej. Jeśli sądzisz, że jesteś mi winien przeprosiny... to ja sądzę, że też powinnam cię przeprosić.

—Hm, hm, znaczy się... Przepraszam.

—Spoko. — Uśmiechnęła się rozbrajająco. — No to zaprosisz mnie, czy wytniesz mi taki sam numer, jak ja tobie? Na dworze jest chłodno.

Pacnął się dłonią w czoło.

—Tak, oczywiście, ale ze mnie głupek.

Rozejrzała się po kuchni. Nie spodobały się jej ściany obwieszane zdjęciami.

—A więc to tak sobie mieszkasz — powiedziała.

—Hm, tak. Napijesz się, hm, kawy?

—Chętnie.

Usiadła, przyglądała się stłoczonym fotografiom. Zdała sobie sprawę, że Midas jest dobry w tym, co robi. Naprawdę utalentowany. Zawsze to wiedziała, mimo że do tej pory nie widziała jego zdjęć. Odzwierciedlały tę szczególną zdolność widzenia, która Idę najbardziej w nim pociągała. Dziwne, ale w jego obecności czuła się znacznie lepiej.

Roześmiała się, kiedy postawił przed nią kawę.

—Co?

—A to, że jest czarna jak grzech.

Podskoczył, podbiegł do zlewu, odlał troszeczkę, potem dolał do pełna gorącej wody i elegancko postawił przed Idą kubek. Roześmiała się na niezamierzony kelnerski ukłon, jakim ją obdarzył.

Uśmiechnął się zmieszany.

—Właśnie sobie przypomniałem. — Poszedł do kredensu i wrócił z talerzem babeczek z nadzieniem bakaliowym ozdobionych gwiazdkami z ciasta.

—Denver dla mnie upiekła. Możemy je zjeść.

Korzenne soki i kruche ciasto przywiodły jej na myśl cudowne święta Bożego Narodzenia sprzed lat, kiedy wybierała się na długie włości po ośnieżonych dolinach. Zimy, kiedy jeździła na nartach.

—Midasie, jeździłeś na nartach?

—Ja? Nie. I nigdy nie pływałem.

—Żartujesz.

Pokręcił głową.

—Nie umiem pływać. Kiedy byłem dzieckiem, miałem absolutny zakaz.

—Dlaczego?

—Ojciec uważał, że to niebezpieczne.

—Mógłbyś się nauczyć teraz.

Pokręcił głową.

—Nie lubię dużego cielska wody.

Wybuchła śmiechem.

—Jezu! Mieszkasz na najmniejszej wyspie.

Zaczerwienił się.

—No... To chyba głupie. Ale... tu chodzi o wagę. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie myśleć, ile waży ta cała woda. Być w niej, zanurzać się tam, gdzie nie ma tlenu.

Domyślała się, że za tym kryje się coś więcej.

—A pływanie łódką? Dajesz sobie z tym radę?

Nachmurzył się jeszcze bardziej.

—Ledwie znoszę pływanie promem na kontynent. Tylko jeśli siedzę w samym środku. Z mniejszymi statkami nie idzie mi tak dobrze.

—Kiedyś zabiorę cię na łódki. Pokażę ci, jakie to może być przyjemne. — Myślała o tym od dłuższego czasu, ale dopiero teraz zrozumiała, jakie to może być trudne. Chłopak, który nie umie pływać, i dziewczyna z martwym ciężarem zamiast stóp wyrzuceni na rozkołysany ocean. Domyślała się, że podobnie byłoby, gdyby pewnego dnia wsiedli do kolejki linowej szybującej na szczyt, przejęci grozą na widok ośnieżonych olbrzymów.

Zdjęcia na ścianie kuchni emanowały ciepłem, dodawały otuchy: dziwna, ale przytulna kryjówka Midasa. Ida wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby spędzała w tej świątyni poranki, w milczeniu pijąc z nim czarną kawę.

Midas dziobał resztki babeczki.

—Ido, muszę cię o coś zapytać.

—Śmiało.

—Chodzi o ciebie i o mnie.

Spięła się pełna nadziei.

—Czy mógłbym... hm... Czy moglibyśmy, ty i ja... hm, to znaczy, jeśli ci to nie przeszkadza... Czy mógłbym ci zrobić zdjęcia?

—Och, Midasie, myślałam, że zapytasz mnie o coś zupełnie innego. Nie wiem. Nie czuję się z tym dobrze. Teraz jestem taka wychudzona. Może jak wyzdrowieję.

Żałowała, że zapytał. Miała opory przed pozowaniem do zdjęć. Nie chciała dołączyć do upiornego chóru sfotografowanych.

—Przepraszam, Ido.

—W porządku. Przyszłam, żeby o tym z tobą porozmawiać. To przynajmniej oficjalny powód.

—Eee...?

Westchnęła.

TLR

—Zdrowie. Carl uważa, że zna pewną kobietę, która może mi pomóc. Mieszka na północnym wybrzeżu. Mamy tam pojechać. Ja i Carl. Na kilka dni, żeby zobaczyć, czy da się cokolwiek zrobić. Tak sobie myślałam, czy pojechałbyś razem ze mną? Z nami. Oczywiście muszę o tym porozmawiać z Carlem, ale jestem pewna, że znajoma Carla znajdzie jeszcze jedno miejsce w swoim domu. To Emiliana Stallows.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

—Pani Stallows? — Jej mąż był właścicielem większej części północnego wybrzeża, ale o jego żonie Midas niewiele wiedział. — Jak ona może ci pomóc?

—Carl mówił... że kiedyś był przypadek dziewczyny... podobny do mojego. Emiliana jej pomogła.

Tutaj, w ciepłe kuchni Midasa, trudno było przekazać historię, którą opowiedział Carl. Tylko zimne wnętrza buciorów przypominały Idzie, że to wszystko jest rzeczywiste. Wzruszyła ramionami i odłożyła to na później.

—Mogę mieć nadzieję, że Emiliana pomoże również mnie, skoro poszukiwania Henry'ego spełzły na niczym.

—Hm... dobrze. Chętnie pojedę, to znaczy, nie podoba mi się, że musimy tam jechać. Skoro jednak twierdzisz, że powinniśmy... Ale...

—Nie mów, że nie możesz. — Nagle rozpaczliwie zapragnęła, żeby jej towarzyszył. Podróż do Emiliany Stallows była dla niej jak wyjazd do hospicjum.

—Nie, na pewno pojedę. Na pewno. Tylko że... Znalazłem Henry'ego Fuwę. Wiem, gdzie mieszka. Ja... chyba nie jesteś na mnie zła?

Klasnęła w ręce.

—Midasi! To doskonale! Dlaczego miałabym się gniewać?

—Bo ja... Chociaż nie powiedziałem mu wprost, to pewnie się domyślił... co się dzieje z twoimi stopami. — Kurczowo chwycił się aparatu i już niemal zrobił zbolaną minę.

—Ależ Midasie, nie mogło być lepiej! Nie rozumiesz? Skoro Henry się domyślił, musi wiedzieć, co mi jest!

—Powiedział, że nic na to nie poradzi.

Zachmurzyła się.

—Pieprzyć to.

TLR

**W DOMKU HENRY'EGO FUWY ŚWIATŁA BYŁY WYŁĄCZONE.** Nikt nie odpowiadał, kiedy Ida zastukała do drzwi rączką szczudła. W ponurym nastroju wróciła do samochodu Midasa. Razem czekali na Fuwę przez nieznośną godzinę, aż wreszcie Ida machnęła ręką.

—Dosyć! Zabieramy się z tego głupiego bagna.

Jechali drogami przez moczary, to wjeżdżając w mętne kałuże, to z nich wyjeżdżając. Mocno nimi trzęsło na asfalcie rozprutym przez korzenie. W pewnej chwili Idzie wydało się, że zobaczyła stojącą na bagnach postać w płaszczu zapiętym pod szyję. Ale to tylko sitowie i rozkołysane trzciny. Pojechali dalej. Całą jesień padał gęsty śnieg z deszczem, dlatego jezioro zalało nisko położone tereny i dochodziło do skraju lasu. Drzewa wyrastały z wody jak zwoje morskich potworów, pokryte takimi samymi łuskowatymi liśćmi, które pływały po powierzchni rozlewiska i plamiły połacie zamrzniętego błota trzymającego w okowach sitowie. Lód polakierował kikuty drzew i resztki kory.

—Zatrzymaj się — poleciła stanowczo Ida, widząc, że jeden z kikutów się poruszył. To nie było złamane drzewo, ale mężczyzna w wodoodpornych spodniach i pelerynie: kaptur miał założony na głowę, rybacką siecią włóczył po wodzie. — Zostań tutaj.

Ostrożnie wysiadła i krzyknęła z drogi:

—Hej! Słyszysz?!

Mężczyzna aż podskoczył. Błysk okularów i broda wystająca spod kaptura — to Henry Fuwa.

—Ida MacLaird! — Pozdrowił ją niezgrabnym salutem.

—Pamiętasz mnie!

Rozchlapując wodę, ruszył do niej, uważając, żeby nie wysypać zawartości sieci. Złowił jakieś dwadzieścia krabów. Pancerze miały szare jak muszle ostryg, wymachiwały szczypcami.



Henry zobaczył samochód i Midasa za kierownicą.

—Twój przyjaciel zdążył mi już o tobie przypomnieć.

—Henry, właśnie byliśmy przy twoim domu. Miałam nadzieję, że się spotkamy.

Nadał nieufnie patrzył na samochód.

—Nie wiem, czy to dobry pomysł. A moje ciasne lokum nie wystarczy dla trojga.

Przyglądała mu się z rozczarowaniem. Czy to typowa dla wyspiarzy podejrzliwość, czy coś zaszło między nimi dwoma?

—Hm, Midas poczeka na zewnątrz.

—Ido — odezwał się cicho Henry. — Czy on nic ci nie powiedział?

—Co miał powiedzieć?

Henry ze złością popatrzył na Midasa.

—Może razem pojedziemy do mnie. Ty i ja. Zostawiłem w pobliżu samochód. Potem cię podrzucę tam, gdzie mieszkasz, a Midas, biedaczyna, nie będzie musiał czekać.

Henry podniósł z zachwytem wzrok. Niedaleko łabędź krzyknął basowo i wzleciał w powietrze. Uderzenia jego skrzydeł zakołysały liśćmi alg.

—Co miał mi powiedzieć Midas? — spytała Ida cichym głosem, ledwie słyszalnym na wietrze.

—To... to wymaga pewnego wyjaśnienia.

Wzruszyła ramionami i wróciła do samochodu.

—Z nim jestem bezpieczna — wyszeptała do Midasa. — Jedź i dobrze wykorzystaj popołudnie. Poszukaj mnie za parę godzin.

—Chcę pomóc...

—Już pomogłeś. Ale Henry woli porozmawiać tylko ze mną.

—Trochę się ścięliśmy.

—Tak myślałam.

—Powiedział, że nie może ci pomóc.

Skinęła głową.

—Jedź. Przyjdę do ciebie, kiedy skończymy.

Wyglądał na zmartwionego, ale zrobił tak, jak sobie życzyła.

—**ZAMIERZAŁEM JE UGOTOWAĆ** — powiedział Henry, wrzucając zła-  
pane kraby do kubła w bagażniku samochodu. — Mam też mnóstwo pu-  
szek z tuńczykiem, więc starczy dla nas dwojga. I anchois. Czekaj... ty nie  
jesteś...

—Wegetarianką? Nie. Kraby będą w sam raz.

Pojechali przez zalane wodą bagna. Przez całą drogę reflektory odbijały  
się w błyszczących kałużach.

—A więc od razu przechodzimy do rzeczy? — spytał Henry, zdejmując  
buty w korytarzu. Nie poprosił Idy, żeby zdjęła swoje, chociaż były ubło-  
cone. — Czy najpierw... pogawędzimy?

—Myślę, że najpierw pogawędzimy.

—Ido, to będzie trudne.

—Chciałam przeprosić. Za to, że obraziłam cię w pubie, w Gurmton.  
Nie mogłam cię wtedy znaleźć, ale teraz zdaję sobie sprawę... Te rzeczy, o  
których mi mówiłeś... Nie byłeś pijany, prawda?

Zamknął moczy.

—Dżin nie uderza mi tak szybko do głowy. Ale nawet, jeśli się wstawi-  
łem, to nie kłamałem. Powiedziałem ci o bydle ze skrzydłami ciem, kiedy  
zobaczyłaś tego biednego byczka. Chyba mówiłem też, że jedzą, srają i  
umierają jak wszystko, co żyje. Rozumiesz, tylko dlatego, że coś jest...  
dziwne, nie znaczy, że nie podlega ogólnym prawom.

Zadrzała.

—Dzieje się ze mną coś dziwnego.

—Tak. Midas zdradził mi tę tajemnicę.

Zapatrzyła się na przekrój meduzy wiszący w ramce na ścianie. Westchnęła.

—Jak się miewają byczki ze skrzydłami ciem?

—Hm... — zawahał się. — Wiesz, że po raz pierwszy w życiu zadano mi to pytanie? Czują się świetnie. — Oparł podbródek na rękę, zamyślił się i zaczął drapać po brodzie. — Czy, hm... chciałabyś je zobaczyć?

**OBROŚNIĘTE MCHEM DRZWI OTWORZYŁY SIĘ GWAŁTOWNIE.** Wprowadził ją do czegoś w rodzaju zbutwiałej śluzu. Z podniecenia głęboko zaczerpnął tchu, otwierając właściwą zagrodę.

Pośrodku pomieszczenia cicho mruczał piecyk opalany nawozem. Klatki dla ptaków i wypatroszone latarnie wszelkich rozmiarów zwisały z krokwi. Stado bydła ze skrzydłami ciem wywijało po zagrodzie ósemki, piko wało, skręcało pod ostrymi kątami, jak stado jaskółek jesienią. Zamazane zarysy wielu skrzydeł spowijały Idę i Henry'ego delikatnym blaskiem. Byczki i krówki podrzucały łby i wierzgały w locie. Niektóre większe byczki miały zagięte rogi i frunęły z opuszczonymi łbami, jakby szarżowały na miniaturowych matadorów. Ogony grubości nitek powiewały za nimi w podmuchach wzbudzanych lotem. Ida poczuła leciutki wiaterek na policzkach i mimowolnie roześmiała się z zachwytu.

Potem, w domu, Henry zrobił mnóstwo zamieszania, kiedy pomagał jej usadowić się w wygodnym fotelu.

—Mogę poczęstować cię herbatą? Niestety mam tylko zieloną.

—Byłaby to odświeżająca odmiana. U Midasa piję tylko kawę.

—Więc jesteś... z... chłopcem Crooków?

—Chłopiec Crooków? A któż to taki? Nie mów mi, że tak o nim myślisz.

W uśmiechu Henry'ego była odrobinka ukrytej wiedzy.

—Bez urazy. Nazwałem go tak tylko dla jasności, o kogo chodzi. To była tragedia.

—Mówisz o ojcu Midasa?

—I o tym, jak przyjęła to jego matka.

Popatrzyła na Henry'ego wilkiem.

—Nie rozumiem, dlaczego te sprawy miałyby rzutować na stosunek do Midasa. On jest wobec mnie taki słodki.

—Ale ty jesteś młoda, Ido. Musisz o tym pamiętać. Ludzie żyją według pewnych schematów, a na wyspach tym schematem jest popełnianie z pokolenia na pokolenie tych samych błędów.

Obruszyła się i skrzyżowała ramiona.

—To tylko dlatego, że tu mieszka mało ludzi. Brakuje im wyobraźni, żeby zobaczyć w Midasie zupełnie odrębnego człowieka. Zgrabnie zaszufadkowali go w miejscu zostawionym przez ojca.

—Otóż to. Trudno mi się z tobą nie zgodzić.

—A jednak nie chciałeś, żeby wszedł do twojego domu. Powiedział, że się ścieliście.

—A nie wyjaśnił dlaczego?

—Nie.

—Czy coś jeszcze... ci powiedział?

—Tylko to, że cię znalazł. Że rozmawialiście o jego matce. Że kiedyś ją znałeś.

—Ja... to znaczy... Ja... — Podrapał się po brodzie. — Powiedział, co mu pokazałem na bagnach?

—Nie. A co pokazałeś?

—Tylko... hm, to był jasny dzień... po prostu światło na rozlewisku.

Zamilkli na krótko. Wiedziała, że tam było coś więcej, ale postanowiła, że później dopyta Midasa.

—Zrobię herbatę — oznajmił, siląc się na uśmiech. Zostawił ją przy stole i wyszedł do kuchni..

Zalał wrzącą wodą liście herbaty. Wyjawienie Idzie, co leżało w mrocznej, bagiennej sadzawce, nic by nie dało. Midas pewnie też doszedł do tego wniosku. Biedna dziewczyna przyjechała tutaj, bo był dla niej ostatnią deską ratunku, a on nie wiedział, jak ją przekonać, że nie zdoła jej pomóc. Bez wątpienia źle rozegrał sprawę z Midasem. Patrzył, jak listki herbaty rozwijają się i pęcznieją w wodzie.

Ida, kulejąc, weszła do kuchni.

—Wybacz... — powiedział. — Obawiam się, że zaszło koszmarnie nieporozumienie. Nie czuję do Midasa niechęci ze względu na ojca. Chodzi o jego matkę... w tym... rzecz... Chcę być wobec ciebie szczery.

—Wspomniałeś o niej wcześniej.

—Tak. Pamiętaj, mówię ci o tym w największym zaufaniu.

Patrzył na parę unoszącą się znad rondelka. Ida dysponowała

niezwykłą mocą — przypomniał sobie, co poczuł, kiedy spotkali się po raz pierwszy, latem. Potrafiła rozłupywać skorupę i wdzierać się pod nią, dosięgać lepkiej, rozbełtanej substancji.

—Kochasz ją — stwierdziła.

Zwiesił głowę.

—Tak. I nie. Chyba już nie. — Liczył na to, że jego uczciwość po zwoli dziewczynie zaakceptować to, co jej powie na temat szkła.

—Miałeś z nią romans?

—Nie każdy potrafi mówić tak... śmiało, jak ty, Ido.

—Przepraszam. Myślałam, że chcesz o tym porozmawiać.

—Chciałem wyjaśnić... Midas pokazał mi drogę do Evaline. Al w charakterze monety przetargowej, żeby zmusić mnie do udzielenia ci pomocy. Zrozum, nie mogłem przyjąć jego propozycji nie tylko ze względu na Evaline... ona jest teraz trochę inna... ale dlatego, że nie mam z czym przystąpić do targu.

—Zamieniam się w szkło — wyszeptała.

Wytrzeł pot z czoła i ze stukiem postawił imbryk. W środku czuł takie gorąco, że na myśl o picciu herbaty mało nie zemdłał.

—Potrzebne mi jakieś szkło — oświadczył i zaraz zakrył usta zawstydzony. — Myślałem, oczywiście o... jakiejś szklance.

—W porządku. To jest wszędzie, prawda?

Wykonał niezręczny ukłon i poszedł do kredensu po butelkę dżinu. Nalał Idzie i sobie po jednym, herbatę zostawił w imbryku.

—Właściwie nie piję. Po alkoholu... wyczyniam różne rzeczy. Ale czasami... mam słabą wolę.

Skinęła głową.

—Jej mąż był przeszkodą nie do pokonania dla takich nadwrażliwych ludzi, jak ona i ja.

—On nie żyje od dziesięciu lat.

—Teraz to bez różnicy.

—To wielka różnica. Wyprowadźcie się. Oboje.

—I mam zostawić bydło?

—Więc machnij ręką na to, co ludzie pomyślą. Tutejsi nawet cię nie znają. Sprowadź ją do siebie.

Przygryzł wargę.

—Jakież to samolubne. Wybacz, Ido, że w ogóle poruszyłem ten temat.

—Nie bądź głupi. Jesteś taki samotny, że nawet tego nie zauważasz.

Pokręcił głową.

—Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

—Nie traktuj mnie jak smarkulę.

—Och... nie chciałem. Chodziło mi o to... już za późno dla mnie i dla Evaline.

Popatrzyła na swój dżin.

—Nigdy nie jest za późno.

Przyglądał się jej z uwagą, kiedy to mówiła.

—Widzisz, Ido... — odpowiedział ze smutkiem. — Sama jesteś zaskoczona zwątpieniem we własnym głosie. — Odstawił szklanę i wytarł ręce o nogawki. — Dziękuję ci za optymizm, ale było za późno na długo przed śmiercią Midasa Crooka. Pewnego dnia Evaline, którą znałem, po prostu... odeszła. Gdybym kiedyś bardziej się postarał, może by została. Ale kto wie, gdzie tamta kobieta jest teraz?

Zapadła cisza przerywana siorbaniem, kiedy popijali dżin.

—Henry, gdybym pokazała ci stopy, co byś powiedział? — spytała cicho.

Uniósł ręce.

—Nie chcę ich widzieć. Nie trzeba, Ido. Potrafię je sobie doskonale wyobrazić.

Skinęła głową.

—Jeśli chodzi o to, co można o nich powiedzieć... Dowiedziałaś się już ode mnie wszystkiego.

—Uważasz, że nie ma dla mnie nadziei. — Zrobiła długi wydech — No cóż. Wiedz, że mój przyjaciel, Carl, zabiera mnie do Enghem Stad. Mówi, że żona Hectora Stallowsa może mi pomóc.

Henry miał podejrzliwą minę.

—Może ugotujemy te kraby? — Zaczął podgrzewać wodę w wielkim zielonym garnku. Na blacie postawił kubek ze skorupiakami. Stukały kleszczami. — Posłuchaj, Ido... Po wizycie Midasa nie mogłem zasnąć. Miałem taką wielką nadzieję... tak bardzo chciałem ci pomóc.

Przygnębiona wzruszyła ramionami.

—To nie twoja wina. Nie czuję ich, Henry, tylko czasami martwe punkty w kostkach. Jeśli to, co sugerujesz, ma się zdarzyć, czy będę czuła, jak kawałek po kawałku umierają moja krew i moje ciało?

—Nie wiem.



—Czy to będzie bolało?

Zamieszał w kubie z krabami.

—Nie wiem.

—No to co powinnam robić do tego czasu? Przebyłam szmat drogi, żeby cię znaleźć.

—To zabrzmiało głupio, ale mogę ci coś poradzić.

—Mów.

—Rób swoje. Żyj po swojemu. I nie trać czasu na bzdury.

Przez ułamek sekundy wyglądała na rozgniewaną, ale powstrzymała złość.

—Miewałam dzikie noce. Balowałam. Robiłam wszystko, co wywołuje dreszcz emocji. To były głupstwa. Myślałam, że te mocne doznania zmienią moje życie. Przenikną mnie do głębi. Skakałam na bungee. I ze spadochronem. Ale to tylko adrenalina, w środku zostawałam ta sama ja.

—Nie chodziło mi o skoki ze spadochronem. O nic w tym stylu. — Westchnął. — Sam nigdy nie robiłem niczego ekstremalnego, Ido, więc mogę się tylko domyślać. Ale szukałem podniet na własny sposób. Otoczyłem się bydłem ze skrzydłami ciem. Kiedy po raz pierwszy natknąłem się na nie, wszystkie na mnie się rzuciły, tak brzęczały skrzydłami, że przez chwilę miałem ochotę unieść się w powietrze. Lepiej pamiętam ich gorący, piżmowy zapach niż uśmiech matki, ale widzisz... Tylko wtedy czułem, że żyję, tam w środku... Jakby to powiedzieć... — Poklepał się po piersi na wysokości przepony. — W sercu... kiedy spędzałem czas z Evaline Crook.

—Ostatnio... — Kraby piszczały we wrzącej wodzie. — Ostatnio z Midasem...

Henry nie zwracał uwagi na kraby. Oderwały się kleszcze, pływały, zataczając kręgi.

—Ostatnio z Midasem, czułam... Nie wiem, co czułam, ale to było inne.

—Właśnie.

Rozprostowała plecy.

—Tak czy inaczej, muszę się wybrać na spotkanie z Emilianą Stallows. To jedno mi zostało.

Nigdy nie mówił tak szczerze, ale był jej to winien.

—Ido, została ci tylko chwila. Może nawet mniej. To zależy od tego, kiedy twoje ciało przestanie sobie radzić z tym, co zamieniło się w szkło. To może się stać w parę sekund! Po prostu zapadniesz się w siebie.

Wargi jej drżały.

—Ile to jest chwila?

—Trudno powiedzieć.

—Ile, Henry? Przynajmniej to mi powiedz.

Pomyślał o szklanych zwłokach na bagnie. I o swojej hipotezie, że transformacja mogła nagle przyspieszyć i zamienić człowieka w szklany posąg, ale nie miał na to mocnych dowodów i nie chciał jej jeszcze bardziej niepokoić. Poszedł na kompromis.

—Miesiące — odparł. — Jeśli będziesz miała szczęście. Bardziej prawdopodobne, że tygodnie.

Usiadła na kuchennym krześle.

—Super — powiedziała. — To jak piorun z jasnego nieba.

—Nie chcę umniejszać znaczenia tego, co twój przyjaciel i Emiliana odkryli tam, w Enghem, ale cokolwiek by z tobą robili, to tylko... fałszywa obietnica.

Usiedli przy stole, żeby zjeść. Na blacie leżał nowy obrus w brązowe motyle. Henry podał kraby. Ida, jedząc, pomyślała, że smakują bagnem.

**W KOŃCU ZAMÓWIŁA TAKSÓWKĘ**, żeby wrócić do Ettinsford. Kiedy Henry protestował, że to on powinien ją podwieźć, tak jak obiecał, uprzejmie wskazała na jego pustą szklaneczkę dzinu.

W drodze powrotnej drzewa wyglądały jak pochylone siwe głowy starych kobiet. Śnieg leniwie padał na grzbiet kocura, który włókł wzdłuż drogi kosa. Taksówka sunęła Shale Lane, do miasta wjechała mostem nad zamarzną wodą. Ludzie brodzili ulicami w gumowcach, kaptury i para-

solki mieli białe od śniegu. Przed kościołem pod wezwaniem świętego Haudy ktoś zawiązał lilowy szalik wokół szyi patrona.

Taksówka wyrzuciła ją przed domem Midasa. Ida wlokła się ta wolno przez furtkę i podwórko, że jakieś roześmiane dziecko krzyknęło w przelocie: „Głowa do góry, babciu!”, ale zobaczyło jej młodą twarz i trochę się speszyło.

Midas zapytał, jak poszło z Henrym, ale nie miała ochoty o tym mówić.

—Nie powiedział niczego nowego, tak to ujmijmy. Chciałabym na chwilę zapomnieć o tym wszystkim. Moglibyśmy coś zrobić? Zabierz mnie gdzieś.

Więc zawiózł ją do Toalhem Head, wąwozu, gdzie cieśnina Ettinsford wychodziła na morze. Na urwisku, obok nieczynnej latarni mor

skiej, był punkt widokowy. Wiatr zdarł z niej farbę, ale tylko z jednej strony, i zastąpił ją białymi plamami solnego osadu. Padał śnieg, stali obok siebie na odległość wyciągniętej ręki, owinięci szalikami i skuleni z zimna. Na skałach urwiska, aż do poziomu morza, jak kregle w kregielni stały maskonury. Co jakiś czas krzyczały i kłapały dziobami.

Midas fantazjował, że razem z Idą patrzą na morze i widzą meduzy zamieniające się w żywe światło, ale tego popołudnia co innego pławiło się w wodzie. Góry lodowe wielkości kaplicy, skrzące się od śniegu, przyżegłowały na cieplejsze wody wypływające z wąwozu, żeby rozpaść się na sto białych kawałków.

—Wiesz, czego dowiedziałam się o twoim tacie? — zapytała.

—No czego?

—O jego grobie.

Milczał.

Patrzyła, jak góra lodowa pęka z trzaskiem, wpływając w prądy sączące się z wąwozu. Rozłupała się i rozpuściła jak bąbelki piany w zlewie.

—Nie chcesz mówić o tym, co się stało? Straszna historia, ale teraz chyba lepiej go rozumiem.

Midas otworzył usta, wypadło z nich suche chrypienie, przekształciło się w słowo.

—Rozumiesz?

—Tak. Twojego ojca.

—Dlaczego chcesz go zrozumieć?

—Pomyślałam, że to pozwoli mi lepiej zrozumieć e... — Za późno zmusiła się do milczenia.

—Sądziłaś, że jak lepiej poznasz jego, to lepiej poznasz i mnie? Przecież nigdy go nie spotkałaś i już ci się wydaje, że jestem taki jak on!

—Nie, Midasie, ale tak często o nim myślisz. Wydawało mi się, że... hm...

Kawały rozbitej góry lodowej wciśnięte przez prąd pod powierzchnię wypłynęły na wierzch na pełnym morzu. Ze wszystkich stron rzuciły się na nie fale. Naprawdę uważała, że rozumie ojca Midasa. Taka już była. Wczuwała się w sytuację mężczyzn z kompleksami, znajdowała dla nich usprawiedliwienia. Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie kompleksów Midasa.

—Przepraszam — powiedziała.

Pokręcił głową.

—Nie trzeba. Przebaczałaś mi już tyle razy, odkąd się spotkaliśmy. Roześmiała się.

—Aha! Wyrównaliśmy teraz rachunki?

—Nie, nie. Nie o to mi chodziło... O Boże.

—Midas, jest w porządku. Dobrze, że wyrównaliśmy rachunki.

—Dobrze. Akurat.

—Tak... — Głęboko zaczerpnęła powietrza. Patrzyła, jak daleko, w dole, maskonur skoczył do wody i natychmiast zaczął walczyć z prądem. — Więc teraz chcę cię poprosić o pewną przysługę. Powiedz, co Henry pokazał ci na bagnach? Obaj jesteście tacy tajemniczy, wykręcacie się od odpowiedzi.

Maskonur z trudem wylaźł z wody i z opuszczoną głową usadowił się na kamieniu, z którego skoczył.

Midas uniósł brwi i wydał policzki.

—Nie jestem pewien...

Uniosła oczy.

—No powiedz!

Wyrzucił ręce w powietrze.

—Szkłane ciało... Mężczyznę, który całkowicie zamienił się w szkło.

—Och...

Popatrzył na Idę. Była prawie taka biała jak lodowiec.

—Przepraszam — powiedział.

Otrząsnęła się. Był zdumiony, jak przyjęła tę chwilę grozy, kiedy dowiedziała się o szklanym ciecie, jak wzięła ją na swoje barki i jak sobie z nią poradziła. Podeszła do niego. Dzieląca ich odległość jakby skurczyła się o kilometr, każdy płatek śniegu spadający między nimi wydawał się wielki jak pióro. Od słonego powietrza Midas miał podrażnione wargi. Podeszła jeszcze bliżej, lekko rozchyliła usta.

Cofnął się o krok.

TLR

**BYŁ ODPLYW, GŁADKI PIASEK UPSTRZYŁY KAMYKI I MUSZLE.**

—No, to jesteśmy — powiedział ojciec Midasa, rzucając torbę na białą plażę. — I dzień mamy ładny.

Obaj cuchnęli kremem przeciwsłonecznym, ubrani byli jak członkowie jakiejś ortodoksyjnej sekty. Matka Midasa nosiła swoją starą, beżową letnią sukienkę. Ukucnęła, żeby rozłożyć wypłowiały ręcznik. Midas podwinął rękawy i rozpiął kilka guzików. Ojciec czuł się doskonale w nakrochmalonej koszuli włożonej w spodnie. Od jego butów odbijały się oślepiające blaski, imitacja milionowych rozbłysków na turkusowym morzu.

W niskich, rozpadających się klifach pełno było pęknięć i rozbrzmiewających echemi jaskiń.

—Nie wolno ci tam wchodzić.

Jaskinie wyglądały jak dziury po wybuchach w kredowym, fortecznym murze urwiska. Midasowi podobało się, że jest w nich tyle cienia.

—Ale ojcze...

—To zbyt niebezpieczne. Widzisz te kamienie wzdłuż całej plaży? To skały, które nagle i niespodziewanie oderwały się od klifu. Wystarczy echo, żeby spadły i rozbiły ci głowę.

Midas odwrócił się, splótł ramiona na piersi i spojrzał na morze.

—Mogę pochodzić w wodzie?

Ojciec pokręcił głową.

—Nie wolno zdejmować koszuli i spodni, bo słońce cię poparzy. Skóra się spiecze i poczerwienieje. I nie wolno ci zamoczyć ubrania, bo słona woda niszczy materiał. Twoja biedna matka nie nadaży z szyciem. Twoja biedna matka. Pomyśl o niej.

Midas popatrzył na matkę. Wyciągnęła się twarzą do dołu na ręczniku kąpielowym. Siwiejące włosy zakrywały jej twarz. Niedaleko od niej leżał



zdechły krab. Na wybielonym słońcem podbrzuszu miał skrzyżowane szcypce, w geście komicznej pobożności.

—A ta skała? Mogę tam wejść?

Ojciec Midasa podążył wzrokiem za palcem syna. Na lekko pofalowanej płyciźnie stał złom skalny wysoki jak latarnia. Ojciec przyglądał wąsy.

—Musisz mi dać słowo, słowo honoru, że nie wdrapiesz się na sam szczyt. I że będziesz bardzo, ale to bardzo ostrożny.

—Obiecuję.

Ojciec parsknął i rozwinął niebieski ręcznik plażowy. Strzepnął go i starannie rozłożył na piasku w pewnej odległości od żony. Midas wyjął z torby aparat, mały srebrny kompakt, który dostał na Boże Narodzenie. Wokół nadgarstka owinał uchwyt ze sznurka i zaczął rozwiązywać buty.

—Co ty robisz?

—Zdejmuję buty i skarpetki, żeby przejść przez wodę do tej skały.

Ojciec się roześmiał.

—Jeszcze nie. Najpierw musisz poczytać.

—Ale popatrz. — Midas z nieszczęśliwą miną pokazał na niebo.

Ojciec wyglądał na zakłopotanego.

—Na co mam popatrzeć?

—Na słońce. Stoi wysoko. Nad morzem.

Chciał wyjaśnić, że wkrótce zmieni się światło i nie chciałby tego przepuścić. Ale zdobył się tylko na to, żeby wskazać nabrzmiałe słońce.

Ojciec wyciągnął książki z torby i ułożył je na piasku. Tom za tomem, tom za tomem. Pierwszego dnia wakacji nad morzem, w okolicy Gurmton, spędzili cały ranek w księgarni. Ojciec przekartkował prawie wszystkie pozycje ze wszystkich półek i wybrał to, co nazwał najcelniejszymi lekturami.

Kiedy już ułożył na plaży swoje zakupy, zapytał:

—Co cię interesuje?

Midas rozpaczliwie pokazał na skałę. Marzył, żeby się na nią wspiąć. Dumna biała mewa usiadła na szczycie, patrzyła na wodę. Nagle poszybowała w stronę morza, na odległość dwóch uderzeń skrzydeł, i zanurkowała. Wynurzyła się w łuku kropelek.

—*Rusalki, syreny i koziorożce* to brzmi stosownie. — Ojciec odwrócił książkę i przeczytał tekst na okładce, z tyłu. — „Prowokujący do myślenia zbiór esejów analizujących fantazje i koszmary żeglarzy”. Hm, co o tym sądzisz?

Uniesione ramię Midasa opadło. Usiadł i zaczął zawiązywać sznurowadła.

—A może ta? Zapewne więcej w niej jest z bajki. *Pod jej brzuchem: psy!* To cię wciągnie, Midasie. „Ta wspaniała książka z dwunastoma kolorowymi tablicami prowadzi nas wzdłuż wybrzeży Grecji w poszukiwaniu mitycznej bestii Scylli, której nogi, jak wiadomo, czarownica Kirke zamieniła w psy”. W sam raz dla ciebie.

Midas usiadł i zaczął kartkować *Pod jej brzuchem: psy!* Czuł, że ojciec patrzy na niego z dumą. Przeleciał dedykację i strony ze spisem treści.

—Nie, nie, nie! — Ojciec pomachał rękami. — Nie zaczynaj od kolorowych tablic, zepsujesz sobie przyjemność. Obejrzysz dopiero, jak do nich doczytasz. Trzeba je kontemplować w zrozumiałym kontekście.

Midas wrócił do pierwszej strony, do ciężkiego wstępu. Gapił się na słowa, nie czytając, aż ojciec odwrócił wzrok i wyjął własną książkę, cegłę w twardej oprawie. Po dłuższej chwili Midas przerzucił stronę i zaczął się gapić na następną. Od czasu do czasu zerkał, czy ojciec już na dobre zatopił się w swojej lekturze. Wtedy zdjął buty i skarpetki, wstał i ukradkiem odpełził od niego, obok leżącej bezwładnie matki, dalej na plażę, aż do mielizny. Po drodze znalazł wspaniałą gałąź, zagiętą, bardzo długą. Niósł ją jak laskę podróżnika, robiąc za sobą linię na piasku. Brodził między falami, aż doszedł do skały. Chłodna, krystaliczna woda omywała mu stopy. Nastąpił na ostrą muszlę i musiał zdławić okrzyk bólu. Coś podobnego do włosów pogłaskało go po kostce. Spojrzał w dół — wokół łydek owinęły mu się pędy zielonych wodorostów. Zwisały, cięższe i bardziej śliskie, kiedy wyciągnął je z wody. Ciche fale rozsiewały zapach suchej jak kość soli.

Chropawa powierzchnia skały ułatwiała wspinaczkę. Podciągnął się do miejsca porośniętego pąklami. Usiadł z nogami nad skalną sadzawką, w której odbijały się jego stopy. Poruszał palcami u nóg w ciepłej wodzie, żeby zmyć z nich piasek i kawałki roślin, ale wyciągnął stopy, kiedy zobaczył mnóstwo czerwonych jak maki ramion anemonu chwiejących się między fioletowymi mackami wodorostów.

Obejrzał się na plażę. Ojciec przerzucił kartkę, poza tym ani drgnął. Matka leżała twarzą do dołu, w precyzyjnym bezruchu. Wycelował w nią aparat i zaczął się zastanawiać, czy jest szczęśliwa. Kąpiąc się w promieniach słońca, wyglądała co najmniej na zadowoloną.

Równie znieruchomiały, jak rodzice, czekał na skalnej iglicy, aż pojawią się sytuacje godne zdjęcia. Miał tylko dwie rolki filmu na całe wakacje i musiał uzbroić się w cierpliwość. Morze straciło trochę blasku. Słońce przesunęło się na niebie. Przez trzy gorące godziny zrobił jedynie trzy zdjęcia. Później, kiedy światło nie było już takie ostre, coś poruszyło się na skale wyrastającej z morza dalej od lądu. Midas podniósł aparat do oka.

Czy to morski ptak? Nie, jego lot był zbyt chaotyczny. To wyfruwał zza skały, to zniknął. Midas pomyślał, że tam jest jakaś półka skalna, która zasłania widok. Czekał z aparatem na kolanie przygotowany, aż to coś zjawi się w polu widzenia. Wreszcie się pokazało, ale na krótko i zdjęcie wyszło pewnie zamazane. Jak oszalały modlił się do Boga, żeby wspomógł szybkość migawki.

Kiedy obiekt znów przemknął pędem, Midas dostrzegł, że to ważka, wielka jak pięść, biała jak mleko.

Późnym popołudniem ojciec zawołał go z plaży. Stał na skraju płycizny, książką przysłaniał sobie oczy przed słońcem. Nadszedł czas przyływu i wokół skały woda była prawie na metr głęboka. Midas zdjął koszulę i spodnie, żeby owinąć w nie aparat. Potem miał zawiesić suchy węzełek na końcu kija i nieść nad głową, a wolną ręką rozgarniać wodę. Już prawie zawiązywał rękawy koszuli wokół kija, kiedy zobaczył, jak pod powierzchnią wody coś dryfuje, kołysząc się na falach. Przezroczyste, z fioletową otoczką i unoszącymi się w wodzie czułkami. Nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego. Zszedł niżej, nad wodę...

—Co robisz, Midasie?

Ojciec chodził w tę i z powrotem. Midas sięgnął i zaczepił to coś kijem. Wyjęte z wody oklapło: kleista, spłaszczona bryła, z której spływały strumyki kropel.

—Zobacz, co złapałem!

Ojciec zamarł z przerażenia.

—Nie dotykaj tego. — Niespodziewanie nadpłynęła fala i smagnęła ojca powyżej kostki. Zaskowyczał i odskoczył do tyłu, na piasek.

Bryła ześlizgnęła się z kija, chlupnęła do wody i rozwinęła się z wdziękiem.

—O Boże... Sparalizują cię!

Teraz wokół pływały także inne, fioletowe aureole, oblane drżącym światłem.

—Co to jest?

—*Medusae!* Meduzy!

Midas wspiał się trochę wyżej i przywarł mocno do skały. Nie śmiał na nie spojrzeć.

—Ojcze, co się stanie, jak mnie zobaczą? Zamienię się w kamień?

—O Boże, Midasie! Dobry Boże!

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko szum fal i krzyk dwóch mew krążących nad głowami. Potem matka podeszła do brzegu. Sukienka trzepotała jej na wietrze. Na sparciałej linie ciągnęła poczerniałą deskę wyrzucaną przez morze. Przebrnęła przez płyciznę i szła dalej. Małe fale ochlapwały jej bosc nogi, Kiedy była już dość blisko, odłamała kawał deski i rzuciła do wody. Patrzyli, jak drewno dryfuje z prądem w stronę skały, na której siedział Midas. Po tym teście popchnęła deskę. Midas zszedł niżej i kiedy deska przepływała, zaczął ją przyciągać kijem, mocno przywierając do skały.

—Połóż się na płask! — krzyknęła matka. — Jak surfer!

Midas się zawahał. Nie mógł zabrać ubrania ani aparatu. Z szarpiącym wnętrzości uczuciem położył węzełek na skalnym występie.

Wczołgał się na deskę. Nagle się przechyliła i omal nie spadł. W spienionej wodzie meduza falowała niebezpiecznie blisko. Trzymał się mocno, pchany do brzegu. Ale kiedy już myślał, że jest bezpieczny, usłyszał, jak morze mlasnęło pod nim i zaczęło go spychać na otwarty ocean. Krzyknął, czuł, że deska go zdradziła, zacisnął oczy i czekał, aż wpadnie do wody, gdzie znajdzie jadovitą śmierć. Jednak nie utonął. Kiedy ośmielił się otworzyć oczy, kładziono go na plaży. Obok siedziała matka. Sukienkę miała przemoczoną, widział jej chude ciało i zużytą bieliznę. Zagryzła wargi. Jedną ręką osłaniała oczy, drugą drapała zaognione nabrzmienie rozrastające się na łydce. Ojciec chodził wokół z nadętą miną, jak wystraszona kura.

W szpitalu powiedzieli, że paraliż w nodze ustąpi w ciągu tygodnia. Ale nigdy nie zniknął do końca, od tamtego dnia utykała.

**CZARNY MORSKI PTAK ZANURZYŁ SIĘ W OCEANIE** jak stalówka w kalamarzu. Łódź z dyszącymi silnikami płynęła w stronę horyzontu, żłobiąc w wodzie pienne bruzdy. Za krawężnikiem nabrzeżnej drogi zaczynało się urwisko. Midas był przerażony, że nagle mogą zjechać z jezdni. Nie odrywał oczu od asfaltu. Kiedy Ida popatrzyła w szarość i coś rogatego wystawiło głowę nad powierzchnię wody, nie była w stanie go nakłonić, żeby też na to spojrział. Rogi przez dłuższy czas wystawały z morza, jak palec badający kierunek wiatru.

Droga biegła w dół. Przeleciały dwie mewy, dziobiąc się w locie. Ida zobaczyła błysk ich żółtych oczu. Wkrótce zrównali się z poziomem morza, fale przyboju podchodziły blisko, rozpylona morska woda unosiła się jak mgła. Dalej od brzegu ocean zalewał granitowe zapory i wpływał kanałami na płaskie, czarne skały.

W lusterku wstecznym ponure sylwety wzgórz wznosiły się jak łopatk olbrzymów, a krajobraz widziany przez przednią szybę, tam gdzie nie pochłonęła go morska mgiełka, ograniczał się do brązowych skał i koryt wypełnionych wodą. Dwa, trzy drzewa szorowały gałęziami o ziemię. Zawężone krzewy były tak czarne, jakby ciągnięto je przez płamę ropy.

O Enghem, terytorium Hectora Stallowsa, na północy Gurm Island, krążyło mnóstwo mitów. Zrodziła je uraza, że nagle został sprywatyzowany kawał krajobrazu.

Stallows, magnat przemysłowy, zabierał ludziom środki do życia. I zawsze dostawał to, co chciał. Tak mówili ludzie. Teraz, w stanie spoczynku, miał mnóstwo wolnego czasu. Mówiono, że stał się kapryśny. Nie rozumiano przyczyn, dlaczego kiedyś obwiesił lasy w głębi Enghem bursztynowymi bombkami, ale miejscowi wiedzieli, że te żywiczne pułapki na prastare owady nie zwisały z drzew ku ich uciesze. Pewnego razu chłopak z Tinterl ukraść bombkę — jedną z setek — z gałęzi wierzby. Następnej nocy poczuł wściekłe swędzenie w całym ciele. Miał wrażenie, że coś wlało mu do ucha, a w sypialni słyszał brzęczenie. Włączył lampę i zawołał



matkę, bo ściany, sufit, jego nagie ramiona i pierś zalegały komary. Szufłada, w której schował bombkę, była otwarta: bombka zniknęła. A przynajmniej tak niosła wieść.

Po jakimś czasie kapryśny Hector Stallows znudził się widokiem złotych globów, promieniujących ciepłym żarem w lesie o zmierzchu, więc je poodcinał, zapakował i sprzedał licytantowi z Szanghaju. Kupił za to kwarc. Miejscowi widzieli ciężarówki wwożące przez jego bramy bloki rozmiarów gór lodowych, helikoptery terkoczące nad głowami. Mówiono, że Stallows miał w Enghem Stead, swoim domu, choinki wycięte z kwarcu. Siedzibę wyłożył kwarcem, wystrugał z kwarcu półki na książki. Jego goście z kontynentu jadali z kwarcowych talerzy brzęczących na kwarcowych stołach.

A potem — takie krążyły wieści — widziano, jak kwarc wywieziono z posiadłości: sprzedano kolekcjonerowi gdzieś w Rosji. Kiedy transportowano go ciężarówkami w stronę doków Glamsgallow, mniejsze pojazdy podobno jechały w przeciwnym kierunku, do Enghem. Wkrótce szeptano, że Hector kupił ptaki stu gatunków, kanarki, kakadu i słowiki, ale żaden z nich nie śpiewał. Ptaszarnia pełna niemych ptaków. Ci, którzy tam byli, mówili o niesamowitej ciszy. Dzioby otwierały się i zamykały, ale nikt nie słyszał ćwierkania ani szczebiotu.

Trakt biegł przez kamienną bramę, rozpadającą się, obrośniętą bluszczem. Stała samotnie w kępie drzew bez murów. Ta ziemia była pełna śmiertelnych pułapek: na podjeździe jedyne domku, który mijali, drzewo obwieszono bożonarodzeniowymi lampkami i martwymi kretami. Dalej droga odchodziła od morza i serią zygzaków wspinała się z powrotem na wysoczyznę, gdzie spod samego szczytu wyrastały najdalej wysunięte na północ przylądki Gurm Island, jak kości rzucone na ziemię przez wróżbitę. W Enghem nie istniała wyraźna linia plaży, która oddzielałaby ląd od wody. Scenerię między drogą a wybrzeżem tworzyły gniazda łupku, zatoczki, skalne sadzawki, strumyki słonej wody. Przyływ wlewał się jak gigantyczny, szary grzebień. W tym krajobrazie stały cztery schludne domy Enghem-on-the-Water, do których zmierzali.

Idę wzruszało to, że Midas przebył tę całą drogę. Ale czy chciał być z nią, czy tylko bawił się w fotoreportera i godził na wszystko, dopóki się nie znudzi? Rozmowa z Henrym i wyrok, jaki usłyszała, że proces zeszklenia



potrwa tygodnie albo miesiące, ale nie lata, zmusił ją do szybszego myślenia. Więc kiedy jechali w wygodnej ciszy, intensywnie zastanawiała się nad tym, jak ma wyglądać jej związek z Midasem Crookiem.

Midas jechał ostrożnie niebezpiecznymi drogami, omiatanymi wiatrem. Nagły podmuch na czarnym lodzie mógł zepchnąć ich do ciemnej sadzawki albo wbić na kanciastą skałę. Reflektory musnęły zielono-szare cielsko szczupaka leżące na drodze i spłoszyły kruka, który wzbił się, kracząc i tłukąc skrzydłami.

Midas kupił jej drugie szczudło. Miała problemy z utrzymaniem równowagi i potrzebowała nowego, ale żartowała, że gdyby chciał jej zrobić prezent pod choinkę, to powinien powstrzymać się jeszcze parę tygodni. Tego samego dnia rano podarował jej długą paczkę owiniętą srebrnym, marszczonym papierem, związaną szpagatem z kwiaciarni, z zapięciem zrobionym z gałązek południowoafrykańskiego śniedka wiechowatego. Odpakowała paczkę i znalazła eleganckie, wypolerowane drzewce z wierzby diamentowej. Jej stare szczudło było grube, ozdobione brązowymi rombami, a nowe wygładzone strugiem i bez wzorów.

Kątem oka przyglądała się czule Midasowi. Czy między nimi coś się rodziło, czy może źle go rozumiała?

Prowadząc, mocno trzymał kierownicę. Kostki dłoni i łokcie rysowały się ostrymi kątami. Podobały się jej te za krótkie rękawy koszuli Midasa. Spod mankietów ciasno opinających nadgarstki dumnie wystawał plastikowy uczniowski zegarek. Midas przygryzał sobie wnętrze policzka. Jabłko Adama wystawało mu z szyi. Po raz pierwszy od wielu dni umył sobie włosy i teraz sterczały jak czarna korona.

Myślała, co by zrobił, gdyby go dotknęła. Prawdopodobnie rozbiłby samochód. Musi jednak jakoś przyspieszyć sprawy. Przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Po okrążeniu nasypu z piaszczystej ziemi wjechali w ośnieżoną drogę, na której końcu stały cztery domy. Enghem-on-the-Water. Tylko w największym w oknach paliło się światło: to Enghem Stead. Za nim kołysało się morze. Wszystkie domy tkwiły na mocnych palach, żeby nie podmywał ich przypyływ. Były zrobione z desek pomalowanych na pastelowiebisko i białą, ale farba schodziła płatami, ukazując zielonkawą drewno. Od

miejscowych słyszała, że tylko Enghem Stead był zamieszkany, ale Hector kupił całą wioskę, żeby zapewnić sobie prywatność.

— To... całkiem przyjemne miejsce — stwierdziła.

Carl zaciągał się papierosem, czekając na drewnianym tarasie przed drzwiami do Enghem Stead. Ledwie zaparkowali, zbiegł ze schodów do samochodu, żeby pomóc Idzie. Midas wolał zanieść za nimi bagaże. Za jej plecami rozciągał się ogrom zatoki — kolosalne wgniecenie w linii białego wzgórza. Jakby którejs nocy morze przybrało i dopóty szturmowało wyspę, dopóki wybrzeże nie cofnęło się o całe kilometry.

Nagle zaczął sypać śnieg, kiedy tupiąc, wchodzili po schodach na taras. Ida, żeby utrzymać równowagę, jedną ręką chwyciła się Carla, a drugą mocno wciskała szczudło od Midasa w wilgotne drewno. Mokry śnieg spadał grudkami z rynien, koniec szalika Idy powiewał na wietrze. Musiał go złapać i ciaśniej owinąć szyję. Z balustrady na tarasie podleciał drozd z brązowym brzuszkiem.

Wkrótce drzwi się otworzyły. Ze środka dmuchnęło gorące powietrze. Potem pojawiła się olśniewająca kobieta.

Emiliana Stallows miała czarne włosy i opaleniznę, która wyglądała prawdziwie, nawet zimą. Ciężki makijaż, opięta na biodrach spódnica i wdzięcznie wycięta bluzka — to wszystko tworzyło egzotyczny obraz na zimnych przestworach Enghem Cove. Trudno było powiedzieć, w jakim jest wieku, ale wyglądała, jakby jej piękno i czar wyblakły dopiero niedawno. Ida dawała jej pod pięćdziesiątkę. Pod kruczoczarnymi, przerzedzonymi włosami prześwitywała biała skóra głowy.

Złączyła palce z paznokciami ciemnymi jak bławatki i obdarzyła ich dziewczęcym uśmiechem.

—Ty pewnie jesteś Ida — powiedziała. — A ty ten fotograf, zgadza się? — Zamrugła ciemnymi powiekami. — Zajmę się wami najlepiej, jak potrafię.

**CARL POMÓGŁ IDZIE WEJŚĆ** do obszernego, pobielanego holu z wysokim, drewnianym sufitem, z którego zwisały nagie żarówki. Stamtąd poszli do jadalni z wiejskim drewnianym stołem pośrodku. Ściany były w kolorze złamanej bieli, na podłodze leżały szare chodniki. Midas podskoczył wystraszony, kiedy nadepnął na deskę i w pokoju echem odbiło się chrapliwe skrzypienie.

Emiliana się roześmiała.

—To nie ty, głuptasie. Dom skrzypi na wietrze. Przyzwyczaisz się.

Ida zamknęła oczy, wsłuchiwała się w inne, długie poskrzypywanie dochodzące ze ściany, jak najniższa nuta zagrana na wiolonczeli. Uśmiechnęła się. To był spokojny dźwięk, zharmonizowany z domem zbudowanym na łasce oceanu.

—Wiem, że Enghem Stead wygląda spartańsko — tłumaczyła się Emiliana. — Ale Hector tak lubi. Za tymi drzwiami jest mój pokój gościnny. Tam będzie wam wygodniej.

Z kieszeni bluzki wyjęła żelazny klucz i otworzyła drzwi. Za nimi znajdował się chłodny pokój pachnący rachatkum. Wielkie lazururowe i złote poduszki leżały w stosie na dywanie. Ściany wykładane były skomplikowanymi, północnoafrykańskimi wzorami z topazów i diamentów. Kłody drewna na kominku spalały się na płatki popiołu.

Ale wewnątrz z wysokim sufitem przytłaczało miejsce odpoczynku, które próbowała stworzyć Emiliana. Takie pomieszczenie można było wypełnić tylko hymnem albo modlitwą.

**WKRÓTCE ZASIEDLI DO JEDZENIA.** Misy z kuskusem przyprawionym ziołami; talerze z szynką parmeńską i suchą kiełbasą; garnuszki z oliwkami; tace z papryką i oberżynami nadziewanymi jeszcze gorącym serem; deski z chlebem pokropionym oliwą z oliwek. Wszyscy byli zaskoczeni, że Midas nie jadł nigdy czegoś takiego.

—Co zazwyczaj jadasz? — zapytała Emiliana, widelcem ścigając oliwkę w naczyniu.

—Paluszki rybne — wyznał. — Zupę z puszki.

Nadziała oliwkę i położyła mu na języku.

—Smakuje? — zapytał Carl z uśmiechem.

Midas poczuł w ustach tyle kwasu, że mógłby pocałować się z wężem.

—Uhm — wydusił.

Inni napełniali talerze, ale Midas podejrzliwie badał nadziewaną paprykę. Pasemka sera spłynęły z półmiska na jego talerz, kiedy nałożył sobie jedną. Czuł zapach kozy.

Jedząc, rozmawiali. A raczej rozmawiało tamtych troje. Midas siedział w pełnym zdumienia milczeniu, słuchając opinii Emiliany na temat orkiestry, czy Carla o człowieku, który nazywał się Hemingway. Kiedy skończyli, Carl uroczyście odłożył sztućce i powiedział:

—Przejdźmy już do sedna sprawy.

Ida się zarumieniła.

—Masz rację — przyznała cicho. — Jesteśmy tutaj ze względu na mnie. Do diabła, może po prostu powinnam zrzucić te buciory.

Drżącymi palcami odpięła sprzączki, potem rozwiązała sznurowadła. Buciory ześliznęły się bez problemów. Zdjęła skarpetki.

Na dywanie, tam gdzie siedziała, był wzór przypominający mapę labiryntu. Jej palce u nóg przesuwaly się po nim jak szkła powiększające, wykrzywając linie w trójwymiarową gmatwaninę. Szkło się rozprzestrzeniło, odkąd Midas widział je po raz pierwszy. Śródstopia, wtedy półprzezroczyste, ustąpiły przed czystym kryształem ukształtowanym jak stopa. Pasemka krwi wokół kostek zwięzły się i wyglądały jak postrzępiona wełna. Pięta, wcześniej pokryta skórą, stała się twardą bryłą z mglistobiałym wnętrzem. Nie licząc tego, jej stopy były teraz całkowicie przezroczyste. Wypukłe żyły pulsowały na łydkach, jakby krew chciała się ewakuować przed tym, co miało nadejść. Włoski na niższej partii nogi drżały.

Zdał sobie sprawę, że te martwe stopy nie są już częścią jej ciała.

Wszystkie obce smaki wieczornego posiłku wróciły i wypełniły mu przełyk. Szklane bloki, mimo że wdzięcznie ukształtowane, przypominały protezy.

Gdzieś nad nim zaskrzypiała podłoga.

Nikt się nie ruszył i nie powiedział ani słowa, tylko Emiliana rozchyliła wargi. Wyglądała, jakby usłyszała wiadomość o jakiejś strasznej, bolesnej stracie. Zaskoczenie ją unieruchomiło, w oczach miała wyraz dezorientacji. Midas się zdziwił, przecież Carl mówił, że już wcześniej widziała coś takiego. Ale teraz zaniemówiła. Dopiero Ida przerwała to zaurczenie, naciągając skarpetki.

—Ido — zaczęła wreszcie Emiliana, przeplatając palce. — Ja... zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Carl pokiwał głową jak stary, mądry sędzia.

—Przynies film o Saffron Jeuck.

Emiliana wyglądała na skrepowaną.

—Carl, może lepiej poczekać do rana? Podejść do tego krok po kroku?

—Nie martw się o mnie, jakoś wytrzymam — powiedziała Ida.

Carl spojrział gniewnie na Emilianę.

—Pójdę po taśmy — wymamrotała.

Kiedy wyszła, Ida westchnęła i przejechała ręką po włosach. Carl ciężko poklepał ją po ramieniu. Midas patrzył posepnie. Przypuszczał, że zobaczą jakąś okrutną przemianę kogoś w szkło.

Emiliana wróciła z dwoma starymi taśmami wideo. Nie patrzyła nikomu w oczy, kiedy włożyła jedną do małego odtwarzacza.

Czekali w krępującej ciszy, aż taśma się przewinie. Słyszeli cichy pisk szpul kręcących się w odtwarzaczu. Dom jęknął głośniejszym echem.

—Teraz — powiedziała w końcu Emiliana. Na czarnym ekranie tańczyły białe pasy, potem nagle ukazał się rozedrgany obraz.

Na tle w kolorze sepii stała dziewczyna, mrużyła oczy, osłaniając je dłonią przed letnim słońcem. Niebo miało prawdopodobnie kolor ultramariny, kiedy filmowano trzęsącą się ręczną kamerą, ale wiek i jakość taśmy sprawiły, że obraz nabrał zielonkawego odcienia. Pasemka brudu migają na kliszy.

—Dobrze, Saffron — zabrzmiał głos Emiliany z taśmy, spoza kadru. — Podnieś bluzkę.

Saffron nosiła na pulchnych udach białe szorty. Nie miała jeszcze dwudziestki, ale sądząc po fryzurze, film nakręcono przed sześciu, siedmiu laty. Sięgnęła w dół i zmięła w rękach rąbek bluzki, podciągnęła ją powyżej małych piersi. Ida zerknęła nieufnie na Carla, ale w tym momencie on skoczył i nacisnął guzik pauzy. Pokazał na ekran.

—Widzicie?! — zawołał entuzjastycznie. — Popatrzcie na jej brzuch.

Przez brzuch Saffron biegło coś, co wyglądało na straszną bliznę, ale szczegóły były zamazane na nieostrej stop-klatce. Przeszkadzały też poziome zakłócenia spływające z góry na ekran.

—Będzie zbliżenie. — Carl puścił dalej film.



—Teraz tak trzymaj — odezwała się Emiliana spoza kadru. Kamera chwiejnie zbliżyła się do brzucha Saffron.

Z bliska cały brzuch nie miał żadnego koloru. Purpurowoczerwone podbrzusze wyglądało tak, jakby dziewczyna wstrzymywała oddech. Midas nagle zrozumiał, że brzuch zmienił się w szkło.

Ciało stało się połyskliwym ekranem ukazującym mięśnie i organy wewnętrzne, chociaż na taśmie trudno było rozpoznać szczegóły. Ida zakryła ręką usta. Midas nagle pożałował, że Carl nie pozwolił Emilianie działać według jej własnego planu i pokazać film rano, kiedy światło dzienne przyniosłoby im ulgę.

Ida nachyliła się w krześle do przodu, palce miała złączone, usta ściągnięte. Cień Saffron na łanie zboża rozdał się i zmienił w żółtą poświatę.

Carl znów zatrzymał wideo i wyjął kasetę z odtwarzacza.

—Mil, gdzie jest druga taśma?

Trzymała ją na kolanach, ale nie podała jej Carlowi. Udała, że ziewa.

—Może lepiej obejrzymy ją rano?

Midas bardzo ją za to polubił.

—Nie — stwierdził kategorycznie Carl. — Ida chce mieć to za sobą.

Sama Ida gapiła się na pusty ekran z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Carl wziął kasetę z kolan Emiliany i włożył ją do odtwarzacza. Znów odczekali dłuższą chwilę, zanim taśma się przewinęła. Palce Carla stukały w chromowaną powierzchnię urządzenia. Rozległ się brzęk i taśma zaczęła się odtwarzać. Wnętrze domu. Przez otwarte okno widać jesienny sad zasypany liśćmi. Saffron Jeuck siedzi w bujanym fotelu przy oknie, z kolanami okrytymi kocem w szkocką kratę. W słabym świetle jej obraz jest rozmazany na de ścian pokoju. Nie można było rozpoznać, gdzie kończą się jej włosy spięte w gruby kok, a gdzie zaczyna cień fotela.

—Saffron — powiedziała spoza kadru Emiliana. — Jak się czujesz?

Oderwanie oczu od podmokłego sadu i skierowanie ich na kamerę zajęło dziewczynie wieczność. Na ziarnistej taśmie Midas nie dostrzegął źrenic



dziewczyny, ale wiedział, że są utkwione w obiektyw. Na pytanie zareagowała tylko odwróceniem głowy. Midas gryzł paznokcie, pozostali z przejęciem oglądali wideo. Zawsze uważał, że w pewnym punkcie fotografia zamienia się w płytę nagrobną. Zdjęcia zmarłych miały trudną do uchwycenia cechę, której pozbawione były zdjęcia żywych. Instynktownie czuł, że to film o zmarłej.

—Hm... — zaczął z lękiem. — Saffron jest nadal wśród nas, prawda?

—Oczywiście — parsknął Carl. — Cśśś.

Emiliana na filmie powtórzyła pytanie.

—Jak się czujesz?

Saffron otworzyła usta.

—Okropnie.

—Mogłabyś podnieść bluzkę?

Palce Saffron powoli wyłoniły się spod koca i zaczęły od dołu rozpinąć guziki. Powoli rozsunęła poły, a kamera zrobiła zbliżenie jej brzucha, tak jak poprzednio.

Midas zauważył naraz dwie rzeczy. Po pierwsze, szkło nie rozprzestrzeniło się dalej ani głębiej na brzuchu niż na filmie nakręconym latem. Po drugie, każdy kawałeczek skóry widocznej wokół szkła był krwistoczerwony. Dziewczyna miała ciało pokryte bąblami i pręgami, a w niektórych miejscach schodziła jej skóra, jak po chłóście.

—Pogorszyło się? — zapytała Emiliana z filmu.

—Jeśli chodzi o szkło, to nie — powiedziała Saffron i znów odwróciła się w stronę sadu.

—Jesteś gotowa na następny kompres?

Saffron głęboko nabrała powietrza, ale właśnie wtedy przez otwarte okno wleciał podmuch wiatru, naniósł na dywan zeschnięte, zwinięte liście i trudno było stwierdzić, czy to, co się słyszy, to świst wciąganego do płuc powietrza, czy tylko powiew wiatru. Tak czy inaczej, wypełniające się płuca można było zobaczyć przez szklaną płytę żołądka Saffron.

Wyłączono kamerę.

Mimo że Carl wyjął kasetę, Ida nie oderwała oczu od ekranu. Midas rozpoznał ten nieobecny wzrok, który tyle razy widział u matki. Ida myślnami musiała być zupełnie gdzie indziej.

Czekali na nią. Po dłuższej chwili zapytała:

—Kompresy?

Emiliana odchrząknęła, ale nic nie powiedziała. Zamiast niej odezwał się Carl.

—Udawanie martwego to dobry początek. Mil, może wyjaśnisz, co zrobiłaś dla Saffron?

Emiliana patrzyła żałośnie to na Carla, to na Idę.

—Szczegóły możemy omówić jutro.

Carl podniósł wzrok.

—Jutro możemy zacząć je stosować.

—Dobrze. — Patrzyła na puste półmiski i śliskie talerze po posiłku. — Zaczę od tego, że wszystko wzięło się z sugestii ojca Saffron. To był przyjaciel przyjaciela, ale przyszedł do mnie, bo wtedy prowadziłam mały ośrodek medycyny alternatywnej. Zawsze się tym interesowałam, a Hector umożliwił mi założenie własnego gabinetu. Specjalizowałam się w leczeniu kataru siennego i właśnie to przyciągnęło Saffron i jej rodzinę. Mieli już własne pomysły, potrzebowali tylko kogoś, kto by je zrealizował.

Carl stukał nogą.

—Powiedz o ptaku w słoju.

Skinęła głową i drugi raz odchrząknęła.

—Pan Jeuck przyniósł ze sobą ptaka w słoju. Ptak był martwy i wyglądał okropnie. Ale miał ogon ze szkła. Wachlarz pięknie wyczelowanych piór, chociaż reszta zmarniała i zgniła. Kupił go za wielką sumę od starej wdowy w Glamsgallow, bo to był dowód wspierający jego pomysł. Ptak zdechł, powiedziała mu, bo w takim stanie nie mógł się wyżywić. A pan Jeuck wywnioskował, że ekspansja szkła kończy się wraz ze śmiercią.

Midas zamknął oczy i pomyślał o ciele z czystego szkła, które Henry pokazał mu na bagnach.

—Cóż... moje lekarstwa na katar sienny to były proste preparaty. Na bazie miodu. Miejscówce pszczoły pomagają leczyć katar wywołowany miejscowymi pyłkami. Więc rozumiecie... Saffron i jej rodzina zaproponowali miejscowe remedium, chociaż w chwili, kiedy Saffron przestąpiła mój próg, wiedziałam, że dotknęło ją coś znacznie gorszego niż gorączka senna.

—Pomysł polegał na udawaniu martwego — przerwał jej Carl. — Proste i genialne. Sparaliżować ciało wokół szkła, wprowadzić je w stan półmartwy. I rodzina Jeucków znalazła też sposób.

—Czyli?

—Meduzy z St. Hauda's Land.

—Meduzy — mruknęła Ida.

Midas pomyślał o niesprawnej nodze matki.

Carl entuzjastycznie klasnął w ręce.

—Emiliana przygotowała kompresy z meduz, podgrzała je i zaaplikowała na brzuch Saffron. Leczyli ją tak przez całe lato, jak widzieliście. — Scenicznym gestem wskazał na ekran. — I to dało efekty. Kuracja powstrzymała rozrost szkła. A wszystko dzięki Emilianie.

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

Ida zamknęła oczy.

Czekali.

—Ale to najwyraźniej boli.

—Przemyśl wszystko przez noc — zaproponowała Emiliana.

Ida pokręciła głową.

—Nieważne, że boli. Warto spróbować.

—Dzielna dziewczyna — pochwalił Carl. — Teraz idź do łóżka. Jutro zaczynamy.

MIDAS NIE MÓGŁ ZASNAĆ PRZEZ KILKA GODZIN. Trochę winne temu było obce, podwójne łóżko w pokoju gościnnym, znacznie większe i miększe niż jego twardy pojedynczy materac. Poza tym nękały go basowe jęki wydawane przez dom na wietrze i szum morza wypłukującego żwir z zatoki. Ale bardziej niż to wszystko nie pozwalała mu zasnąć myśl o Idzie śpiącej zaledwie kilka pokoiów dalej i o bólu, jaki przyniesie jej to ezoteryczne lekarstwo.

Przewrócił się na bok, patrzył na światło księżyca wpadające ukośnie spoza ciężkich zasłon. Kiedy wreszcie pomyślał, że czas pospać, obudziło go stukanie do drzwi. Usiadł sztywno. Do pokoju przykuśtykała Ida. Krzywiła się za każdym razem, kiedy stukała szczydłem o podłogę. Na szczęście Emiliana i Carl spali w sypialniach na górze, w innej części domu.

—Nie mogę zasnąć — wyszeptała.

—Ja też. — Przetarł powieki. — To znaczy, dopiero zamknąłem oczy, ale...

Podeszła do okna.

—Widziałeś, co się dzieje na dworze?

Pokręcił głową.

—Wstawaj.

W sypialni było gorąco, więc położył się w samych slipach. Uświadomił to sobie dopiero teraz i przycisnął białą kołdrę do chudej piersi. Ona nie przebrała się do snu, miała płaszcz włożony na wzorzystą, wełnianą koszulkę.

—Spokojnie. Nie będę patrzeć. — Roześmiała się.

Podpełzł do nóg łóżka, żeby wziąć ubranie, które rzucił tam na kupe. Ubrał się, a Ida rozsunęła zasłony. Stał obok niej przy oknie. Zalane księżycową poświatą morze błyszczało w zatoce, pod małymi falami kołysały się mgliste światła. Przycisnął twarz do szyb. Światła drgały jak płomień świecy.

—Midasie — powiedziała. — Pamiętasz? Kiedy byłeś u mnie w domku Carla, słyszeliśmy, jak pohukuje sowa.

—Tak, pamiętam.

—Zapytałeś, czy chcę pochodzić po lesie. Żeby jej poszukać. A ja stwierdziłam, że nie, bo boję się przewrócić. Hm... powiedziałam tak, ponieważ za mało cię znałam. Nie wiedziałam, czy będę z tobą bezpieczna. Teraz wiem, że się o mnie troszczysz. Wyjdźmy, popatrzymy na te światła.

—Co? W tej chwili?

—Tak. Wkładaj płaszcz.

Wyszedł za nią z pokoju. Szli powoli, trochę dlatego, żeby nie robić hałasu, a trochę ze względu na Idę. Musiała usiąść i ostrożnie zsunąć się ze schodów. Midas trzymał szczudło. Wyszli na drewniany taras i oparli się o balustradę. Patrzyli na przybierający przypyływ. Kłębił się między domami na palach w Enghem-on-the-Water, zamieniając je w arki. Malowane drewno nieostro odbijało się od wody, mieszając się z mglistymi miriadami świateł lśniących w dole. Armada meduz nadciągnęła wraz z przypyływem. Jedna czy dwie były wielkie jak żagle, ich cielska falowały tuż pod powierzchnią, wymachując proporcami czułków. Mniejsze, wielkości narparstka, miały pióropusze fiołkowych przyssawek. Jeden z ogromnych globów żarzył się jaśniej niż inne. Jego ciało wypełnione było obłoczkami złotego światła, jakby połknął anioła.

Bliżej płynęło stado około stu galaretowatych latarek. Ida gwałtownie nabrała powietrza, kiedy jedna z nich rozbłysła na sekundę żółtym elektrycznym trzaskiem. Jakby pstryknęła przepalająca się żarówka. Znowu syknęła iskra, w innej meduzie, tym razem jak różowe migotanie. Głębiej rozpalilo się kolejne światło, czerwone jak zakrzepła krew. Przypyływ chlupotał wokół pali Enghem Stead.

Znowu rozbłysła meduza. Ale nie zgasła. Żółty blask falował na wodzie, rozniecając światła w sąsiednich meduzach. Cielska iskrzyły, iskry przeobrażały się w stałe lśnienie: żółte, różowe, karmazynowe, turkusowe. Zjawisko powoli rozchodziło się po całej zatoce, aż woda zajaśniała wielobarwną luminacją. Złamane światło błyszczało na ścianach domu.

Stali w milczeniu, bardzo blisko siebie. Midas się nie odsunął.

— Wyobraź sobie, że mieszkasz w takim miejscu, gdzie możesz oglądać to noc w noc — powiedziała.

Wyobraził sobie, tak jak chciała. Tylko ich dwoje, w środku głuszy. Uspokoił się, jakby wszystkie troski, które nękały jego umysł, nagle odpłynęły. Stał przy balustradzie obok Idy, wchłaniał widok rozżarzonego morza i czuł pogodę ducha. Nie ruszyli się stamtąd jeszcze przez dziesięć minut, byli razem, ich twarze rozświetlała poświata emanująca z wody. Potem meduzy szybko pociemniały, jakby coś płynęło po wodzie i gasiło je, jedną po drugiej.

**KIEDY MIDAS WCIĄGAŁ WALIZKI NA TARAS**, zazdrościł Carlowi, że ten trzyma Idę pod ramię. Więc gdy ostatnia meduza wypaliła się z sykiem i tylko księżyc oświetlał nocne niebo, wyszeptał:

- Ja... Ja... pomogę ci wejść na schody.

Z początku tak zafascynował go jej miły uśmiech, że nie zdołał wchłonąć ogromu swojej propozycji. Przeszepował z nogi na nogę.

Jak pomóc Idzie wejść na górę, nie dotykając jej?

Poszła za nim do schodów i podała mu szczudło.

—Doskonale — mruknął, tęskniąc za windami, ruchomymi schodami, podnośnikami.

Wzięła go pod ramię, a drugą rękę położyła na poręczy. Stawy mu zeszywniały. Dotarł do niego oszałamiający zapach: coś alpejskiego. Wydawało mu się, że rękaw ma nakrochmalony do niemożliwości.

Po drodze na górę niechący trącał ją łokciem w bok. Ciepło jej ciała sprawiało, że po ramieniu spływały mu krople potu. Zatopiona w myślach niczego nie zauważyła.

Na szczycie schodów spróbował szybko wysunąć rękę, ale go przytrzymała.

—Już weszliśmy — wyszeptał.

—Pomóż mi dojść do pokoju.

Odzyskał równowagę. Ruszyli do jej sypialni. W środku, kiedy wreszcie go puściła, oparł się bezsilnie o ścianę.

—Hm... no... — Ocierał czoło chusteczką. — Niedługo zobaczymy znacznie więcej meduz.

Westchnęła.

—Chyba mógłbyś zapomnieć na tę noc o lekarstwach.

Speszył się: sądził, że wspaniałe widowisko nastawi ją pozytywnie do kuracji. Delikatnie położyła mu dłoń na piersi. Serce zaczęło Midasowi mocno bić, jakby próbowało ją odepchnąć. Przekrzywiła głowę i nachyliła się do niego. Jej rozchylone usta były o centymetr od jego ust.

Odskoczył na bok, pieniał się jakimiś niewyartykułowanymi do końca wymówkami, że najlepiej, jak ją zostawi, że powinna się wyspać. Usiadła na łóżku i odwróciła wzrok. Chciał, żeby słowa same się uformowały, ale nic z tego. Wyśliznął się z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

W połowie schodów gwałtownie się zatrzymał. Pragnął ją pocałować, ale kiedy nadszedł ten moment, głowa mu odskoczyła, nerwy zadziałały jak uzda. Przypomniawszy sobie ojca wykręcającego się z uścisku matki i poczuł nagły przyływ nienawiści do tego człowieka. Zastanawiał się, jak zmienić instynktowne reakcje, skoro ciało przejmuje kontrolę z taką samą siłą, jak wtedy, kiedy cofa się rękę znad płomienia. Złapał się za głowę i zacisnął powieki.

**PRZEZ CHWILĘ IDA ZASTANAWIAŁA SIĘ**, czy nie wrócić do łóżka, ale przecież i tak by nie zasnęła. Postanowiła wziąć kąpiel. Na kontynencie lubiła gorącą do bólu kąpiel w środku nocy.

W kącie, przy suficie łazienki wisiał pająk. Nóżki zgiął w powietrzu, jakby przyciskał do odwłoku niewidzialną kulkę. Myśl, że mógłby przebiec po jej nagim ciele, sprawiła, że Ida miała ochotę wgnieść go w ścianę. Rozebrana czekała, aż wanna napełni się tryskającą z kranu wodą. Nigdy nie bała się pająków, ale teraz miała stopy jak kotwice, a te małe stworzonka były takie szybkie. Zwinna mała Ida, tak Carl mówił o niej, kiedy nurkowali.

Prawdopodobnie po prostu zazdrościła pająkowi ośmiu nóg.



Sprawdziła, jaka jest woda, i weszła do wanny. Para kłębiła się wokół niej, kiedy nacierała brzuch pianą z pachnącego mydła. Szklane stopy pod górami bąbelków były tylko niewyraźnymi plamami. Woda omywająca jej palce u nóg wydawała się gorąca jak jeziorko lawy. Ida myślała o gejzerach, które pokryły ją warstwą mgiełki wodnej, kiedy wędrowała przez Islandię. Wystawiła palce z wody. Już nie należały do niej, tylko do świata nowo narodzonych skał i minerałów.

Podniosła nogi wyżej. Skórę miała straszliwie bladą, tuż nad kostkami prawie białą. Kiedy Carl pomagał jej wejść do Enghem Stead, zaczepiła nogą o drzwi. Nie poskarżyła się na głos, jęknęła tylko, ale Carl tego nie usłyszał. Popatrzyła na Midasa, żeby ją pocieszył — on przyglądał się swoim sznurowadłom. To było tylko lekkie stuknięcie, ale teraz, po zewnętrznej stronie kolana widniał siniak wielkości odcisku palca. Nie niebieski, ale szary jak łupek. Dotknęła go, okazał się twardy niczym skorupa.

Pająk rozprostował jednocześnie trzy nogi. Odpoczywał.

Głupi, głupi Midas.

Kąpiel była za gorąca. Ida odkręciła kran z zimną wodą. Teraz w wannie zrobiło się jej za chłodno. Zakłęła i powoli podciągnęła się, żeby usiąść na skraju wanny. I nagle zapragnęła być brudna. Pot i martwa skóra to było wszystko, co trzymało ją w jednym kawałku, co sprawiało, że miała ciało, w którym mogła mieszkać. Fajnie, że ciało tężeje od zimna, a na ramionach podnoszą się włoski. Kropelki spływały jej po biodrach, docierały do kolan. Czyli tam, gdzie jeszcze czuła, że ma nogi. Skóra na łydkach już była lśniąca i biała. Pierwszy etap transformacji. Śmieszne, jak bardzo polubiła gęsią skórę i swędzenie, oparzenia i zadrapania. Pragnęła ich. Chciała bólu pleców i zapalenia stawów, chciała być głucha i stuknięta, jeśli to miało by znaczyć, że pozostanie przy życiu jeszcze długo, aby dopadły ją wszelkie schorzenia.

Energicznie osuszyła się ręcznikiem i starła wodę ze szklanych stóp. Tęskniła za Midasem, chociaż był w pobliżu i prawdopodobnie dręczył się chybionym pocałunkiem. Idiota, skoro tak gmatwa sobie życie. Chwyliła szcudło i dowlokła się do sypialni. Przebrała się w koszulę nocną.

Stopy połyskiwały w przyćmionym świetle.

Wyłączyła lampę i poszła do łóżka. Ciemność to dobra rzecz, w niej Ida nie widziała swoich stóp.

Czuła tylko ich nieobecność.

Myślała o wargach Midasa, jak się zbliżyły i nagle odskoczyły. Ni stąd, ni zowąd pomyślała, że sporo w niego zainwestowała. Jeśli wkrótce zostanie unieruchomiona, pół dziewczyna, pół ozdoba, to nie będzie seksu ani — być może — nawet namiętności. Wpadła w panikę, że bez sensu wybrała właśnie jego na ostatni romans swojego życia. On potrzebował czasu, żeby jej zaufać. Ona chciała lepiej gopoznać i zrozumieć, owszem, ale tak spać tutaj, samotnie, w obcym łóżku, kiedy pragnęła u swojego boku gorącego ciała i żeby ktoś docenił, że jest żywa. Czy Midas da jej to kiedykolwiek?

Myśli przeistoczyły się w półsen. Nocne odgłosy wydawane przez dom i grzejniki wydały się jej sapaniem byczków ze skrzydłami ciem.

**POLA I ZBOCZA WZGÓRZ BŁYSZCZAŁY BIELĄ.** Światło lśniło w oknach domu Emiliany, barwiło policzek Midasa, budziło go jak kochanka.

Gruba kołdra ześliznęła mu się z piersi, kiedy usiadł i pomasował skronie. Czuł się ocieźzale. Ostatnie, co zapamiętał z poprzedniego wieczoru, to że chwiejnie szedł korytarzem, mocno trzymał się poręczy, odurzony poniżeniem jak winem. Jęknął ze wstydu, potarł zarośnięty podbródek i wstał. Z pokoju widział czarne strumyczki pozostałe po przypiływie. Harmonijka sopli zwisała z dachu.

Ukradkiem ruszył przez korytarz do okna z przodu domu, wychodzącego na wyspę. Jadąc tutaj poprzedniego wieczoru, był zbyt zaabsorbowany drogą, żeby zauważyć zmiany w krajobrazie. Na wschodzie i zachodzie rozciągały się przysypane śniegiem pola, na wprost palec lasu kiwał na dom. Dziwne, bo z ostatniej części podróży nie zapamiętał ani jednego drzewa. Wyglądało to tak, jakby las podkraść się do Enghem Stead pod osłoną nocy.

Napił się wody z kubka, przeciągnął i już był na dworze, brnął przez śnieg, nastawiając aparat. Podstępnie gromadziły się lekkie chmurki, zachęcając go, żeby skorzystał ze światła, zanim je uprowadzą. Poszedł do lasu tam, gdzie kolczaste rośliny tłoczyły się wokół przeplecionych pni i konarów. Kruk zawołał chrapliwie i przesunął się na gałęzi.

Wychodząc z domu, nikogo nie spotkał, ale słyszał, jak Emiliana rozmawia w kuchni przez telefon. Przekradł się przed jej zamkniętymi drzwiami. Nie mógł stracić tego światła, ale nie sądził, żeby inni go zrozumieli. Lepiej niech myślą, że się wyleguje.

Jeszcze w domu skręcił w złą stronę i przypadkiem wszedł do pokoju, gdzie nie było nic poza kominkiem zawalonym popiołem, fotelem i stoliczkiem, na który ktoś rzucił zmięty egzemplarz czasopisma poświęconego finansom. Kiedy się odwrócił, stanął twarzą w twarz z Hectorem Stallowsem. Był to trzyipółmetrowy obraz wiszący na ścianie. Malowany Hector Stallows nosił garnitur, miał ściągnięte brwi, czarną jak noc brodę i dziobate policzki. Farbę nałożono oszczędnymi pociągnięciami, obraz po-

chodził sprzed prawie dziesięciu laty, ale łatwo było sobie wyobrazić, jak czas obszedł się z jego modelem. Hector miałby teraz jeszcze głębsze zmarszczki i cesarską siwiznę we włosach. Pęknięcia cienkiej farby na ścianie wyglądały jak gałęzie i wydawało się, jakby obraz wisiał na drzewie.

Idąc po skrzypiącym śniegu do lasu, Midas próbował zapomnieć o wstydzie.

— Ida próbowała mnie pocałować — powiedział na głos, chcąc to zrozumieć. Nie potrafił odwzajemnić pocałunku. Miał nadzieję, że wśród drzew, zajęty wyszukiwaniem ujęć, zepchnie swój wstyd w jakiś zakamarek umysłu.

Biały liść utknął między wiecznie zielonymi igłami. Kompozycja nie do pogardzenia, więc zbliżył się, żeby zrobić zdjęcie. Podskoczył, kiedy liść przeleciał na inną gałąź. Zrozumiał, że to ptak wielkości strzyżyka, upierzony na biało. Zbliżył się z przygotowanym aparatem, ale pod stopą trzasnął mu patyk. Ptak śmignął w powietrze. Piszcząc, usiadł na innej gałęzce. Midas poczekał, aż trochę się uspokoi, i powoli wspiał się na drzewo, żeby mieć lepszy widok. Nie zważając na potrząskujące gałązki, wcisnął się w rozwidlenie pnia, między dwa konary. Kora była chłodna i wilgotna od śniegu.

Ptak rozejrzał się nerwowo na wszystkie strony. Midas sprawdził, czy w pobliżu jest coś, czego można by się bać. Zobaczył tylko niezliczone szare pnie. Obliznął wargi i przygotował się do zrobienia zdjęcia. Oparł aparat o drzewo. Trzasnęła kolejna gałązka. Śnieg opadał na wegetującą ściółkę.

To będzie piękne zdjęcie, nieskalane pióra ptaka na de ziemistej kory. Oceniał kompozycję, zrobił trochę większe zbliżenie i już miał pstryknąć zdjęcie, kiedy dostrzegł oczy ptaka. Były białe.

Coś poklepało go po bucie.

Z krzykiem spadł z drzewa, przerażony zaczął się grzebać w śniegu, przyciskając aparat do piersi.

Nachylał się nad nim wysoki, rozczochrany mężczyzna z niedbale przystrzyżoną brodą. Podpierał się laską z wypolerowanego zęba narwala. Nośił pognieciony garnitur koloru węgla drzewnego ze śladami zaschniętego

blota sięgającymi kolan. Do fałd i załamania ubrania przyczepiły się liście, jakby spał w nich zagrzebany. Włosy sterczały mu w kępkach niczym niewyrośnięte różki, twarz miał szorstką i równie wymiętą jak ubranie.

Uniósł laskę.

—A co ty tu robisz, w Enghem? — spytał uroczystym głosem.

Midas podniósł się i rozejrzył za białym ptakiem. Zjawiskowe skrzydlate stworzenie zniknęło.

—Jestem... Jestem... Midas Crook.

—Pytałem: co robisz, chłopcze, a nie: kim jesteś.

Midas zebrał się do kupy. Zadrzał z zimna, przemoczony i posiniaczony od upadku.

—Hm... Robię zdjęcia.

Mężczyzna postukał laską w aparat.

—Ładna sztuka.

Midas przezornie przyciągnął swój cenny sprzęt do piersi.

Wysoki mężczyzna wyciągnął rękę.

—Jestem Hector Stallows.

Midasowi wydawało się, że źle usłyszał, chociaż mężczyzna miał doskonałą dykcję. Przypomniawszy sobie obraz olejny w Enghem Stead i nie bardzo potrafił skojarzyć sportretowanego z tym wymiętym nieznajomym.

—Przepraszam, jak się pan nazywa?

Hector puścił pytanie mimo uszu.

—Kiedyś byłem zapalonym fotografem. Ale darowałem sobie. Myślałem, że emeryturę w Enghem spędzę na fotografowaniu tego i owego, ale zacząłem być podejrzliwy wobec aparatów. Szczególnie cyfrowych. Są zrobotyzowane i jałowe do bólu. Mechaniczne oko z mechaniczną pamięcią. Przywodzą mi na myśl... błędy w moim sposobie widzenia świata.

Speszony Midas przełknął z trudem. Nad nimi krakała wrona, przeska-kiwała z gałęzi na gałąź, machając ogonem.

—Przepraszam — powiedział Hector. — Mój umysł przeskakuje z te-matu na temat. Wybiegam za daleko naprzód. Nie wyjaśniam, o co mi cho-dzi. Lekarz stwierdził, że ze mną jest coś nie tak, ale czuję, że umysł teraz mam sprawniejszy niż w czasach, kiedy robiłem interesy — Pokręcił po-ważnie głową i ściągnął łopatki. — Niech mi pan wybaczy, panie Crook. Nie da się usprawiedliwić mojego chaotycznego gadania.

Midas obejrzał się przez ramię. Wrona pochyliła otwarty dziób z głod-nym, różowym trójkątem wewnątrz.

—Wydaje mi się pan człowiekiem bardzo dobrze zorganizowanym — stwierdził.

—Zbytek uprzejmości.

—Więc... hm, to doskonały dzień na spacer.

Hector nachylił się do Midasa.

—Tu jest stwór, którego zamierzam upolować.

—Stwór?

—Mówią, że na cokolwiek spojrzy, zamienia na białe.

Midas przełknął. Przypomniał sobie białego ptaszka, którego obserwo-wał przez aparat.

Hector świsnął laską w powietrzu.

—Czy może pan, jako fotograf, wyobrazić sobie, jak on zmienia świat? Wszystko staje się monochromatyczne. Tylko siła światła potrafi wtedy rozróżnić przedmioty.

Midas z szacunku wyobrażał to sobie przez chwilę.

—Widziałem ptaka! Z białymi oczami. — Żeby udowodnić, podniósł aparat i pokazał zdjęcie.

Hector szeroko otworzył oczy.

—Więc stwór jest w pobliżu! — Podeszedł bliżej do aparatu. Liście w załamach garnituru głośno zaszeleściły. — Ma tu legowisko — wyszeptał. — Gdzieś w Enghem.

Midas nagle zdał sobie sprawę ze wzrostu Hectora. Wyrastał nad nim jak drzewo.

—A co, hm, pan robi, jak pan go znajdzie?

—Oślepię.

Midas nie zdołał się powstrzymać i aż sapnął.

—Myśli pan, że to barbarzyństwo. Na pewno pan tak myśli. Ale pan jest młody. I do tego fotograf. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem opowieści o stworze, byłem jeszcze zakochany w fotografii. Chciałem go złapać i zmusić, żeby zrobił dla mnie czarnobiały ogród. Wyobrażałem sobie, że przechadzam się po białym lesie, deptczę białą trawę. To byłoby jak żyć i oddychać w monochromatycznych zdjęciach, które tak lubią fotografowie. Ale te marzenia skończyły się bardzo dawno temu. Właśnie rozpoczynałem długą karierę. Odniosłem ogromny sukces, według wszelkich standardów. Wtedy myślałem, że sukces odnosi się, zwiększając zyski. To sposób, żeby się wybić. Przez wiele lat hołdowałem temu przekonaniu. Ale potem, pewnego dnia, dowiedziałem się, że jedno spojrzenie może zmienić wszystko. I od tamtego czasu widziałem to już mnóstwo razy. Zmagałem się z tym, ale nie rozumiałem. Na przykład wystarczyło spojrzenie innego mężczyzny, żeby żona przestała mnie kochać. Zdumiewające, że zwykłe spojrzenia, ustawione w szeregu, mogą spowodować tak wielkie szkody. Boleśnie tego doświadczyłem, a wtedy myśl o stworze, tym diable, który potrafi zmienić wszystko na białe, zaczęła napawać mnie wstrętem.

Midas pomyślał, że to niesprawiedliwe, by za wszelkie niepowodzenia winić jedno zwierzę.

—Na pewno spotkał pan moją żonę — kontynuował Hector, drapiąc końcem laski pień drzewa. — Nikt nie odwiedza Enghem, chyba że ona kogoś zaprosi.

—Tak, jest bardzo, hm...

—Co? Jaka jest, pańskim zdaniem?



W tonie Hectora brzmiał rozkaz, ale Midas nie miał pojęcia, jakiej odpowiedzi milioner się spodziewa. Odniósł wrażenie, że Hector kocha Emilianę i nienawidzi jej w równej mierze.

—Ona jest... — Zawahał się. — Hm... urocza.

—Tak. Urocza. Tęsknię za jej urokiem. Niech pan nie sądzi, że zarzucam żonie, że przestała być dla mnie urocza. Studia nad tym stworem nauczyły mnie tego. W świecie działa astrologia oczu. Spojrzenia mogą ustawić się w szeregu jak planety, a w tym przypadku zaćmienie, które z tego wynikło, pokryło wszystko mrokiem. To вина tego...

Zaniepokojony Midas patrzył, jak Hector oskarżycielsko dźgał laską wokół siebie. Ale potem się uspokoił.

—Midasie, wiesz, jak to jest, kiedy się kogoś straci?

—Tak.

—Kogoś ukochanego?

—Nie.

—Kochałeś kogoś kiedy?

—Hm...

Zmrużył oczy. Uśmiechnął się wilczo.

—Właśnie przyszła na ciebie ta chwila! Masz to wypisane na sobie.

Midas spojrział w dół, na siebie, jakby myślał, że dosłownie coś ma wypisane.

—Jeśli jesteś zakochany — ciągnął Hector, a jego głos stał się głębszy i twardszy — powinieneś zabrać ją z Enghem. Z St. Hauda's Land. Tu tkwi coś w samej ziemi.

Jakby chciał to udowodnić, wbił laskę w grunt i wyrwał kawałek darni. Pod spodem były tylko jeszcze bardziej mokra gleba i robak, który wijąc się, próbował uciec przed niespodziewanym światłem.

—Myśle... że to możliwe — odparł powoli Midas.

—Co?

Midas odchrząknął.

—Że jestem zakochany.

Hector szeroko rozłożył ramiona.

—Więc zawsze czyń tak, jak czynią zakochani.

Potem wykonał coś w rodzaju salutu, odwrócił się i odmaszerował. Midas został sam, musiał znaleźć drogę powrotną do domu, próbując różnych kierunków. Zdumiewające, jak daleko rozciągały się lasy, skoro z domu widać było tak niedużo drzew. Żałował, że nie ma kłębka nici, jak w tej ledwie zapamiętanej historii, którą opowiadał mu ojciec.

Rośliny wyrastały na rozmaite wysokości na nierównym gruncie, między nimi wiła się zarośnięta ścieżka, którą szedł. Ciężkie gałęzie skrzypiały jak maszty. Korzenie wystające z ziemi przypominały wyciągnięte ręce żebraków.

Ucieszył się, kiedy zobaczył polanę, a za nią dom. Prawie już dotarł do drzwi, kiedy usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

Carl Maulsen palił papierosa przy schodach na taras. Kiwnął ręką na Midasa.

—Co robiłeś w lesie?

—Spacerowałem.

Carl skinął głową.

—Nie wiedzieliśmy, co się z tobą dzieje.

—Światło było takie dobre...

Carl zmrużył oczy i zaciągnął się papierosem.

—Nie powinieneś tak sobie wychodzić na tyle godzin. Zaczęliśmy kucharzyć bez ciebie, chociaż Ida nalegała, żeby poczekać, aż wrócisz.

Midas potknął się o kamyk. Nie miał pojęcia, że tak długo go nie było. Gdyby teraz spotkał się z Idą, musiałby tłumaczyć się i ze swojego zniknięcia, i z nieudanego pocałunku.

—Przepraszam — powiedział.

—Nie mnie przepraszaj. — Carl zgasił papierosa na palu.

Nagle coś wybiegło spoza domu. Midas spojrział spłoszony. Zając przebiegł zakosami przez trawę i zniknął w lesie.

—Łatwo cię nastraszyć, Midasie.

—Po prostu mnie zaskoczył, to wszystko. — Włożył ręce do kieszeni.  
— Zimno tu. Wejdę do domu się ogrzać.

Carl wyciągnął do niego paczkę papierosów.

—Poczęstuj się.

Midas pokręcił głową.

—Nie bądź maminsynkiem. Nie skończyliśmy rozmowy.

Jeszcze raz zaproponował papierosa. Midas wziął jednego zsiniałymi palcami. Trzymał go niezdarnie, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio palił. Chyba jako dziecko, kiedy podwórkowi brutalnie zagrozili, że nazwą go maminsynkiem, jeżeli odmówi. Włożył go między wargi. Carl potarł zapałkę o draskę i przypalił mu papierosa. Midas wzdrygnął się na bliskość ognia i dłoni większego mężczyzny.

Carl zgrabnie wyciągnął papierosa dla siebie i zapalił go, zanim zapałka zgasła.

—Chciałem cię o coś zapytać. To dotyczy twojego ojca.

Dym z papierosa osadzał się jak szron na migdałkach Midasa.

—A o co chodzi?

—Ciekawe, czy uda mi się pobudzić twoją pamięć. Co sądzisz o jego pracy?

—To znaczy, co o niej sędzę, czy co wtedy sądziłem? Kiedy byłem bardzo małym chłopcem, oczywiście myślałem, że jest geniuszem. Mój ojciec, najmądrzejszy uczony na świecie. Ale teraz...

—Wiem, że zachowuję się bezczelnie, ale myśli twojego ojca zawsze miały na mnie duży wpływ. — Strząsnął popiół z papierosa. — Nawet za-

początkowały moją akademicką karierę. Ale twój ojciec potrafił być...  
trudny.

Midas ciężko przełknął ślinę.

—Hm. Łatwo to powiedzieć, kiedy miało się do czynienia tylko z jego  
pismami.

TLR

—Nie chcę go krytykować. — Zaciągnął się. — Mówię o tym, bo takie problemy to ostatnia rzecz, jakiej Ida potrzebuje.

—Nie rozumiem.

—To był najlepszy umysł akademicki, jaki znałem. Potrafił dokonać sekcji myśli jak lekarz dokonuje sekcji zwłok. Ale nigdy nie zauważyłem w nim choćby odrobiny romantyzmu. Nawet jego studia, którym tak bardzo się poświęcał, nie poruszały go, nie dawały ani krzty inspiracji. Naprawdę nie wiem, co trzymało twojego ojca przy życiu.

—Już go nic nie trzyma, prawda?

Carl podniósł rękę.

—Jasne. Mniejsza z tym. Widzę, że to dla ciebie zbyt bolesne.

—Owszem — przyznał Midas.

Carl się przesunął.

—Kiedyś powiedział, że osobowości człowieka w ciągu całego jego życia są jak ubranie, wkładane, żeby zachować godność albo poradzić sobie ze środowiskiem naturalnym. Stwierdził, że można człowieka w ten sposób zaskoczyć. Wyobraź sobie kogoś, kto włożył gruby płaszcz, rękawice, ciepłą czapkę i szalik, żeby uporać się z zadymką. Jego umysł i ciało są nastawione na czekające go zadanie, to znaczy na wejście w burzę śnieżną. Więc jeśli nie słyszy głosu szepczącego za nim, proszącego, żeby nie szedł, albo nie czuje lekkiego szarpnięcia za jedną z warstw ubrania, które na siebie włożył, trudno go za to winić. Po prostu dostosował się kosztem innego człowieka.

—Słuchaj, nic nie rozumiem z tej gadki o moim ojcu — powiedział Midas. Zęby zaczęły mu szczekać.

Carl szturchnął go żartobliwie w ramię.

—Tu chodzi o Idę... Ona teraz musi się skupić na tym, żeby wydobrzcć, tylko to chciałem powiedzieć. Na niczym innym, jasne? Niech ci nie będzie przykro, że zostawiłeś ją dziś rano, po prostu postaraj się, żeby nie musiała zajmować się twoimi problemami bardziej niż swoimi.

Midas czuł się, jakby połknął dzban lodu. Zaciskał pięści w kieszeniach. Oznajmił Carlowi z całą stanowczością, na jaką mógł się zdobyć, że wchodzi do domu.

TLR

MIDAS POWINIEN PRZERZUCIĆ ZDJĘCIE DO KOMPUTERA, Żeby zrobić zbliżenie białego ptasiego oka, ale siedział w rogu łóżka, w domu Stallowów i już teraz wiedział, że się nie pomylił. Oko i powieka były białe jak śnieg na dworze. To przywiodło mu na myśl dyskusję z Hectorem, dziwną, jakby ze snu. A najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że Hector zmusił go do wypowiedzenia tych słów: „Możliwe, że jestem zakochany”.

Wstał i wyjrzał przez okno. Znowu chciał uciec z tego domu. Wcześniej, w czasie lunchu z Carlem i Emiliana, kiedy jedli świeżą białą rybę z zatoki, Ida nawet na niego nie spojrzała, a on nie był w stanie wydusić z siebie słowa do nikogo. Wyglądała na wykończoną kompresami. Do stołu szła wolniej niż zazwyczaj, jakby oba szczudła — i to od Midasa, i to stare — nie dawały odpowiedniego wsparcia. Potem Emiliana wyszła, a Carl wziął Idę na bok, żeby porozmawiać z nią o czymś poważnym. Midas myślał, myśląc o rękach ojca pokrytych pianą podczas zmywania.

Teraz, w pokoju gościnnym z pobielanymi ścianami i białymi prześcieradłami, starał się pamiętać, że to Ida go tu zaprosiła. Jako wsparcie moralne. A może jako kogoś jeszcze? Jej wargi zbliżały się do jego warg... Pewnie myślała, że ją odrzucił. Teraz pragnął dostać drugą szansę, żeby pocałować Idę, objąć w pasie. Mógł sobie pofantazjować, ale nie był pewny, czy wykorzystałby<sup>7</sup> okazję, gdyby mu ją dano.

Usłyszał niecierpliwe pukanie do drzwi sypialni. Okręcił się do tyłu, przyglądził włosy przerażony, że wejdzie Ida i staną naprzeciwko siebie. Jeśli przyszła, żeby mu powiedzieć, że wszystko zepsuł i powinien wrócić do domu, cóż... nagle zrozumiał, że chce odwlec tę chwilę jak najdalej. Nie odezwał się, nie poruszył. Niech Ida pomyśli, że go nie ma.

Zapukano drugi raz i drzwi się otworzyły. To była Emiliana.

—Och, przepraszam. Nie odpowiadałeś, więc sądziłam, że cię tu nie ma. Mogę wejść?



—Hm. Oczywiście. Tak. — Zwiesił głowę. Ida nawet nie dostarczy wyroku osobiście. To dom Emiliany, więc logiczne, że to ona mu każe wyjechać. Zamknęła za sobą drzwi sypialni.

—Przyniosłam ci coś. — Wyciągnęła przed siebie podrapaną skórzaną torbę z kieszonkami i klamerkami.

Wziął i po wadze natychmiast domyślił się zawartości.

—Hm...

—To dla ciebie.

—Dziękuję... dziękuję.

Emiliana powoli usiadła na łóżku, wygładziła spódnicę na biodrach.

—Otwórz.

Rozsunął zamek błyskawiczny głównej przegródki i wyjął aparat. Stara lustrzanka, w swoim czasie musiała kosztować tysiące dolarów. W torbie grzechotały soczewki i różne elementy dodatkowego wyposażenia. Uchwyt aparatu był ze skóry węża, teraz już podniszczona.

—Należał do Hectora. Kiedyś pasjonował się fotografią. Od lat nie tknął aparatu. I nie tknie. To takie okropne marnotrawstwo, żeby ta lustrzanka tu się poniewierała. Może ty zrobisz z niej lepszy użytek.

Dziecięcy uśmiech rozjaśnił mu twarz. Midas bawił się przysłoną obiektywem, wykorzystując ostry profil Emiliany i czerń jej włosów jako cel.

—Przestań — powiedziała lekko zirytowana.

—Ja tylko... eksperymentowałem.

—Wiem. Ale... nie lubię, jak mi się teraz robi zdjęcia.

Powiesił aparat na szyi obok swojej cyfrowki, osłony obu obiektywów ocierały się o siebie nosami.

—Więc znalazłbyś czas na pogawędkę? — spytała.

Przełknął, nagle poczuł ciężar obu aparatów zwisających mu z szyi. Boże, a więc o to chodzi.

—Midasie, dlaczego nie siadasz obok mnie?

Zrobił, co mu kazała. Usiadł na miękkim materacu. Czuł jej perfumy, ostre i spirytusowe. Zapach powędrował przez płuca do wnętrza jego ciała. Midas zastanawiał się, jak wyszły zdjęcia próbne, które zrobił ofiarowaną mu lustrzanką. Musiały wiernie oddać kurze łapki, które ukrywała pod makijażem.

—Chcę pomówić o Idzie — oznajmiła.

—Zaczełaś ją leczyć.

—Tak... To może okazać się nie takie łatwe.

Pokręcił głową. Nabrał więcej optymizmu, skoro nie wyrzucono go z tego domu, ale teraz zaczął się martwić, że za chwilę dowie się czegoś gorszego.

—To może się okazać wręcz trudne.

—Dlaczego? Wyleczyłaś Saffron Jeuck.

—To było co innego. — Westchnęła. — W młodości oczywiście wyglądałam lepiej niż teraz. Parę razy zgłaszali się do mnie łowcy głów, którzy widzieli we mnie potencjał modelki. Mówię ci o tym tylko dlatego, że... Może lepiej zrozumiesz, kiedy usłyszysz wszystko. Wtedy po raz pierwszy spotkałam Carla. Od dwóch lat byłam mężatką i już wiedziałam, że Hector jest zupełnie innym typem męża, niż oczekiwałam. Wiedz, że go kochałam. I nadal Kocham. Ale ta miłość zrodziła się z wielkiej wygody, a nie z... — Znów westchnęła i odrzuciła głowę do tyłu, śmigając czarnymi włosami. Materac poruszył się pod nimi. Aparaty zastukały Midasowi na piersi. — Mówiąc otwarcie, nie uprawialiśmy seksu. Bo Hector, chociaż to mężczyzna pełen uczuć, jest bardzo szczególnym człowiekiem. Bursztyny na drzewach. Pokój zrobiony z kwarcu. Ptaszarnia z niemymi ptakami. Kocham go, Midasie, tak jak się kocha brata. Ale wtedy dla młodej kobiety, chwalonej za urodę, wygłodniałej, żeby... to robić... — Spojrzała Midasowi prosto w oczy. — Cóż, potrzebowałam czegoś więcej. I znalazłam to, kiedy spotkałam Carla Maulsena. W tamtych czasach pomyślałam, żeby nie kryć się z takim związkiem, był nadal raczej nowy. Ludzie podchodzili do tego naiwnie, nie potrafili przewidzieć nieuchronnego zaangażowania uczuciowego.

Midas skinął głową, żeby wyglądało, że rozumie, chociaż szczerze wyznania Emiliany o jej życiu seksualnym sprawiały, że dłonie go swędziały, a plecy spływały potem. Miał ochotę wyrwać się za drzwi. Już z dziesięć razy wyobraził sobie, jak rozbija okno i nurkuje w ogrodzie zasypanym śniegiem. Mimo to siedział jak przyrośnięty. Kiedy mówiła, przyglądał się topografii jej ciała. Zmarszczki dzieliły jej szyję na trzy równe segmenty. Skóra, kiedyś napięta, teraz lekko obwisła. Zapach perfum ciążył mu w żołądku jak żelazna sztaba.

—Midasie, próbuję ci powiedzieć, że ludzie popełniają błędy, kiedy czują się zniewoleni przez okoliczności.

—Ty... popełniłaś błąd z Carlem?

—Nie. Tak. Błąd polegał na tym, że z nim nie byłam. Bardzo starałam się podtrzymać jego zainteresowanie. I niestety przedstawiałam się... jako osoba bardziej interesująca, niż w istocie byłam. Rozumiesz, o czym mówię?

Siedzieli obok siebie w milczeniu, kolano przy kolanie. W ogóle nie wiedział, jaki związek ma ten wywód z Idą, kompresami i całą resztą.

—Ja po prostu... — wymamrotał, bawiąc się lustrzanką — Po prostu nie rozumiem. Nie. Hm... przepraszam.

Emiliana mocno się zaczerwieniła. Głęboko odetchnęła.

—Byłam bardzo głupia. Życiowo głupia, bo nie zaryzykowałam. Myślę o tym codziennie. I ta moja naiwność... Zawsze żyłam wygodnie. Rozumiesz?

Z uprzejmości nie pokręcił głową.

—Czasem zastanawiam się, czy nie jestem przezroczysta. Czuję się... krucha i nierealna.

Przerwała, przyglądała się jego twarzy. Próbował przybrać mądrą i współczującą minę.

Westchnęła i strząsnęła włosy z ramion.

—Powiem to inaczej. Czuję się jak do połowy wywołana fotografia. Można się domyślić, co przedstawia, ale nie ma głębi.

To zrozumiał.

—Nie sędę, żebym była realna. Bardzo o to walczyłam. I kiedyś, dawno temu, pojawił się Carl. Wystarczyło jedno jego spojrzenie. Ostatnia ekspozycja na światło, którego zabrakło fotografii. Kiedy teraz o tym mówię, brzmi to żałośnie, ale wtedy uzupełniało szczegóły, tworzyło nowe głębie, o których istnieniu nie wiedziałam. Uważałam, że za to powinnam być mu bezgranicznie wdzięczna i nigdy nie mogę go zawieść. Nadal jest mi bardzo trudno sprawić Carlowi zawód. Więc... ciągle się zastanawiasz, jak to się ma do biednej Idy, kompresów i tak dalej.

Już chciał powiedzieć tak, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Carl.

—Dzień dobry — rzucił. Czekał, jakby ich obecność wymagała wyjaśnienia.

—Po prostu gawędziliśmy — wytłumaczyła Emiliana. — A Midas robił mi zdjęcia swoim nowym aparatem.

**IDA SIEDZIAŁA SAMOTNIE PRZED KOMINKIEM** w salonie Emiliany. Zagłębiła się w fotel, na kolanach trzymała książkę. Za nią trzaskały płomienie. Łydki, które nadal oblekała skóra, a w środku miały kości, były teraz równie pozbawione czucia jak samo szkło. Nad kolanami, gdzie ciało nie zostało sparaliżowane, ale wsączyła się trucizna, odczuwała ból taki jak przy głębokim oparzeniu. Zebrała odwagę, żeby jeszcze raz zerknąć na zagnioną skórę. Niższe partie ud przypominały udźce u rzeźnika. Kolana były opuchnięte, słoniowate. Pomyśleć tylko, że to się cofnęło od rana, kiedy zadarła sukienkę i patrzyła, jak Emiliana przywiązuje nitkami kompresy z podgrzanych meduz. Ostry ból pojawił się natychmiast, jakby wbito jej igły we wszystkie komórki skóry. Łzy poleciały tak obficie, że już po chwili ich zabrakło i przy mruganiu piekły ją oczy. Zacisnęła powieki. Żałowała, że nie ma Midasa, bo mogłaby ścisnąć go za rękę, kiedy rozpałił się najgorszy ból. Tak sobie zaplanowała poprzedniej nocy. Pocałunek utorowałyby do tego drogę.

Wzory na ścianach pokazywały się i nikły, zdane na łaskę ognia na kominku. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

Kiedy zobaczyła, jak wchodzi Midas, znowu podniosła książkę. Podszedł na palcach i usiadł na poduszce naprzeciwko Idy. — Czy to dobry czas na rozmowę?

Nic nie powiedziała. Kątem oka zobaczyła, że oblizwał sobie wargi. Będzie chciał wyrzucić z siebie usprawiedliwienia za to, że się przestraszył, kiedy chciała go pocałować. Te wszystkie bzdury o dziedzicznej fobii na dotyk.

—Więc, hm... — wydusił. — Co czytasz?

Roześmiała się szorstko.

—Nie wiem. Kiedy wszedłeś, po prostu wzięłam książkę, żeby cię zignorować.

—Aha. Hm.

—Więc kim jesteście, Midasie? Bliskimi przyjaciółmi? Kandydatami na kochanków? Robisz się nerwowy przy takiej rozmowie, co? — Zatrzasnęła książkę. — Widzisz, nie chcę być okrutna, ale masz więcej czasu niż ja, żeby zająć się swoimi kompleksami. Muszę wiedzieć, na czym stoimy.

Ogień trząsał. Przestraszyła się, że powiedziała za dużo, zalała strumyczek jego słów rzeką gadaniny. Mówiła dalej.

—Czy nie możesz... napisać tego albo coś? Albo zwyczajnie... powiedzieć to prosto z serca.

Broda mu zadrgała, próbował coś z siebie wydusić.

—Nie skupiaj się tak bardzo na słowach. Po prostu wyrzuć to z siebie.

—Ja... przepraszam.

Uderzyła pięścią w ramię fotela.

—Do cholery, Midasie, już ci przebaczyłam. To nie ma znaczenia. Co z nami?

—Ja nie byłem... ja chciałem... — Prawie zgiął się wpół.

Zauważyła drugi aparat na jego szyi. Jakby ciągnął go w dół.

—Skąd to masz? — Wskazała głową.

—Od... Emiliany. Robiłem... robiłem jej zdjęcia.

Nagle poczuła w przetyku nieprzyjemną wilgoć, jakby źle połknęła ostrzygę. Uczucie sięgnęło żołądka i jelit, zeszło poniżej kolan i zniknęło w odrętwieniu. Midas wyglądał na zaniepokojonego. Wcześniej mówił, że chce jej zrobić zdjęcia, a ona unikała tego tematu. Wiedziała, jak teraz wychodzi na fotografiach, i mierzyła ją myśl, że zostanie uwieczniona. Mimo wszystko schlebiało jej, że Midas chce ją sportretować. Odczytała to jako znak, że jest nią zainteresowany. Idiotka. Tak, idiotka. Odwróciła od niego wzrok. Oczywiście, nigdy nie obiecywał, że nie będzie robić zdjęć nikomu innemu. Zachowała się głupio, ale była taka zmęczona i tak bardzo bolały ją nogi.

—I... Ida?

—Do kurwy nędzy, Midas. Jeśli między nami nic nie ma, to co ty tu jeszcze robisz?

Umknął z pokoju, kłaniając się usłużnie.

—Midas, wracaj! — Ale nie wrócił. Wstała i ruszyła za nim, ale jedno szcudło zaplątało się w gruby dywan i runęła jak długa. Ręce poleciały jej do przodu — w koszmarach ćwiczyła ten upadek tysiące razy. Wykrzywiła twarz, miała czas, żeby przypomnieć sobie skoki ze spadochronem i na bungee. Dobrze, że nie huknęła o podłogę stopami. Gruby dywan stłumił uderzenie w głowę, ale poczuła twardość podłogi. Szyja wykręciła się jej ze strzyknięciem. Kregosłup zachrząścił. Powoli podciągnęła nogi i wtuliła twarz w dywan. Próbowała w jego zapachu i miękkich frędzlach ukryć ból. Nic się nie stało.

Chciała, żeby Midas wrócił. Myślała, jak by to było, gdyby leżała na nim. Czy jego włosy byłyby takie miękkie jak frędzle? A gdyby się z nim kochała, czy jego serce biłoby gorączkowo jak wróblowi, a skóra zrobiłaby się śliska jak u ryby? Mało prawdopodobne. Powinna o tym zapomnieć. Midas nie wróci, żeby pomóc jej wstać.

Mężczyźni i te ich problemy... nie rozumiała tego. Midas pracowicie stawiający czoła emocjonalnym wyzwaniom. Henry — niedostępny i odizolowany od ludzi. Carl, z jego obietnicami kuracji i obrony. Z kominka wyleciał kłęb dymu. Gdyby chciała, mogłaby włożyć stopy w ogień i nic by się jej nie stało, ale teraz nie zdołałaby nawet podskoczyć w miejscu... Rano, ledwie się obudziła, od razu dokładnie przyjrzała się siniakowi na nodze. Zmienił się z szarego na przezroczysty. Wyglądał jak sadzawka czystej wody w białym krajobrazie.

Została okrojona, sparaliżowana, arterie miała przecięte. Dzięki Bogu, że robiła to, co robiła, kiedy jeszcze mogła. Brodziła w Gangesie, w Alpach czuła, jak puszysty śnieg wypełnia jej usta, głęboko oddychała, żeby złapać resztki tlenu w wysokich górach. Pływała. Kiedyś.

Pragnęła cierpliwie wysondować Midasa, powoli wejść w jego emocje, ale brakowało jej na to czasu. Mogła czekać w nieskończoność, aż on wróci. Mogła czekać w nieskończoność na jego niepewne uczucie.

I jej stopy... te kruche kajdany, które ciągnęła za sobą. Czuła ich pustkę. Gdyby z wściekłości chciała zgiąć palce u nóg... nic by się nie stało. Jej



system nerwowy gasł gdzieś poniżej kostek. Spojrzała do tyłu, na buciory. Stare policyjne buty ojca. Pamiętała własne — śliczne buciki do tańca i uwalane w błocie trapezy turystyczne. Zostawiła je na kontynencie, zapakowane w pudła, owinięte bibułą.

Zaczynała się z tym godzić: pewne rzeczy są już za nią. Życie stanie się teraz przygodą z umysłu, a może jeszcze jakiejś części jej ciała, do tej pory nienaruszonej gdzieś we wnętrzu.

Drzwi otworzyły się powoli ze skrzypieniem.

Bezwiednie wyciągnęła rękę.

—Midas, dzięki Bogu, wróciłeś... Och.

—Cholera jasna, Ido, co się stało?

Carl podbiegł. Skrzywiła się, kiedy jego grube ramiona wśliznęły się pod jej pachy. Ostrożnie ją posadził. Ukucnął, przyciągnął jej głowę do piersi. Słyszała, jak pod koszulą szybko bije mu serce.

—W porządku — zapewniła sztywno, próbując się odsunąć.

Nie puścił, nic nie mówił. Prawie niezauważenie wzmocnił uścisk. Gorąco jego dłoni przenikało przez jej bluzkę.

Odepchnęła go, robiąc głęboki wdech.

—W porządku — powiedziała spokojnie, uniosła się z trudem i usiadła na fotelu.

Pokiwał głową, nie patrząc na Idę.

—Wybacz, Carl, ale wołałabym zostać sama. Poszedł w stronę drzwi. Zatrzymał się w progu.

—Dokąd wybrał się Midas?

—Co?

—Właśnie widziałem, jak się pakuje. Wyjechał.

Oparła głowę na dłoniach. Musiała bardzo się wysilić, żeby Carl ją usłyszał.

—Wolałabym zostać sama — powtórzyła. Cicho zamknął za sobą drzwi.

TLR

**POWIETRZU WIROWAŁY MILIONY PŁATKÓW**, opadały powoli jak oceaniczny osad. Śnieg wiał nad drogami St. Hauda's Land, gromadził się na krzakach. Ptak z szerokimi skrzydłami unosił się na prądach powietrznych jak płaszczka. Midas nie spieszył się w drodze powrotnej — miał złe przecucie, że w domu znajdzie wspomnienie Idy — więc wybrał długą trasę krajobrazową.

Zatrzymał się na małym parkingu przy punkcie widokowym wychodzącym na płytką dolinę, poszatowaną na kwadraty kamiennymi murkami. Obok płynął strumyk. Po chwili Midas zdjął buty i skarpetki i zanurzył palce nóg w zimnym prądzie. Coś go ukąsiło, odskoczył. Z palucha zwisała mu mała pijawka, ssła krew. W samochodzie miał zapalniczkę, więc usiadł na masce i przypalił pijawkę, żeby odpadła. Pijawka zmarszczyła się i zaczęła paskudnie śmierdzieć. Przytrzymał jej przypalone ciało w rękę. Chciał zrobić zdjęcie, ale gdy tylko dotknął aparatu, zrobiło mu się niedobrze. Ogarnęła go nagła odraza, zdjął torbę z ramienia i zamknął aparat w bagażniku. Potem schylił się nad krzakiem, z rękami na kolanach. Czuł, że zaraz zwymiotuje. Nic z tego nie wyszło. Jechał do domu, słuchając informacji o sytuacji na drogach i banalnych piosenek miłosnych z lat siedemdziesiątych. Ogrzewanie mruczało, śnieg padał coraz gęściej. Płatki śniegu przylepiały się do szyby i wędły jak rozgwiezdy.

Wrócił o zmierzchu. Usiadł przy stole z kubkiem kawy i kieliszkiem czerwonego wina. Zakłopotany spędził pół godziny w sklepie z alkoholem, próbując wychwycić różnice między wszystkimi wystawionymi butelkami. Smak był podły, tak jak się spodziewał, ale i tak wypił wino. W radiu wybitny aktor czytał *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Właśnie dotarł do szczęśliwego zakończenia. Lew odzyskał odwagę, Blaszący Drwał serce, Strach na Wróble rozum.

Midas zamachnął się i stracił radio ze stołu. Leżało na posadzce, tracąc zasięg. Głos aktora zrobił się bełkotliwy, przeszedł w niezrozumiałe charkot.

Midas wiedział, że nie potrafi być z ludźmi. Odkąd spotkał Idę, powtarzał to sobie jak mantrę, kiedy leżał w bezsennej nocy w łóżku i myślał o niej. Najwyraźniej nie był zdolny do nawiązywania stosunków towarzyskich. I co ma w zamian? Spojrzał na aparat. Musiał go bezwiednie wyjąć z torby, bo lustrzanka stała na stole z dyndającą osłoną obiektywu. Midas wyobraził sobie, że umarł, że go rozcięto i wszystkie kości, mięśnie, arterie i naczynia włosowate prowadziły do jamy w klatce piersiowej, gdzie zamiast serca był aparat fotograficzny.

Chwycił pasek i rzucił jak radio. Aparat odbił się od lodówki i z brzękiem wylądował na kafelkach. Midas wypił wino, dolał do kieliszka i położył głowę na stole. Wino było mocne: z bliska kółka po kawie orbitowały mu przed oczami. Zdołał odzyskać ostrość widzenia, ale kiedy podniósł wzrok, wydało mu się, że jest na rondzie, a ściany kręcą się wokół niego razem z tymi wszystkimi zdjęciami, brudnymi odciskami palców z przeszłości, czarno-białymi wspomnieniami. Jęknął i zamknął oczy, ale wspomnienia nie zniknęły. Ojciec miażdżący w dłoni pancerze ważek, płacząca matka z pękiem poszarpanych róż na kolanach, stado meduz unoszących się w wodzie wokół niego, Ida wchodząca do kwaciarni z mokrymi włosami przylepionymi do głowy.

**KTOŚ PUKAŁ DO DRZWI, DZWONEK DZWONIŁ RAZ PO RAZ.** Midas mocno zamrugał i wstał. Zatrzymał się w korytarzu między kuchnią a hollem. Dzwonek i pukanie nie ustawały. Odwrócił się, popatrzył na pustą butelkę po czerwonym winie leżącą na kuchennym stole. Puk, puk, puk. Trzymając się za głowę, poczłapał do drzwi. Oślepiająco jasne światło wypełniło korytarz. Zajął mu chwilę, zanim dostosował wzrok.

—O kurczę! Midas, miałeś ciężką noc.

—Cześć.

—Jest tu gdzieś ta twoja dziewczyna?

Pokręcił głową. Denver stała obok ojca i uważnie przyglądała się Midasowi. Szalik sięgał jej aż do nosa. Naciągnęła rękaw na palce, w których trzymała ostrokrzew. Włosy rozjaśniał jej mały mak arktyczny.

—Aha, rozumiem — powiedział Gustav, zaglądając do środka. — Co się stało? I co się z tobą dzieje? — Wszedł. — Trochę od ciebie jedzie alkoholem. Na pewno dobrze się czujesz?

—Ja... zawałem coś. Miałem wypadek. Wejdz. Zimno dzisiaj.

Wkrótce Midas siedział i przykładał sobie do głowy torebkę lodu, Gustav szperał po kuchni, a Denver przyglądała się temu z pewnym rozbawieniem.

Gustav zamknął lodówkę i wziął się pod boki.

—W całym domu nie masz zieleniny. Owoców też. Co ty jesz?

Midas wskazał pusty kubek po kawie.

—No tak. Zrobię ci lunch. Głowa do góry. To zajmie dziesięć minut.

Denver zaczęła się wiercić na krześle.

—Dokąd idziesz?

—Kupić warzywa. Zaraz wracam. — Przyjaciel wszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Denver westchnęła, wyciągnęła ręce przez stół i złapała Midasa za palec. Na dworze było chłodno, dłonie nadal miała zimne. Midas próbował się cofnąć, ale ścisnęła go mocno. Czasem miło było czuć dotyk Denver. Tyle czasu z nim spędzała, że nie postrzegał jej jak obcą osobę. Zastanawiał się z przykrością, czy kiedykolwiek dojdzie do takiej zażyłości z Idą.

Denver jeszcze mocniej ścisnęła jego palec.

—Oj, oj, Den, oj.

—Zakochałeś się w niej? Znowu spróbował wyrwać palec. Chwyliła go mocno i wykręciła.

—Aj.

—Była dla ciebie okropna? Jeśli tak, to jej nienawidzę. Przełknął.

—Właściwie to chyba ja byłem okropny dla niej.

—Powiedziałeś coś wstrętnego o jej stopach?

—Nie. — Znowu przełknął. — Denver, dlaczego...

—Nie pamiętasz? Widziałam tę samą fotografię, co ten straszny człowiek.

—To był... tylko fotomontaż.

—Nikomui nie pisałem ani słówka.

—Dziękuję.

Nie ścisnęła go już tak mocno. Nie cofnęła palca.

—Twój aparat leży na podłodze.

—Rzuciłem go tam.

—Dlaczego?

—Pokłóciliśmy się.

Puściła go, a on przez sekundę chciał jeszcze czuć jej zimną rączkę. Podniosła aparat i położyła go na stole.

—Dawno nie pokazywałeś mi nowych zdjęć. Pokaż teraz. Pokręcił głową. Zaczęła się bawić guzikami cyfrowki. Siedzieli

w milczeniu, kiedy przeglądała katalog zdjęć.

—Nie ma żadnego z Idą — zauważyła. Midas potarł czoło.

—Wszystkie były brzydkie. Nie udało mi się ich porządnie zrobić — westchnął.

—I wyrzuciłeś je, bo ci się nie podobały?

—Właśnie.

—Myślałam, że byłeś w niej zakochany.

—Miłość... tego się nie zrozumie, kiedy się dorośnie, Den. To jest jakby... wspomnienie po czymś, co powinno być. Z opowiadań. .. i... nie wiem, czy naprawdę można się zakochać.

—Ty mogłeś — stwierdziła. — Ty i paru innych. Ty jesteś taki jak ja. Masz to.

—Co mam?

—Rządy. Nad tymi kawałeczkami z tyłu głowy. I tutaj... — Dotknęła brzuszka. — Gdzieś tutaj.

Mocno objął się ramionami. Nie wydawało mu się, żeby rządził czymkolwiek.

Wrócił Gustav i rzucił torby na blat.

—Sałata, pomidory, ziemniaki, szynka w miodzie. Zrobię ci sałatkę i ziemniaki w mundurkach, bo ty, hm... Cholera jasna, Midas, tylko spójrz na siebie.

Nie wyznał Gustavowi całej prawdy: tego byłoby za wiele. Powiedział tylko tyle, żeby przyjaciel zrozumiał, co zaszło w relacjach z Idą: o niespełnionym pocałunku i nieudanych wyjaśnieniach. I jeszcze o ucieczce, i długiej jeździe do domu. Kiedy opowiadał, Denver rysowała, jakby myślami była gdzie indziej. Midas czekał na wyrok skazujący.

Gustav rozsiadł się w krześle. Opowieść wyraźnie zrobiła na nim wrażenie.

—Nie wierzę, że pojechałeś do domu Hectora Stallowsa. Czy rzeczywiście ma tyle samochodów, jak mówią?

—Gustav, przestań, to dla mnie koszmar.

—Przepraszam, kolego, ale czy ty mnie rozumiesz? Hm... Jesteś zwykłym tchórzem. I wiesz o tym. Ja też. Nie znosisz zwarcia, wolisz się zamknąć w sobie niż walczyć. Nawet teraz nie patrzysz na mnie.

Midas zerknął na niego i znów odwrócił wzrok.

—Cholera, masz złote serce i myślę, że Ida to widzi. Musisz teraz wziąć dupę w troki, wrócić i szczerze, bez migania się, przeprosić za to, co zrobiłeś źle. A myślę, że tego nie ma aż tyle, ile sobie wyobrażasz. Ona rozumie, że mówisz na poważne. Chyba nie utnie ci głowy, chociaż powinieneś być przygotowany na parę szczerych słów.



—Rano do niej zadzwonię.

—Nie. Zadzwon teraz. Jeśli uważasz, że warto wszystko naprawić, zrób to, zanim ona zmieni zdanie. Czas nie zaczeka na ciebie. Wiesz dobrze, o czym mówię.

Tak, o Catherine. O zamrażniętych jeziorach i sanitariuszach. O dziurze w lodzie pod jej stopami. O tym, jak próbował zachować spokój, kiedy tłumaczył małej córeczce, że jej matką zaopiekują się teraz narwale i anioły wodne.

O łydkach, które robią się twarde jak emalia tam, gdzie przed tygodniem były gładkie i różowe.

—Masz rację — westchnął Midas. — Ale nie mam do tego serca.

—Musisz bardziej się postarać.

—Słuchaj, Gustavie, jestem jednym wielkim kłębkim kompleksów. Po pierwsze, ledwie potrafię wydusić z siebie pełne zdanie. Po drugie, do cholery, we wszystkim, co robię, widzę ojca i nienawidzę się za to. Po trzecie, za każdym razem, kiedy kogoś dotykam, mam wrażenie, że ciało ciąży mi jak żelazo.

—W porządku. A więc po kolei. Po pierwsze, tę krótką listę wad przedstawiłeś całkiem klarownie. Po drugie, twój ojciec nie żyje. Jesteś sobą. Nie kręć głową... wrócimy do tego. Po trzecie, hm, wstań.

—Słucham?

Gustav odsunął krzesło, podniósł się i pokazał, żeby Midas zrobił to samo.

—Den, proszę cię, wyjdź na chwilę do innego pokoju. I zamknij drzwi. Przepraszam.

Nadašana zrobiła, co kazał. Gustav podwinął rękawy.

—No, dalej, Midasie. Powinienem to zrobić już wiele lat temu. Mam zamiar raz na zawsze cię wyleczyć. Wstawaj.

Midas odsunął krzesło i dźwignął się ospale.

—Połóż aparat na stół.

—Dlaczego?

—Bo tak.

Midas sapnął z irytacji i odłożył cyfrówkę.

—Co teraz?

Krzyknął, kiedy Gustav przewrócił go na twardą posadzkę. Zadygotał, uderzył głową o kafelki. Krzyczał, kiedy dostawał cios za ciosem w brzuch. Wrzeszczał, ale Gustav nie przestawał. Usiadł na nim okrakiem, złapał go za ramiona, podciągnął i rąbnął nim z całej siły o posadzkę.

—Walcz, ty cipo! — sapnął, bijąc Midasa po twarzy.

Midas pchnął go żałościwie słabo, ale Gustav był za ciężki. Kolejny piekący policzek i trzepnięcie w nos. Midas czuł krew. Chwycił Gustava za nadgarstek, kiedy znów miał dostać w twarz. Był za słaby, żeby zablokować cios, więc wbił mu paznokcie w skórę. Gustav zawył z bólu i odskoczył.

—Baba! — ryknął i kopnął go w żebra.

Midas przetoczył się, żeby uniknąć kolejnego kopniaka, oburącz złapał Gustava za stopę i przekręcił gwałtownie. Gustav upadł na podłogę i mocno wyrznął głową o kafelki. Kropelki krwi wystąpiły mu na czoło.

Midas usiadł obok niego.

—Czy... nic ci się nie stało?

—Mhm...

—O Boże, przepraszam.

Gustav zamachnął się na niego wściekle i rąbnął go w klatkę. Midas mocno chwycił go za ręce i podniósł nogi, żeby kolanami zasłonić się przed kopniakami. Zaczęli się mocować jak szaleni, tarzali się po posadzce, przewrócili krzesło. Jedną ręką Midas trzymał rękę Gustava, drugą naciskał mu na twarz, żeby się uwolnić. Czuł gumowatą skórę nozdrzy, wydęte wargi i zarost kłujący go w dłoń. Ostatkiem sił wyrwał się i całym ciężarem runął na zaskoczony Gustav. Poczł uderzenie we wszystkich stawach, ale Gustav przewrócił się do tyłu i Midas znalazł się na wierzchu,

przyciskając jego gruby brzuch swoimi chudymi kolanami. Naparł z całych sił, żeby utrzymać ręce Gustava na posadzce.

Gustav wydał zdławiony chichot i oblizwał rozciętą, górną wargę.

—Dobra, dobra — wyrzeził. — Wygrałeś.

Midas jęknął i wstał. Gustav leżał, dyszał i się śmiał. Midas obejrzał swoje ciało po walce. Skóra nabrała szczególnego, rumianego koloru, ubranie miało pogniecione i porozpinane.

Gustav stęknął i usiadł.

—Jezu. Czego ja dla ciebie nie robię.

—Dzięki. To naprawdę... pomogło. Głupie, nie?

—Gdybyś miał dotknąć Idy, postaraj się zrobić to delikatniej. Jesteś mi winien przysługę, pamiętaj. Na początek pozwól skorzystać ze swojego prysznicza i nalej trochę zimnego piwa, jeśli nie masz niczego mocniejszego.

Gustav otworzył drzwi do kuchni. Denver kuciała przy dziurce od klucza i przygryzała palce, żeby się nie roześmiać. Midas poczerwieniał, głowę miał jak plastikową torbę pełną krwi.

Denver postawiła krzesło, które przewrócili, i wspięła się na nie. Otworzyła szkieletnik na kolejnym rysunku przedstawiającym narwala.

—Wiesz — mruknął Midas, wydmuchując resztki krwi z nosa. — Twój ojciec to wariat.

Zaczęła rysować.

—On się martwi. Mówi tylko o tobie.

—Od kiedy?

—Odkąd spotkałeś Idę. Powiedział... — Zaczęła żuć koniec ołówka, próbując sobie przypomnieć, wreszcie zaczęła udawać ton ojca. — „On straci największą szansę swojego życia”.

—Tak powiedział?

Patrzył, jak Denver rysuje. Dodała narwalowi uzdę i lejce prowadzące do otwartego powozu w kształcie muszli. Zaczęła rysować królową mórz.

—Den... jaki jest twój tata? Odkąd wrócił od babci?

Przerwała na chwilę, przygryzła ołówek. Słyszał, jak małe ząbki miażdżą drewno.

—Wrócił z całą masą rzeczy mamy. Niektóre przejrzelśmy razem. — Wyciągnęła z języka kawałek drewna z ołówka.

—Wiem, jak to jest. Mój ojciec zostawił mnóstwo pudeł.

Nie dokończyła królowej; nie myśląc, zaczęła stawiać kropki na papierze — bańki i ziarenka piasku na dnie morza.

—Wcale się nie smuciłam. Tak śmiesznie... czułam się szczęśliwa. W pudełkach znalazłam rzeczy mamy, jak była małą dziewczynką. Piękne lalki i takie tam. Są teraz na moim łóżku razem z innymi. Idę spać z tą, którą mi dała, i z tą, którą sama kiedyś miała. Dziwne, co nie? Jej lalka nie jest starsza od mojej.

Przeżuła z centymetr ołówka.

—Midas?

—Tak?

—Mama teraz na mnie patrzy. Czy twój tata patrzy na ciebie?

Wzdrygnął się na samą myśl.

—Tak mi się wydawało. Przez cały czas.

**KIEDY TYLKO WYSZLI, MIDAS SIĘ SPAKOWAŁ.** PO półgodzinie na chwilę wróciła Denver. Przyniosła wazon pełen czerwonych róż, które Gustay osobiście wybrał dla Idy.

Midas usiadł. Napawał się wonią płatków, nalewając sobie resztkę wina. Postanowił zjeść talerz sałaty z serem przyrządzonej przez Gustaya. Chociaż po pijaństwie z poprzedniego wieczoru nadal czuł się fatalnie, potrzebował czegoś, co dodałoby mu odwagi.

Po winie serce zaczęło mu bić mocniej. Odwaga się nie pojawiła, bo i nie mogła, gwarantowało to jego DNA. Próbował pomyśleć o najodważniejszym czynie ojca. Samobójstwo? Spłodzenie syna? To było pytanie. Matka rozpaczliwie pragnąca miłości i ojciec, który unikał choćby przelotnego kontaktu, uprawiający seks.

Popatrzył oskarżycielsko na czerwone wino, odsunął je i podszedł do telefonu. Analizował czas spędzony w Enghem. Uderzyła go myśl o Emilianie: o tym, jak się zachowała w sypialni dla gości, kiedy przyszła ofiarować mu lustrzaną. Jakby chciała wyznać coś na temat kuracji. Był zbyt oślepiały, żeby wtedy to zauważyć.

Wykręcił numer Idy, odebrała po paru sekundach.

—Ido! To ja.

Krótką cisza po drugiej stronie linii, potem męski głos.

—Przepraszam, to nie Ida.

—Och, Carl?

—Tak. I nie sędzę, żeby Ida chciała z tobą rozmawiać.

—Carl, ja... nie wydaje mi się, żeby ta kuracja dała coś dobrego.

—Zdążyłeś to już jasno przedstawić.

—Podasz słuchawkę Idzie?

—Raczej nie.

—Proszę.

—Nie. Zdecydowanie nie.

Carl się rozłączył. Midas znów próbował się dodzwonić, ale nikt nie odbierał.

Wrócił smutny do kuchni, czuł się odrzucony. A więc nie chciała z nim rozmawiać.

Na stole leżał rysunek Denver — kareta ciągnięta przez narwale, a zupełnie obok niedokończona królowa. Ponuro pomyślał o zamrożonym ciele Catherine, kiedy wyciągali je z morderczej wody.

Nie mógł zrezygnować.

Bardzo żałował, że nie została już ani kropla wina.

Musiał znowu zobaczyć się z Idą, żeby wyjaśnić sprawę.

Zadzwoił do Emiliany Stallows, modląc się, żeby nie odebrał Carl. Po dłuższym czasie usłyszał głos Emiliany.

—Kto mówi? — zapytała.

Midas za bardzo się bał przedstawić, żeby natychmiast się nie rozłączyła.

—Teraz rozumiem, co próbowałaś mi powiedzieć — oznajmił bez żadnego wstępu.

—Och...

— To nie zadziała, prawda? Nie opowiedziałaś nam całej historii Saffron Jeuck.

Minęło trochę czasu, zanim się odezwała. Wydawało mu się, że słyszy skrzypienie Enghem Stead.

—To nie zadziała — przyznała. — Tylko odwlecze sprawę.

—Na jak długo?

—Nie wiem.

—A w przypadku Saffron?

—Midasie, zrozum, kiedy Saffron wyjechała, wszyscy myśleliśmy, że kuracja poskutkowała.

Tak mocno okręcił wokół nadgarstka sznur od słuchawki, że odciął dopływ krwi.

—Na jak długo?

—Na krótko.

—Przyjeżdżam, żeby ją zabrać.

Złapał torbę, kluczyki do samochodu i wyszedł. Dopiero w połowie drogi do Enghem przypomniał sobie, że zostawił róże na stole w kuchni.

TLR



**CARL PALIŁ PAPIEROSA NA DREWNIANYM TARASIE** Enghem Stead, kiedy Emiliana podeszła do niego na paluszkach. Mgła otoczyła kokonem wzgórze w głębi wyspy. Wcześniej chmury stały nisko i nieuchronnie opadały na szczyty wzgórz. Później przetoczą się nad Enghem-on-the-Water i popłyną na północ, nad cichym oceanem.

Emiliana podeszła bliżej i oparła łokcie o poręcz obok niego. Patrzyła na szary dym z papierosa. Wisiał w zimnym powietrzu jak nić.

—Carl.

Strzepnął popiół na kamyczki pod tarasem.

—O co chodzi, Mil?

Głęboko zaczerpnęła powietrza.

—Wiesz... było tyle zajęć, odkąd przyjechaliście, że ledwie nadażalam.

—Wczoraj rozmawialiśmy do późna.

—Tak. Ale...

Zaciągnął się długo, chrapliwie i zgasił papierosa na poręczy. Popatrzył na nią z ukosa, jakby odwrócenie głowy kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Ale i tak wiedziała, że przenika ją wzrokiem na wylot. Zawsze umiał to robić. Właśnie to przede wszystkim przyciągnęło ją do Carla. Wtedy, kiedy spotkali się po raz pierwszy, kiedy była młoda, świeżo po ślubie i już żałowała tego kroku, jego spojrzenie przepaliło drogę do niej nad barierami twarzy i głów i wbiło się w podstawę jej kręgosłupa. Kochał Freyę. Wyznał to na początku ich krótkiego romansu. Wtedy myślała, że może o niego walczyć.

—Ukryłam przed wami parę spraw.

Uniósł brwi. Nie była w stanie wytrzymać tego spojrzenia. Patrzyła na jego palce na drewnianej poręczy, jak zwijają się w pięść. Odchrząknęła.

—O Saffron Jeuck.

Nie zareagował. Skupiła wzrok na płachcie mgły, która szybowiała nad najbliższymi wzgórzami i zamazywała odległe niziny. Mrugnięciem strząsnęła z rzes łzy. Pomyślała, że Carl już nigdy jej nie odwiedzi i że to niesprawiedliwe. Był tutaj, bo chciał pomóc skazanej na zagładę dziewczynie, opętany myślą o zmarłej kobiecie. Przez całych dwanaście lat małżeństwa pragnęła z nim uciec.

—Saffron nie żyje — powiedziała.

Ośmieliła się na niego spojrzeć. Wysunął dolną szczękę, jakby zabolą go po uderzeniu. Minęła wieczność, zanim coś powiedział. W niższych partiach poranych bruzdami pól między Enghem-on-the-Water a wzgórzami pojawiły się opary, jakby główna masa mgły tłoczyła je podziemnymi rurami.

—Jak? — zapytał wreszcie.

—Samobójstwo.

—Nie szkło?

—Zamieniała się w szkło, więc tak.

Zamknął oczy, stał nieruchomo i przyswajał to, co usłyszał. Zanim po długiej przerwie znów się odezwał, mgła podeszła bliżej, wymacywała wyjście z rowów jak stary, ślepy stwór, który wypełził na żer, połyka głązy, palcami toruje sobie drogę w trawie, kuca nad ospałym strumykiem.

—A to nowina — skwitował Carl.

—Nie chciałam, żeby sprawy tak się potoczyły. Wydawało mi się, że w końcu Ida może wyzdrowieć, chociaż Saffron się nie udało. To nieprawda, że kuracja w ogóle nie pomogła. Na całe miesiące zatrzymałam rozrost szkła.

Wbijał palce w drewno poręczy. Kostki u rąk miał białe. Poza tym był bardzo spokojny.

—To zniszczyło jej ciało. Stało się martwe, ale nie bezsilne. Twoje nagranie pokazało pręgi i oparzeliny.

Gwałtownie skinęła głową. Wzgórza zaczęły znikać za zgęstniałym powietrzem.

—Coś jeszcze?

—Chcę, żeby to przebiegło inaczej. Nie życzyłabym nikomu tego, co stało się z Idą. Carl, powinieneś wiedzieć, że możesz być...

—Coś jeszcze o Saffron Jeuck?

Przełknęła.

—Słyszałam, że przed samobójstwem proces postępował bardzo szybko. Niewiele więcej wiem. Kiedy stąd wyjeżdżała, myślałam, że terapia skutkuje. Dopiero potem się dowiedziałam, że coś poszło nie tak.

Mgła kłębiła się teraz, rozrastała błyskawicznie, jakby ziemia zrobiła długi wydech w chłodny dzień.

—Zejdź mi z oczu — wycedził.

Zbiegła z tarasu i szybko ruszyła po roztrzaskanej kamionce żwiru i kamyków. Uciekała od niego w panice, jej buty przemiękły i zaczęły tonąć w gąbczastej ziemi. Szła dalej, nie oglądała się za siebie, aż zorientowała się, że idzie pod górę, a wokół wszędzie jest mgła. Zatrzymała się gwałtownie. Jak on śmie wyganiać mnie z mojego własnego domu? — pomyślała. Tylko że... tak naprawdę to był dom Hectora, a okolica nie należała do niej bardziej niż do Carla. Odwróciła się w stronę Enghem Stead, chociaż we mgle nie była pewna, czy wybrała odpowiedni kierunek. Przy następnym kroku noga zapadła się jej w oblodzonej kałuży. Znowu się zatrzymała. Nie chciała wracać. Odgarnęła czarne włosy z twarzy i zaczęła powoli oddychać, żeby się opanować. Znajdzie sobie inne miejsce.

**MGLY ROZWINĘŁY SIĘ Aż po ENGHEM STEAD.** Opary podeszły tak blisko tarasu, że Carl prawie nie widział świata za balustradą.

Myślami i tak był gdzie indziej.

Dopiero po wyjeździe Freyi zrozumiał, co to miłość.

Kiedy była u siebie, w domu, spędzał ponure noce na uniwersytecie, wykreślał ją z pamięci za pomocą metafizyki, pociągowych kryminałów, herezji gnostyckiej i miękkiej pornografii. Potem przyszedł nokaut w postaci ukończenia studiów. Freya pojechała w podróż po Bliskim Wschodzie, Carl wdrażał się w karierę naukową. Czasami nie sypiał całymi tygodniami, bo nie był w stanie znieść nieobecności Freyi. Wyczerpanie dawało znać o sobie w najmniej sprzyjających chwilach. Pamiętał spacer po głównej ulicy. Każdemu przechodniowi krwawiło kolano. Policjantka obudziła go szturchańcem, kiedy spał na ławce przed supermarketem.

Zaczął rozmawiać ze sobą o Freyi po nocach, pijąc whisky do lustra. Ludzie żyli dla idei i za idee umierali. Prowadzono wojny o to, czyja idea jest lepsza. Ale nie potrafił spojrzeć w oczy swojemu odbiciu i powiedzieć, że jego idea górá, bo w głębi duszy wiedział, że zdegenerowała się ona do poziomu samej myśli o osobie, do widmowego kształtu w miejsce gorącego ciała.

Pochylił się na krzesło i wpatrywał we wspaniałą monotonię mgły. Zastanawiał się, jak przekazać Idzie informację o Saffron, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wtedy weszła na taras.

Tamtej nocy, kiedy pokazała im swoje stopy, Emiliana i Midas zdematerializowali się tak szybko, jak Enghem w<sup>r</sup> mgle. Kształt stóp dziewczyny wskrzesił w nim uczucia, które wydawały się przebrzmiałe. Przypomniał sobie nogi jej matki.

Ostatniego wieczoru namówił Idę, żeby znowoi pokazała mu stopy. Kostki zrobiły się prawie całkowicie przezroczyste, a łydki nierealne. Skóra przeistaczała się z białej w półprzezroczystą, pod nią widniały smugi krwi w skryzalizowanych żyłach, jak skamieliny robaków. Ich widok przeniósł go

na trawnik tamtego lata jego młodości, do zapachu wędnącej trawy i brzęku roweru Freyi przewracającego się na chodnik. Jakby jednym okiem widział krew sączącą się z kolan Freyi, a drugim tę zastygłą pod skórą Idy. Umysł okrutnie pomieszał mu oba obrazy.

—Carl — odezwała się Ida.

Zerwał się z krzesła, żeby mogła usiąść. Opadła na nie jak stara kobieta. Czuł jej zapach — znacznie bardziej naturalny niż ten Emiliany, spreparowany w laboratorium. Nie pamiętał zapachu Freyi, ale pocieszał się, że pachniała jak Ida.

—Carl...

—Ido, mam... złe wiadomości od Emiliany.

Wyglądała na zaniepokojoną. Zwiesił głowę.

—Co się stało, Carl?

—Wiesz, że zawsze się o ciebie troszczyłem. To był mój imperatyw absolutny. Twoja matka... kiedy cierpiała... Chciałem zrobić to, czego nikt dla niej nie zrobił.

Ida westchnęła ze znużeniem.

—Nikt nie zdołałby jej wyleczyć, Carl.

—Ale żałuję, że mnie przy niej nie było, a ty nie? Masz mi to za złe?

Milczała.

—Twój ojciec mi nie powiedział — ciągnął Carl. — Do diabła, Ido, ty mi nie powiedziałaś.

—Od dawna nie kontaktowałeś się z nami. Tata mówił, że kto nie interesował się mamą za życia, nie powinien interesować się nią po śmierci.

Prychnął ironicznie. Mgła łagodnie wpłynęła na taras, rozmazała kontury Idy.

—On bardzo dużo wtedy przeszedł, Carl, i prawdę mówiąc, nigdy cię nie lubił. Wiesz na pewno.

Usiadł, pomasaował brodę.

—Dał mi do zrozumienia, żebym się z nią nie kontaktował. Ale poruszyłem ten temat, bo chcę, żebyś wiedziała, że nie zniosę myśli o tym, że musisz cierpieć aż do końca, tak jak ona. I... i to wszystko jest oszustwem.

Ida była opanowana jak porcelanowa lalka.

—To znaczy co? — zapytała powoli.

Carl uniósł ręce do głowy. Jego całe życie zostało wymodelowane przez jej matkę. Wszystko, co robił. Czym się stał. Po Freyi została tylko Ida. A on nic nie wskórał, tylko ją oszukał.

—Chciałem... — powiedział, ale wypadło to mizernie, więc znów zaczął: — Chciałem ci pomóc, pamiętaj o tym. Tak samo pragnąłem pomóc twojej matce.

Na tarasie było bardzo cicho.

—Jezu — jęknęła słabym głosem. Nawet jej najmniejszy ruch, kiedy sięgała po szcudła, powodował wyraźny szelest. — Tu nie chodzi o moją mamę.

—Próbowałem, Ido.

—Nie chodzi również o ciebie, Carl.

Pomyślał o jej szklanych stopach. Wyobraził sobie, że ze współczucia chyba poczułby jej ból, zimne dreszcze w dole nóg.

—Możesz mi pomóc — stwierdziła roztrzęsionym głosem.

—T.. .tak — wyjąkał. — Oczywiście. Pozwól, że jeszcze raz spojrzę na twoje nogi.

Zacisnęła palce wokół drewnianej rączki.

Przejechał dłonią po włosach. Miał w głowie tylko dwie myśli. Pierwsza, że musi znaleźć inny sposób, aby uratować Idę. Druga, że musi zobaczyć zakrwawione kolano Freyi MacLaird.

—Carl, po prostu odwieź mnie do Ettinsford. Tylko tego od ciebie oczekuję.

Zmarszczył brwi.

—A niby po co? — Klasnął w ręce. — No, dobrze, pokaż mi nogi. Zdejmij buty i skarpetki. Pomogę ci, Ido. Tym bardziej że jest nas tylko dwoje.

—Proszę, odwieź mnie do Ettinsford.

Zacisnął pięści.

—Weź się w garść, dziewczyno! Musimy znaleźć rozwiązanie. Ty i ja! Nie ma czasu na tego żalostnego chłopczyka.

Uderzyła go w twarz.

Krew uderzyła mu do głowy. Rzucił się do spódnicy Idy. Krzyknęła i zamachnęła się na niego, ale ciosy spadały miękko jak krople deszczu. Jedną ręką przycisnęła ją do fotela.

—Odejdź ode mnie!

Słyszał jej krzyk jakby z oddali. Jej ślina, która spadła mu na podbródek, też wydawała się niematerialna jak wspomnienie. Ciężko oddychał, koncentrował się na spódnicy i ciele Idy. Sięgnął w dół wolną ręką i zadarł tkaninę aż po uda. Wiła się w uścisku Carla, ale jego siła i bezwładny ciężar szklanych nóg przytwierdzały ją do krzesła.

Jej nogi. Skóra na udach przypominała pole walki nabrzmiałych, czerwonych pręg i grubej, białej skóry, ale on patrzył tylko na nikłe ślady krwi zachowanej w łydkach.

Słyszał, jak Ida krzyczy, tłucze głową na wszystkie strony. I znów wszystko dochodziło z oddali.

Rąbnęła go szczudłem w skroń.

Potem pięściami trafiła w szczękę. Ledwie poczuł, ale odszedł o krok i usiadł z głuchym odgłosem na deskach. Uniósł ręce na znak, że się poddaje. Świat się skurczył.

Błada, szlochając histerycznie, chwyciła szczudła. Spadła ze schodów, z trudem poczołgała się po kamykach. Carl patrzył, jak Ida upada i wstaje. Wokół niej zamknęła się mgła. Pochylił głowę, zrozumiał, że życie urządziło mu smutną powtórkę.



**TAK CZĘSTO WSPOMINAŁ FREYĘ**, odkąd Ida przybyła na St. Hauda's Land. Teraz napłynęły sprawy, których nie przywoływał z pamięci. Obrzydliwe i niebezpieczne chwile. Kiedy widział, jak na parkiecie jej wargi łączą się w głębokim pocałunku z wargami innego mężczyzny. I to uczucie, kiedy otworzyła oczy i odpowiedziała ściągnięciem brwi na jego marsowe spojrzenie. Wtedy, kiedy odprowadził ją do domu. Oboje byli zalani. Chciał objąć ją w talii, a ona łagodnym klepnięciem strząsnęła jego rękę. Spróbował ponownie; tym razem trzepnęła go mocno i jak burza wpadła do domu. Te słowa, które mu wtedy powiedziała, a on zaczernił je w pamięci. Zastanawiał się, ile z życia zamazał w ten sposób. Jakiej części swojego świata może być pewny.

Zamknął oczy, wsłuchiwał się w bicie swojego starzejącego się serca. W skrzypienie Enghem Stead. Czuł wibracje własnego pulsu i lekki poświst oddechu.

Minęło sporo czasu, mgła zaczynała rzednąć. Usłyszał kroki. Podniósł wzrok i zobaczył zadyszanego Midasa Crooka.

—Czego chcesz? — zapytał zgryźliwie.

Zabelkotał z zaskoczenia, kiedy Midas złapał go za kołnierz i szarpnął tak mocno, że omal nie zrzucił z tarasu.

—Carl, gdzie ona jest?

Z całej siły odepchnął Midasa. Chłopak przewrócił się na plecy.

—O czym ty mówisz?

Midas wstał niezdarnie.

—O Idzie! Co jej zrobiłeś?

—Odpieprz się.

Midas skoczył do przodu i znowu chwycił Carla za kołnierz.

—Popatrz na mnie — syknął. — I mów, co jej zrobiłeś.

Carl zdał sobie sprawę, że temu z dwóch Midasów Crooków nigdy nie patrzył w oczy. Zawsze składał to na karb męczącej nieśmiałości chłopaka, ale teraz nie był już tego pewien. Bo w tej chwili, w szarych tęczęwkach i

malutkich jak główki szpilek źrenicach Midasa błyszczała czysta, nieprzewidywalna rozpacz. Nigdy czegoś takiego nie widział. Ani u ojca, ani u syna.

— Ja... ja nie byłem sobą — powiedział ostrożnie. — Próbowałem... Wyszła.

Midas splunął, wyrzucając z siebie obrzydzenie, i pognął w białą mgłę.

Ida nie mogła zejść daleko, ale bał się, że może jednak... Kąsające zimno pokryło kałuże niebieską mgiełką. Rozpędzone stopy Midasa wyrzucały fontanny lodu. Cząsteczki śniegu penetrowały mgłę. Wkrótce znacznie mocniej sypać i znaleźć się w samym sercu zimy. Rozglądał się na lewo i prawo, wyobrażał sobie Idę pod zimną pokrywą lodu, bielą śniegu i mgły, wydartą życiu. Gdyby ją stracił, zostałaby mu tylko fotografia szklanych stóp na dowód, że istniała. Przestał wierzyć w fotografie.

Śnieg kłębił się na de półprzezroczystej kurtyny mgły. Nagle coś przebiegło przez zadymkę; przypominało ucieleśnienie połączonych składników pogody. Skakało jak gazela, białe nogi wyglądały niczym cienkie i gibkie młode drzewka. Zatrzymało się, Midas podbiegł, potykając się, i niemal to złapał. Pod skórą miało twarde mięśnie, które napinały się na poślądkach, kiedy stworzenie oddalało się w podskokach. Midasowi wydawało się, że widział piękną głowę i mignięcie stalowego błękitu na szczycie szyi.

Popędził za zwierzęciem. Przedzierał się przez warstwę poszycia, która nagle wyłoniła się z mgły. Jego stopy chrzęściły na śladach wąskich kopyt.

Nagle drogę zagroziło mu przewrócone drzewo. Grzyby obrastały je jak róże zrobione z korka. Zwierzę przeskoczyło jednym susem przez martwy pień i zniknęło we mgle po drugiej stronie. Midas zwolnił, zatrzymał się i rozejrzał. Dał się wywieść w gęsty las. Mgła była tutaj rzadsza, być może wchłaniały ją drzewa z popękana korą i pustymi pniami. Stały blisko siebie przeplecione gałęziami.

Wtedy zobaczył zwierzęta.

Drozd ćwierkający na gałęzi bladł, z kasztanowatego brązu przechodził w biel. Nóżki miał jak białe druciki, a oczy jak kulki gradu. Na piersi przez

sekundę trzymał się jeszcze czerwony ślad, ale też wyblakł i przez róż przeszedł w czystą biel.

Ptaszek przefrunął na drzewo obok i chwycił dziobem białego pająka. Chwilę wcześniej pająk był niewidzialnym brązem na de kory. Biała wie-  
wiórka skacząca po gliniastej ziemi śmignęła w górę, po pniu, usiadła na konarze i złączyła łapki jakby w modlitwie.

Nieco dalej leżała ona, w płaszczu przysypanym śniegiem. Midas ruszył w jej stronę.

—Ido? — syknął. — Ido, słyszysz mnie?

Otworzyła oczy. Zęby jej szczękały.

—Midasie, tak mi przykro.

—Nie opowiadaj głupstw. Boże, nic ci nie jest?

Zima wdarła mu się pod kurtkę, pod koszulę, mroziła płuca, ale nawet w chwili lodowatej trwogi serce rozgrzewała mu myśl, że znalazł Idę.

—Włóż moją kurtkę. Nie leż, bo przemokniesz i już całkiem zamarz-  
niesz.

—Nie zostawiaj mnie.

Pomógł jej wstać. Była zimna i ciężka jak lód. Powłóczyła stopami, zo-  
stawiając głębokie ślady w śniegu. Sporo czasu i trudu wymagała droga do  
samochodu, po złośliwych korzeniach i gąbczastej ziemi. Szli po śniegu i  
błocie, aż Enghem Stead wyłoniło się z mgły jak fatamorgana, chociaż Mi-  
dasowi zależało wyłącznie na tym, aby dotrzeć do małego, brudnego samo-  
chodu, zaparkowanego nieopodal. Po Carlu nie było śladu. Szklane stopy  
brzęknęły o drzwi wozu, kiedy pomagał jej wsiąść. Usadowiła się na tyl-  
nym siedzeniu; policzki lekko się jej zaróżowiły. Midas podniósł wzrok,  
żeby podziękować niebu, że wstrzymało najcięższe opady. Wsiadł obok  
niej i zamknął drzwi.

—Ch... cholera, ale zimno — wyszczękała.

—Wiem. Przepraszam.

Ospale skinęła głową.

—Twoja kurtka. Dziękuję.

—Zaraz zrobi się cieplej.

—Obejmij mnie.

—Słu... słucham?

Lekko otworzyła oczy. Nie była w stanie skupić wzroku. Tęczówki wyglądały jak popiół między czerwonymi powiekami.

—Obejmij mnie.

Ostrożnie otoczył ją rękami tak, że palce zetknęły mu się na jej plecach.

—Mocniej — wyszeptała. — Inaczej to się nie liczy.

Lekko ścisnął. Siedzieli tak przez dłuższą chwilę; ogrzewani ciepłem własnych ciał, aż w końcu zaczęło dmuchać ciepłe powietrze.

—Lepiej już jedźmy. — Midas cofnął ręce.

Wyszeptała coś, nie dosłyszał. Nachylił głowę do jej warg.

—Musisz być śmielszy. Proszę — powiedziała cicho.

I dotknęła twarzą jego twarzy. Zadrżał spazmatycznie, kiedy musnęła językiem jego zęby. Skórę miała lodowatą, ale słony oddech i ślinę wrzące. Nie potrafił poruszyć ustami, kiedy go całowała. Otwierał je tylko i zamykał gwałtownie, jak drewniana lalka. Ale, ku jego zaskoczeniu, było mu przyjemnie.

**MIDAS ROBIŁ, CO W JEGO MOCY**, żeby wyglądać naturalnie i swobodnie, kiedy pomagał Idzie wejść do swojego domu, chociaż całym ciałem przyciskała się do niego i czuł na sobie jej żebra i piersi. Trzymała się go, kiedy wprowadzał ją do salonu i sadowił na fotelu.

Tego wieczoru, kiedy się przebrała, uderzyło go, jak marnie wygląda. Cienie rzucane przez jej wysokie kości policzkowe podchodziły ciemnością pod oczy. Wargi miała spierzchnięte, włosy związane w kucyk. Ubrana była w koszulkę z dzianiny i długą, szarą spódnicę. Jej nogi wyglądały jak wyciosane z kamienia.

Midas poprawił poduszki na kanapie. Planował, że tu prześpi się tej nocy.

—Zapowiadali, że jutro wyjdzie słońce. Możemy zacząć szukać sposobu, żeby cię jakoś z tego wyciągnąć.

—To miłe z twojej strony, Midasie. Ale naprawdę...

—Coś wymyślimy.

—Pewnie, ale jeśli o mnie chodzi, jutro może czekać w nieskończoność.

—Okej, ty śpisz na moim łóżku, a ja tutaj.

—Pomożesz mi wejść na górę?

Poczuł miękką delikatność palców, kiedy wziął ją za rękę i podniósł z fotela. Talię miała cienką i twardą. Taka bliskość nadal wywoływała w nim napięcie, ale łagodziło je nerwowe podniecenie. Szklane nogi Idy drapały o drewniane schody, kiedy stawiała je, jedna za drugą. Potem Midas zbiegł na dół, zabrał jej rzeczy i popędził z nimi na górę.

Ida stała oparta o ścianę sypialni.

—Za zimno mi, żeby się przebierać — stwierdziła.

Pomógł dziewczynie położyć się do łóżka, a potem otulił ją kołdrą.

Złapała go za kołnierz i szarpnęła do siebie. Przycisnęła wargi do jego warg, łapczywie i rozpaczliwie. Kiedy próbował coś powiedzieć, wzmocniła pocałunek. Zanurzyła dłoń we włosy Midasa, paznokciami drapała go po głowie. Druga ręka ześlizgiwała się wzdłuż jego kręgosłupa. Leżał na niej znieruchomiąły, nie ze strachu, ale z fascynacji. Po pewnym czasie jej pocałunki stały się wolniejsze. Rozłączyli wargi.

Walczył z językiem, żeby się odezwać.

—Hmm — wydusił wreszcie.

—Zdejmij buty, Midasie.

Zrobił, co kazała. Znowu zaczęła go całować, łapała za uda, wbijała w nie palce. Midas bezwładnie trzymał ręce po bokach, O Boże, myślał szczęśliwy. Ida włożyła mu rękę pod podkoszulek, potem wbiła ją pod mocno zaciśnięty pasek... Wydał gardłowy dźwięk.

—Odpnęź się — mówiła spokojnym tonem, rozpinając mu koszulę. — Co się stało?

Pokręcił głową.

— Nic. Słowo.

Zdjęła z Midasa koszulę i wyczuła pierwsze zwiastuny odprężenia: mięśnie zamieniły mu się w galaretę. Nie leżał jak obalony posąg, ale raczej jak szmaciana lalka. Oddychali w równym tempie. Poprowadziła jego rękę w górę swojego jedwabistego brzucha. Przesuwał palce centymetr po centymetrze po bruzdach między żebrami. Chwyliła go za rękę i włożyła pod stanik.

Dłoń Midasa zablokowała się jak żelazna rękawica. Ida zaczęła ugniatać mu palce. Znowu zrobiły się elastyczne. Pod kciukiem czuł miękkość.

Zdjęła bluzkę i rozpięła stanik. Na chwilę zahipnotyzowała go fosa cienia między piersiami, ale potem zobaczył łzy w oczach Idy i stoczył się z niej. Mrugnięciem strząsnęła słone krople. Spojrzał w dół.

Ciało wokół pępka pokrywały koliste wzory rybiej bieli. Biegły przez brzuch i tworzyły wir wokół pępka. Podkreślały porowatą budowę skóry, która zaczynała wyglądać jak skórka cytrusa. W każdym porze była plam-

ka iskrząca się w świetle księżyca. Zalążki szkła, początki nadchodzącej transformacji. Przerażony zastanawiał się, jakich zmian szkło dokonało pod bielizną i ubraniem.

Kiedy się przyglądał, położyła dłoń na jego kroczu. Patrzyła na niego, szukając przyzwolenia. Kiwnął głową. Zdjęła spódnicę. Przelknął.

—Co?

—Nic.

Skóra na jej biodrach przybrała kolor martwej bieli, takiej samej jak ślady na brzuchu. Całe jej nogi były pozbawione koloru. Zaognienie wywołane kompresami prawie całkowicie się cofnęło. W okolicy kolan skóra zaczynała przeświecać. Pod szklaną membraną widać było różowe czułki. W przezroczystych dolnych partiach łydek pozostały fragmenty mięśni, jak confetti tonące w ściekach. A z boku prawego kolana, które rozbiła sobie w Enghem Stead, widniała szklana łatka, wyprzedzająca postępy transformacji. Wprawiona w skórę jak małe okienko. Widać było przez nie skryształizowane kości niczym okazy w laboratoryjnym słoju.

Znów wciągnęła go na siebie. Nie potrafił opanować natłoku wrażeń. Gorąco warg; piórkowa lekkość włosów; błysk żyłkowanego białka w oku; unosząca się i opadająca pierś. Cienka, aksamitna skóra szyi. Chudy brzuch. Miętkość piersi. Stwardniałe stawy, Martwy ciężar nóg.

Z początku sądził, że maska cierpienia to wyraz przyjemności, ale kiedy jej dyszenie zaczęło przeradzać się w umęczony pisk, zwolnił. Przykryła twarz rękami.

—Boli — wyszeptała. — Jakbym miała noże w miednicy.

Wycofał się i ostrożnie położył się obok.

—Midasio, we mnie jest chyba szkło. — Jęknęła i złapała się za brzuch.

—Ido!

—W porządku.

W przeświecającej mlecznie plamce na biodrze zobaczył, jak pulsuje coś rdzawoczerwonego... Czy to jakiś organ? Okreźnica, macica, pęcherz? Jej piersi, ramiona i twarz mocno błyszcząły od zimnego potu. Żyłki koloru



ametystu napeęzniały po wewnętrznej stronie ud. Wyglądała staro, jak z krzyża zdjęta. Mimowolnie złapał garść jej włosów.

Dopiero ten gest uświadomił mu, że ją kocha. Ciepło skóry głowy. Przetłuszczone loki. Owinał sobie dłoń jej włosami. Przenikały mu między palcami jak piasek. Długo leżeli razem. Gdzieś na dworze zaszczekał pies. Midas ledwie mógł uwierzyć, że żył tak długo i nie chciał nikogo dotknąć. Fotografia sprawiła, że zapomniał o konieczności czucia.

Ida pogłaskała go po policzku. Wzdrygnął się i odprężył.

—Midas, mam do ciebie prośbę. — Głęboko odetchnęła, zapatrzyła się na sufit. — Dłużej nie wytrzymam tej niepewności.

Czekał. Zrozumiał, że nie zawsze trzeba odpowiadać.

Zamknęła oczy.

—Chcę z tobą być przez ten czas, który mi został.

Pies na dworze przestał szczekać. Midasowi wydawało się, że słyszy płatki śniegu opadające na parapet. Gdzieś w głębi domu woda zabulgotała w rurze. Leżeli w ciszy, aż usłyszał, że oddech Idy zwalnia. Przekręcił głowę na bok i zobaczył, że gałki oczne poruszają się dziewczynie gwałtownie pod powiekami. Nie spał, myślał o tej chwili, że jest jak czas zatrzymany przez fotografię. Na zawsze zostanie w bezruchu. Cieszył się nią przez moment i zasnął.

**ŚNIEG TOPIŁ SIĘ NA BAGNACH.** Maleńkie muszki śnieżne, które na zimę zapadają w sen, rozrywały swoje lodowe komory i wyłaziły na poranne słońce. Najpierw badawczo wystawiały przednie nóżki. Samotna wydra kapała się w sadzawce dopiero co odmarzniętej. Błękit nieba wsączał się w chorobliwe żółcienie trzciny i lilii, zmieniając ich kolor na przygłuszoną zieleń. Trzy ryby, wcześniej uwięzione w rzecznej lodzie, wypróbowały pływki i znów zaczęły pływać.

Henry odsunął z biurka książki i rysunki przedstawiające owady. Delikatnie położył brzemienną krówkę w ciepłym gnieździe ze starej czapki z pomponem. Mościła się na niej, żeby dobrze ułożyć rozdęty brzusek. Tymczasem Henry czynił przygotowania. Najpierw ustawił na biurku elektryczny grzejnik z rozżarzonymi włókienkami. Potem wyjął z szuflady skórzany portfel. W środku był zestaw kleszczy, jak dla lalek. Specjalnie zlecił wykonanie ich z pincet i szpilek. Krówka jęknęła i wepchnęła pysk w wełnę. Ogonem biła się po bokach.

Ostrożnie przyciągnął czapkę bliżej, włożył kciuk pod gardło krówki i między przednie nogi, żeby ją podnieść. Zdołała wstać, ale skrzydła jej podrygiwały i trzeba było utrzymać je z dala od narzędzi położniczych Henry'ego. Miał na takie okazje specjalną uprząż, delikatnie założył ją na łopatki stworzenia. Do upręży przymocował prostą, kartonową ściankę, która utrzymywała skrzydła rozłożone, z dala od zadka.

Zamknął oczy i uspokoił bicie serca. W przeszłości zdarzały się wypadki, szczególnie na początku, ale w ostatnich latach większość porodów kończyła się sukcesem. A jednak... Myśli o Evaline i Idzie odciągały jego uwagę od stada. Nie chciał popełnić błędu podczas tak delikatnej operacji. Łyknął dzinu. Wybrał szczypce i wziął je między kciuk a palec wskazujący. Koncentrował się na metalu, aż ręka przestała drżeć. Potem z największą precyzją rozłożył maleńkie szczypczyki i włożył je krówce w zadek. Nie potrafił ocenić, czy chwyciły cielaka znajdującego się w środku, musiał kierować się wyczuciem, żeby wiedzieć, jak mocno je zacisnąć. Wstrzymując oddech, wyciągnął maleńkie zwierzątko i położył je na oświetlonym miejscu. Za nim wysliznęło się łożysko. Cielak otoczony był

żółtym pęcherzykiem, który rozciągał się, kiedy noworodek rozprostowywał nóżki. Matka, dysząc z ulgą, chodziła chwiejnym krokiem wokół małego. Zaczęła zlizywać pęcherzyk, zaczynając od głowy. Wyłonił się czarny, kudłaty łepiek z białą plamką na nosie. Wzdłuż grzbietu, słabo widoczne pod błoną, złożone były liliowe membrany skrzydeł. Henry rozsiadł się rozpromieniony, założył ręce na kolanach i patrzył.

To oblizywanie po urodzeniu niezmiernie go wzruszało. Potwierdzało, że uczucia nie są wyłącznie ludzkim atrybutem. I zawsze to wiązało się z fizycznością. Wzniósł dzinem toast za młodą matkę. Wrażliwość i uczucie nierozzerwalnie łączyły się z wnętrzościami i krwią.

Żałował, że sam tego nie doświadczył.

Aż dziwne, co taka interakcja może z człowiekiem zrobić. Zostawił dla krówki trochę jedzenia i poszedł do łazienki. Wyszorował się nad zlewem i zszedł do kuchni, żeby zjeść trochę czerstwego chleba. Miał nadzieję, że to uspokoi mu żołądek. Zamierzał pojechać do Martyr's Pitfall. Był tam już dwa, trzy razy, ale tylko przyglądał się Evaline z daleka. Za każdym razem wmawiał sobie, że znana mu kiedyś kobieta nie zamieszkuje tego kruchego ciała, które potajemnie podpatruje. Ale tym razem postanowił złożyć jej wizytę. Usiłował wyprasować koszulę, ale nie pamiętał, jak to się robi. Ze zdenerwowania zaprasował głębokie zmarszczki na starym materiale. Mimo wszystko ją włożył, nalał sobie dzinu i pospiesznie wypił, zanim ruszył w drogę.

Kiedy jechał do Martyr's Pitfall, nerwy grały mu jak bębny wojenne. To doznanie przybierało na sile, kiedy zbliżał się do tępe głowy Lomdendol Tor, pokrytej szarymi ściegami śniegu. Po ułożonych zygzakowato mostach przejechał na Lomdendol Island i poczuł cień pagóra jak jakiś przykry zapach. Niższe partie zboczy obrastały kępy wiotkich drzewek, upstrzonych martwymi grzybami. Między nimi widniały surowe frontony domów i zakładów opiekuńczych. Zauważył, że znacznie więcej budynków miało drzwi i okna pozabijane deskami, niż kiedy był tu ostatnim razem. Tablice „Na sprzedaż” odpadły, pokryły się błotem i śladami opon. Myślał, że Martyr's Pitfall będzie gęściej zaludnione, bo młodszy odeszli z St. Hauda's Land razem z upadkiem wielorybnictwa, a ci, którzy zostali, poddali się smutkowi i bezczynności. Uśmiechnął się na tę myśl, bo wyobraził sobie archipelag zamieszkały wyłącznie przez bydło ze skrzydłami ciem.

Drzwi otworzyła pomoc domowa Evaline, Christiana. Oczywiście go nie znała. Zapomniał, że trzeba przebić się przez nią, żeby porozmawiać z Evaline. Stał chwilę, nie zwracając uwagi na jej uprzejme, troskliwe pytania: „Czym mogę panu służyć?” „Zgubił pan drogę?”. Potem wpadł do domu, wyminął kobietę, przemknął korytarzem, otworzył na oścież drzwi do salonu i zaczął podskakiwać w miejscu, jakby opędzał się od komarów. Evaline wstała i uciszyła protestującą Christianę, przykładając palec do ust.

—Uch... — Oblizął wargi, poczuł smak dzinu. — Uch...

—Henry... Fuwa — wymamrotała.

Tak był zajęty zbieraniem odwagi, żeby tu przyjechać, że nie pomyślał, co powiedzieć, kiedy już przestąpi próg.

Pokój jakby się powiększył. Henry'ego dzieliło zaledwie kilka kroków od Evaline, ale miał wrażenie, że między nimi wyrosła szklana przeszkoda. Nie mógł dotknąć swojej dawnej ukochanej, tacy z herbatą ani dywanu.

Uświadomił sobie, że zaczęła płakać. Jej zwyczajny wyraz twarzy był taki płaczliwy, że wystarczyło lekkie poruszenie mięśni, żeby otworzyły się śluzy. Miała też taką samą postawę: złożone ręce i przygarbione ramiona. Zmieniły się tylko policzki. Lśniły jak kamienie na bagnie, kiedy rodzi się nowy strumyk.

Tyle się wydarzyło od ich ostatniego spotkania, ale tylko ciężar czasu miał tu znaczenie. Życie było rutyną, odkąd po raz pierwszy na nią spojrział. Owszem, wygodną, ale żaden dzień szczególnie się nie wyróżniał. Skumulowana istotność tych wszystkich lat była niczym w porównaniu z tym jednym dniem spędzonym razem, z ważkami na brzegu rzeki. A jednak te sprasowane lata jakoś doprowadziły do powstania niewidzialnej bariery dzielącej salon Evaline na pół. Jedna część dla niej, druga dla niego. To była najbardziej namacalna rzecz w tym domu. Wyciągnął ramię i wyczuł to w powietrzu. Zbliżył palce do twarzy Evaline, ale dalej nie sięgnął. Uniosła rękę, ich dłonie zawisły poziomo w powietrzu, naprzeciwko siebie. Czoła oddzielała szyba powietrza gruba na kciuk, ale czuł przez nią tylko perfumy, nie oddech Evaline.

Stali tak, aż Henry'ego rozboleł łokieć. Opuścił rękę, Evaline skopiowała jego ruch, jak odbicie w lustrze. Wróciła na krzesło, utkwiała wzrok w zasnieżonym ogródku i wzięła zimną herbatę. Przytknęła filiżankę do ust i upiła łyk. Wyszedł po cichu, zamykając za sobą wszystkie drzwi — do pokoju, na korytarz, do domu — z nieskończoną dbałością, której nabrał przez lata opieki nad bydłem ze skrzydłami ciem.

Cień Lomdendol Tor okrywał wszystko. Na ulicy nie było ruchu, tylko kot ostrożnie skradał się przez jezdnię w stronę ośnieżonego żywopłotu. Uważał, żeby nie nadepnąć na liście.

Samochód zagrzmiał w ciszy, kiedy Henry wyjeżdżał z Martyr' Pitfall. Wróci do swojego bydła i mlaszczących bagien, ale tutaj już nigdy.

**ŚNIEG TOPNIEJĄCY NA DOMACH ETTINSFORD** obnażał dachówki, plamczynie lśniące połacie tam, gdzie tygodniami zalegała futrzana biel. Sopel, który zwisał z nosa przykościelnej figury świętego Haudy, skapywał na szaty z brązu. Cieśnina Ettinsford przybrała, bo potoczki z parku, bulgocząc, zasilały większy nurt. Samochody jechały powoli po mokrych jezdniach, światła reflektorów zamieniały kocie łby w żarówki. Na podwórku Midasa, pod rynną skakał kos, aż nagle spadła na niego śnieżna bomba. Piśnął i z oburzeniem wygładził pióra. Kropelki skapywały z rynien i stukwały o wieko pojemnika na śmieci, a stamtąd ściekały niepewnymi strumyczkami po blasze. Kawąły mokrego śniegu zlatywały z gałęzi zwieszających się nad płotem i wstrząsały krzakami.

Midas nucił pod nosem, mleko na czekoladę wrzało w rondlu na płycie kuchennej. Czuł, że całe ciało ma czystsze, jakby wyciśnięto z niego toksynę. Nie seks to sprawił. To było coś poza jego ciałem, poza ciałem Idy, Jakieś uderzenie.

Tego ranka wstanie z łóżka zajęło mu pięć minut. Starał się nie obudzić Idy. Jego łóżko spełniało tylko praktyczną funkcję, teraz to się zmieniło, kiedy głowa i nagie ramiona Idy leżały na poduszce. Zwinęła rękę pod brodą, a jej jasne włosy zbiły się wokół szyi. Wyglądały znacznie bardziej dekoracyjnie niż zeszkłone części jej ciała ukryte pod prześcieradłami.

Wyjął baterię z zegara, żeby tykanie nie przerwało jej snu. Modlił się, by śnieg topniał po cichu. Zatrąbił samochód, Ida poruszyła powiekami. Midas wiedział, że dziewczyna w końcu się obudzi, więc chciał, żeby miała łagodne przebudzenie. Właśnie dlatego po cichu przygotowywał dla niej śniadanie.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Midas zdenerwował się, że ktoś mu przeszkadza, i rozlał gorące mleko. To pewnie Gustav i Denver, powinni zrozumieć, że ten poranek pragnie zachować wyłącznie dla siebie.

Przed drzwiami zobaczył Christianę. Palcami szarpała mankiety u rękawów płaszcza. Droga za nią posypana była solą. Papkowaty śnieg wyglądał jak popiół z paleniska.



—Cześć — powiedział.

—Przyniosłam panu parę rzeczy. Od pańskiej matki.

—Moja matka nie ma niczego mojego.

Christiana wyglądała na zirytowaną. Odwróciła się. Midas patrzył, jak kobieta idzie do swojego samochodu. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi, żeby nie naleciało zimna, bo Ida mogłaby się obudzić. Włożył dłonie pod pachy.

Cały bagażnik w samochodzie Christiany wypełniały kartonowe pudła.

—To nie moje! — krzyknął. Doskonale wiedział, czyje były.

—Ale już czas, żeby wróciły do pana. Tylko kurz zbierają.

—W porządku. Niechby i zgniły, mnie nic do nich.

—Teraz to pański problem.

—Dlaczego pani to przywiozła?

—Pańska matka po prostu... starzeje się, panie Crook.

—Proszę tak do mnie nie mówić.

—Przecież pan się tak nazywa, prawda? — Zaczęła wyładowywać pudła na chodnik.

—Zniszczę je.

—Świetnie.

Skończyła ustawiać pudła i wróciła do samochodu. Odjechała. Opony żłobiły rowy w papkowatym śniegu. Po chwili Midas niechętnie powlókł się do krawężnika i zaczął wnosić pudła do środka.

Ojciec przed śmiercią podzielił cały swój dobytek na połowy. Jedną porządnie zapakował, drugą zabrał na łódź. Midas przypuszczał, że w pudłach znajdują się książki, czasopisma, dzienniki i papiery, jak w tych, które podsycaly ogień na łodzi. Tylko że były za lekkie. Na każdym widniała data zapakowania, sporządzona pismem ojca. Zanim wniósł wszystkie, mleko na czekoladę dla Idy zdążyło wystygnąć.



**IDA OBUDZIŁA SIĘ I PRZECIĄGNĘŁA.** Z coraz większym trudem wstała z łóżka. Pomyślała, czy nie zawołać Midasa, żeby jej pomógł, ale doszła do wniosku, że wyglądałoby to żałośnie. Sama powlokła się po dywanie do lustra.

Podciągnęła T-shirt tak, jak zrobiła to Saffron na nagraniu Emiliany. Ślady stwardniałej skóry na brzuchu wyglądały tego ranka gorzej. Odgniotły jej ciało, kiedy spała, zostawiając czerwone pręgi biegnące pionowo ku piersiom.

Odwróciła nogę, żeby obejrzeć plamkę szkła z boku kolana. Zobaczyła przez nią krew płynącą nadal nad rzepką. Czerwony i szary szpik pienił się w środku, jak w kości kurczaka.

Kichnęła w rękę. Wytarła je o koszulkę, bo nie mogła wyjąć chusteczki higienicznej. Ogarnęło ją obrzydzenie. Zdjęła T-shirt i cisnęła na stos Midasowych rzeczy do prania. Ruch przyprawił ją o dźgający ból wzdłuż boków i pod pachami.

Szkoło przyspieszało. Przez ostatni tydzień znacznie się rozprzestrzeniło. Pomyślała, że gdyby tak posiedziała godzinę przed lustrem, przyglądając się sobie, zobaczyłaby, jak skóra traci kolor i staje się coraz bardziej przezroczysta. Lśniące punkciki, które tworzyły wzór wiru wokół pępka, wkrótce zeszkliłby cały brzuch, a skóra na nim upodobniłaby się do gumy. Potem brzuch zacząłby przeświecać, a wkrótce nerki i jelita też zamieniłyby się w szkło. Nie chciała sobie wyobrazić, co wtedy by się z nią stało.

Przez chwilę zamyśliła się nad wspomnieniem z dzieciństwa: wymalowała klejem spirale na brzuszku i wysypała na nie cały dzbanek opalowego proszku.

Sięgnęła po szczudła, wokół łóżka powlokła się do okna i rozsunęła firanki. W Ettinsford był dzień targowy, przechodnie spieszyli do stoisk i wracali z zakupami, deptając po topniejącym śniegu. Dwóch chłopców w sfatygowanych bluzach ukradkiem dzieliło się papierosem. Dwie starsze panie przyglądały się im zza skrzynki pocztowej, mrucząc coś ponuro do siebie. Ida nagle poczuła się stara i niedołączna. Odeszła od firanki i zakryła twarz dłońmi. Skrzywiła się do płaczu.

Tam, na parterze czekał ktoś, dla kogo zdołała związać włosy, włożyć nowy T-shirt, sukienkę i zejść ze schodów. To był mężczyzna i jego odosobniony tryb życia. Po odejściu Carla i po tym, jak Henry Fuwa powiedział jej bez ogródek, że nie da się tego wyleczyć, w samotni tego domu z tarasem poczuła gorzko-słodką ulgę. Mało tu przychodziło gości, nie było telewizora, pięknych widoków. Tylko ona i Midas, schowani przed światem. Tutaj mogła powoli przeistoczyć się w szkło i tylko miłość by jej w tym przeszkadzała.

Midas siedział zgarbiony przy stole kuchennym. Dłonią zakrywał jakąś fotografię.

—Midasie... Dzień dobry... Proszę, nie udawaj, że wszystko w porządku.

Zdjął rękę, żeby pokazać jej fotografię — zdjęcie ojca ściągnięte ze ściany, podziurawione ołówkiem.

—Mówiłeś, że to twój jedyny egzemplarz.

—Jedyny. Wiesz, dlaczego to zrobiłem?

Czekała.

—Żeby zobaczyć, czy będzie mi przykro. I oczywiście, nie było.

—W korytarzu stoją jakieś pudła.

—To jego. Dziś rano przyniosła je służąca matki.

—Należały do twojego ojca?

—Tak.

—Co w nich jest?

—Nie zaglądałem.

—Ale... Midasie... Myślałam...

Wyrzucił ręce do góry.

—Myślałaś, że będę takim głupkiem, żeby tam zajrzeć? Boże, Ido! Każde z nich to cholerna puszka Pandory!

—Tak powiedziała by twój ojciec.

Miała nadzieję, że to porównanie nim wstrząśnie, ale dało tylko tyle, że zrobił jeszcze bardziej ponurą minę. Gdyby mogła normalnie się ruszać, skoczyłaby do Midasa i pocałowała go z pasją, ale teraz, zanim okrążyłaby stół, chwila zdążyłaby ulecieć.

—Słuchaj — powiedziała. Ujęła rękoma jego głowę; skórę miała chłodną, palce miękkie. — Pamiętam, kiedy umarła mama, niektóre przyjaciółki przejrzały jej rzeczy, żeby wybrać dla nas jedynie to, co najważniejsze. Może teraz ja pozbyłabym się tych pudeł?

Coś wymruczał i poruszył się na krześle, gapił się na podłogę.

—To znaczy tak czy nie?

—Możesz je wyrzucić, jeżeli obiecasz, że nic więcej nie zrobisz. Tylko że... twoja ciekawość zwycięży. Otworzysz je. I nie oprzesz się pokusie, żeby mi powiedzieć, co w nich jest.

—Ależ skąd! — Podejrzewała jednak, że Midas ma rację.

—Nie, Ido... niech zostaną zamknięte. Gdzieś je upchnę. Tak czy inaczej, nie korzystam z salonu.

—To śmieszne.

—Tak myślisz?

—Wściekasz się na mnie, Midasie?

—Tak. Bo ty to wszystko wywołałaś.

Zacisnęła pięści.

—Albo przeprosisz, albo sobie pójdę.

—Przepraszam. Ja tylko...

—Chcesz dać się pokonać przez te... pieprzone uczucia, które nigdy się nie zmieniają? Jeżeli jesteś na mnie zły, bo zakłóciłam ci życie, to możesz z powodzeniem zapuścić wąsy i włożyć jakieś cholerne okulary. Wtedy staniesz się wytworem własnej wyobraźni, którego tak bardzo nienawidzisz. A przynajmniej zdaje ci się, że nienawidzisz.

—Gdyby to była tylko wyobraźnia, ja bym...

—Nie! To ciało, które teraz siedzi na krześle, to jesteś ty. Nic więcej! Twój ojciec nie stoi przy tobie, Midasie. Nawet duchem. Ciągłe wracasz do niego, żeby nie brać odpowiedzialności za to, czego w sobie nienawidzisz. Muszę być wobec ciebie szczerą, bo zostało nam mało czasu.

Uniosła wzrok.

—Ido, czekaj. Dokąd idziesz?

Stała już między pudłami. Wściekle zerwała taśmę na pierwszym z brzegu. Midas z pięściami przy ustach patrzył, jak Ida przewraca otwarte pudło i wysypuje zawartość na dywan.

—Nie wolno ci...

Rozpruła i przewróciła do góry nogami kolejne. Kurz, brząk. Wszystko się wysypało.

Otwierała pudło za pudłem. Podniosła ostatnie i się zawahała.

—Więcej szans nie będziesz miał.

Podszedł i wziął od niej karton. Potrząsnął nim na próbę, ale nic nie zagrzechotało. Rzeczy w środku musiały być ciasno poukładane. Zaciśnął powieki i odwrócił pudło do góry dnem. Krótki szelest spadających przedmiotów, coś odbiło się od jego stopy. Popatrzył w dół — zapasowe okulary ojca, które wypadły z futerału.

Widząc stertę przedmiotów na podłodze, Midas zaczął się zastanawiać, czego właściwie oczekiwał. Garnitur, porządnie zapakowany, teraz walał się na dywanie. Zeschnięta żółta róża nadal tkwiła w butonierce. Zegarek wskazówkowy zatrzymał się na drugiej trzydzieści dwie po południu. Samochodzik-zabawka leżał na I boku. Midas podniósł go drżącymi rękami. Zimny metal, grube koła. Na spodzie napisane było dziecięcym charakterem pisma, nie jego, Midas Crook. Ścisnął zabawkę w dłoni. Lekka jak piórko. W pudle było to, co zostało po ojcu. Nie bał się przedmiotów.

Odczekał chwilę, żeby sprawdzić, czy nie przeoczył tego uczucia. Żadnych książek, żadnych papierów, żadnych komunikatów z tamtej strony. Po

prostu... śmieci. Popatrzył na Idę. Dumnie się uśmiechała. Zdał sobie sprawę, że oczekiwał czegoś w stylu kłątwy faraona, ale nic go nie powaliło. Odpowiedział uśmiechem. Odwaga to nie taka trudna rzecz.

Nie mógł już ustać. Z westchnieniem ulgi położył się w kurzu, między starymi rzeczami ojca.

—Co z tym zrobisz? — zapytała po dłuższej chwili.

—Zrzucę z urwiska — mruknął.

Zachichotała.

—Przepraszam — powiedział.

—Za co?

—To miał być inny poranek. — Wstał. — Jest coś jeszcze.

Poszedł do schowka pod schodami i wyjął miniaturowy sejf.

Przesunął pokrętła zamka i zawahał się, kiedy rozległo się pstryknięcie. Otworzył drzwiczki z ponurą determinacją. Wyjął ze środka książkę, jakby to był przedmiot blokujący kanalizację.

—Co to jest?

Książka, oprawiona w czarną skórę, na grzbiecie miała szarą wstążkę służącą za zakładkę.

—Jego przekłeta książka. Pierwszy szkic. Rękopis. Przekazany mi w spadku. — Uśmiechnął się. — Nawet tego nie otworzyłem.

—Dobrze — powiedziała. — To dobrze.

**OJCIEC OBUDZIŁ SIĘ W NOCY, SERCE TŁUKŁO MU SIĘ W PIERSI.** Powlókł się do łazienki, żeby wykaszleć się nad umywalką. W bezbarwnej ciemności zobaczył tylko szary płyn spływający ociężale do rur, ale w ustach czuł krew i żółć. Kiedy pociągnął za sznurek i włączył światło, dostrzegł w umywalce czerwone plamki posypane szklanymi kryształkami rozmiarów główki szpilki.

Nie mógł zasnąć, poszedł na strych, żeby dokończyć oklejanie taśmą i ustawianie pudeł. Potem położył się z rękami na oczach, wśród zmiętych

kul papieru: nieudanych prób pisemnego wyjaśnienia.

TLR

Wszystkie jego słowa zostały zamknięte w tym drugim zestawie pudeł, stojących na dole. Zapakował do nich książki i papiery, żeby je spalić. Uśmiechnął się lekko. Podobał mu się pomysł podziału życia na dwie części. Książkowe życie uczonego zostało odseparowane od życia zapakowanego w pudła na strychu, tej szczątkowej kolekcji przeżyć i uczuć.

Przesunął zimnymi dłońmi po ciele, poczuł kościste ramiona, gładką łysinę, członka i jądra — pomyślał o ich krótkim wysiłku przy płodzeniu syna.

Próbował się martwić, co Midas o nim pomyśli. Nie pofatygował się, żeby pomyśleć o Evaline — bez wątpienia znalazła innego mężczyznę, tego który przysyłał jej martwe ważki. Ale chciał się pomartwić o chłopca. Tylko że... przy każdej próbie czuł ostrą szklaną gwiazdę wbijającą się przez pępek, krew z trudem przeciskającą się przez żyły. Przestraszył się, wiedział, co się stanie z jego ciałem. Przeprowadził własne badania. Nie chciał zostawić spetryfikowanego posągu, żeby inni się na niego gapili.

Wreszcie zaczął: „Kochany Midasie”, a pisząc, poczuł, że inne słowa, te najważniejsze, spływają wzdłuż ramienia do ręki z piórem, jakby dwa pierwsze były czopem powstrzymującym potok wyznań.

Już nie wiedział, czy Midas, do którego pisze, to jego syn czy on sam, czy jakiś amalgamat pokoleń. Od czasu do czasu zastanawiał się, czy może pisze do Evaline albo do swojego łagodnego ojca, z którym zerwał w tak nieprzyjemny sposób. A może do surowej matki albo kogoś, kogo jeszcze nie poznał: do potomków syna lub do synowej, których nigdy nie zobaczy. Jedno było pewne — nigdy czegoś takiego nie pisał: zwierzenia, sprawy osobiste zamiast parady teorii i krytyki. Strony wypełniały się czarnymi liniami, jakby maszerował przez pochód mrówek, i chociaż serce płonęło i ciążyło niczym stopiona skała, potrafił utrzymać ciąg słów. Kończyły się nagle, ale były precyzyjne. Wiedział, że nie musi przeredagowywać tych stronic. Kiedy próbował odłożyć pióro, mięśnie ręki zastygły mu w pisarskiej pozie.

Pisał prawie wyłącznie o szkle, które rozkwitało w jego sercu. O pulsie, pustym jak dźwięk widelca uderzającego o kieliszek do wina. O bólu, którego doświadczał, kiedy mozolnie wspinał się na schody albo szedł szybko



ulicą po gazetę. Ten sam ból dźgał ostro, kiedy puls przyspieszał. Na przykład, kiedy pogłaskała go żona, pierś wypełniała się kolcami. Tak podziałała fotografia biblioteki — prezent od syna. Coś ścisnęło go za przelyk i wbiło mu szpony w płuca.

Oparł się na krzesło. Myślał, co się stanie z tymi nowymi stronami. Już za późno, żeby zwyczajnie je dać: sformowałyby się moment emocjonalny, a coś takiego mogło zniechęcić go do podjętych postanowień. Nie, przyszedł mu do głowy lepszy sposób. Stukał palcem po grzbietach książek ustawionych na półce, aż znalazł pierwszą wersję swojej pracy *O pięknie*, którą kazał oprawić w skórę ciemną jak czarna melasa. Nie było sensu wracać do łóżka, bo ból w klatce piersiowej i podniecenie nie pozwoliłyby mu zasnąć. Włożył tweedową marynarkę, sztruksy i poszedł do samochodu z traktatem *Opięknie* w jednej ręce i świeżo napisanym listem w drugiej. Książki. Czytanie. Magia pióra i papieru. Chłopiec musi to dopiero odkryć i może po lekturze tego listu nastąpi zwrot. Napisał o wszystkim, co go przerażało, i jeszcze więcej. Opisał prześwietlenie, chwilę, w której po raz pierwszy stanął wobec ciemnej, przezroczystej mapy samego siebie. Uważał, że ten list stworzy pomost między ojcem a synem. Od dnia, kiedy wymyślił, że będzie miał syna, marzył, żeby kiedyś udało mu się zbudować taki łącznik.

Jechał pod gwiazdami, pustą w środku nocy drogą, aż do Glamsgallow. Zaparkował przed małą uniwersytecką introligatornią. List i oprawiony w skórę rękopis trzymał na kolanach. Czekał na rozpoczęcie dnia, na czas otwarcia, na szansę, żeby wszystko naprawić.

**MIDAS I IDA JECHALI NA POŁUDNIE**, w stronę Gurmton. Wybrali drogę położoną wysoko nad urwiskiem. Na morzu stała mgła, utrudniała orientację, jak wysoko się znajdują. Zaparkowali na pustym miejscu widokowym i Midas zaniósł pudła na sam skraj klifu. Wyglądał, jakby stał na brzegu jeziora chmur. Bufiaste białe poduchy rozciągały się po horyzont. Nie podobało mu się, że jest tak niebiańsko.

Najpierw wyciągnął garnitur ojca. Podniósł go na wiatr. Podmuch wyrwał marynarkę i spodnie, zanim Midas zdążył je wypuścić. Ubranie zniknęło we mgle. Potem okulary — wirowały w powietrzu jak bąk. Kostki do gry z wielorybiej kości zagrzechotały w chmurach. Stara apaszka, której nigdy nie widział za życia ojca, szybowała przez opary jak motyl obciążo-

ny wilgocia. Kawałek po kawałku dematerializował ojcowskie pozostałości, a kiedy już wszystko zrzucił z urwiska w chmury, zaczął ciskać całe pudła.

Na koniec została książka. Ida podała mu ją uroczyście. Przez chwilę wahał się, zastanawiał, czy jeśli zniesie lekturę uczonej bazgraniny, pozna powody, dla których autor pożegnał się z życiem. Ale kiedy trzymał ją w ręku, przejechał palcem po okładce i po raz pierwszy w życiu otworzył ją ostrożnie, żeby nie zagiąć grzbietu, stanął mu przed oczami ojciec wykonujący takie same rytualne gesty. Zaczął wściekle wyrywać kartki z okładki i ciskać je w powietrze. Walczyły z wiatrem, jak przerażone zwierzęta. Trzepocząc, obijały się o siebie.

Wtedy zdarzyło się coś niespodziewanego — wrzasnął mimowolnie:

— Nie!

Sięgnął po szaleńczo roztańczone strony, pisma ojca dziwacznie podrygujące na niebie, ale były już poza zasięgiem ręki, daleko w chmurach. Potknął się i poleciał do przodu, kiedy próbował je złapać. Ida musiała go przytrzymać, żeby nie spadł w przepaść. Szarpnęła Midasa do tyłu, stracił równowagę i upadł na bok, na trawę. Chwycił ją za ramię i niechcący pociągnął za sobą. Krzyknęła, przewracając się, ale jego ciało złagodziło upadek. Dyszała i rzeziła przez kilka minut, ale nie była przerażona, bo leżąc na nim, przytuliła policzek do jego policzka. Stykając się głowami, razem patrzyli w stronę morza, na nieskończone królestwo chmur.

MIDAS WYSZEDŁ DO PRACY, DO CATHERINE'S. Ida stwierdziła, że jego dom wcale nie jest taki przytulny. Zdała sobie sprawę, że po prostu czeka na powrót Midasa. Postanowiła wyjść na dwór. Z trudem człapała pod górę, pod prąd płatków śniegu, aż dotarła do najbliższego miejsca, gdzie mogła usiąść i nikt by jej nie przeszkadzał. Drzewa na cmentarzu przy kościele Świętego Haudy wyciągały szponiaste ramiona ku swoim braciom w lesie na wzgórzu.

Była jedyną osobą w kościele, usiadła na wyściełanej ławce, wdychała zapach starego wosku ze świec. Na witrażu przedstawiono zastępy niebieskie biernie przypatrujące się lotowi świętego Haudy, niesionemu nad cieśniną Ettinsford przez stado wróbli. Kolory wyblakły — pomyślała, że to nieuchronne — i szkło było teraz monochromatyczne. Na ołtarzu stał wazon z białymi kwiatami. Na pewno z Catherine's.

Z drzwi do zakrystii wyszedł wikary, skierował się ku nawie, zerwał numer hymnu z tablicy i zniknął. Na półce przymocowanej z tyłu ławki leżała Biblia. Odsunęła ją delikatnie i położyła na drewnie głowę.

W dzieciństwie widziała obsunięcie się ziemi. Urwisko przegrało z wodą. Kiedy to się stało, piknikowała z matką i ojcem po drugiej stronie zatoki. Jaskrawe słońce wydobywało ciepły złoty odcień z urwiska. Dzień był spokojny, morze płaskie i lazurowe. Nagle skały po drugiej stronie zatoki zaczęły się ześlizgiwać w morze, jakby podcięła je brzytwa. Sześciennie głązy w zwolnionym tempie odrywały się od brzegu, pozostawiały po sobie żółte lśnienie piaskowca, który spotykał się w połowie drogi z rozpyloną pianą. W ciągu pół minuty klif zamienił się w rumowisko kamieni i trawy, a morze zalało bursztynowe kamienie odrzucone przez ląd.

Czasem zastanawiała się, co zaszło w ukrytym wnętrzu klifu. Jakie pęknięcia, cienkie jak włos, ukryte szczeliny doprowadziły do ostatecznej porażki. Przez ostatnich kilka dni czuła ból w tych częściach ciała, które wcześniej nigdy jej nie bolały. Pod żebrami. Wzdłuż kręgosłupa. Po wewnętrznej stronie uda — jakby otwierała się tam pieczara.

Popatrzyła na drugi witraż w kościele. Zbiorowisko świętych straciło kolor podobnie jak święty Hauda. Trzeba by tu kogoś, kto znałby Biblię nie gorzej niż jej ojciec, żeby domyślił się, która postać kogo przedstawiała. Dla Idy wszyscy wyglądali podobnie. Piękne zjawy. Dziewica z urną stała najbliżej. Patrząc przez jej twarz i szaty, Ida widziała, jak na cmentarzu za ścianą kościoła wiatr potrząsa konarami drzewa.

Sama zadrzała; wstała z trudem i wyszła, opierając się na szczudłach. Echo kroków odbijało się od sklepienia.

**MIDAS PRZEZ CAŁĄ PORANNĄ ZMIANĘ ROZWOZIŁ BUKIETY** po Ettinsford i okolicznych wioskach. Ostatnia dostawa z listy zawiodła go do podpartej granitowymi filarami drogi, wiodącej po grani obok Tinterl. Samą grań tworzyły grzbiety przysadzistych wzgórz, które ciągnęły się przez całą wyspę, do Lomdendol Tor. Nie odwiedzał tego miejsca od pogrzebu ojca i był zdziwiony, kiedy otrzymał to zamówienie. Podany adres pamiętał z dzieciństwa: niezamieszkane, strome skały wokół Wodenghyll Force, porywistego wodospadu wielkości pięciu domów, który oznajmiał swoją obecność mgiełką wodną unoszącą się jak dym nad ogniskiem. Kiedy jechał pod górę z Ettinsford, każde pęknięcie w głazach broczyło kryształową wodą, zasilaną gęstymi opadami śniegu. W przeciwieństwie do innych rzeczy na wyspach szare fasady skalne i nagie zbocza, nawiedzane przez kruki były tak samo wielkie, jak zapamiętał z dzieciństwa. Mniejsze siklawy tryskały ze skał do głębokich sadzawek, po drodze rozchlapując wodę.

Wodospady przy trasie do Tinterl nigdy nie zaskarbiły sobie łask turystów. Nawet tryskająca wściekłość Wodenghyll Force nie potrafiła odciągnąć przybyszów od plaży i życia towarzyskiego w marinach. Wodospad był zjawiskowy, jak każde wielkie dzieło przyrody, ale w jego dzikości brakowało dostojeństwa. Na starej mapie wyspy, przy Wodenghyll ojciec zrobił najdłuższą notatkę.

„Ryk odbija się echem od wzgórz. Widziałem kiedyś, jak woda pochłonięła i zmiażdżyła drozda — połamała i zmiażdżyła mu kości. Tutaj przyroda brzydzi się sobą — sam występ skalny to paskudztwo. Dobrze”.

Pnącza i soczyste, czarne mchy zarosły punkt widokowy nad Wodenghyll Force. Opony samochodu Midasa rozgniatyły je jak ślimaki, kiedy parkował. Bukiet leżał na siedzeniu obok, cienka wiązka łądyg i puszystych płatków. Mgiełka wodna nad wodospadem zamazywała niebo, ale i

tak dostrzegał ogrom lasów na wyspie pokrytych chmurami. Nie widział natomiast ani jednego domu, do którego mógłby dostarczyć bukiet.

Stał tam jednak znajomy samochód: jedyny poza jego wozem.

Carl Maulsen garbił się na fotelu kierowcy, obgryzał paznokcie. W pierwszym odruchu Midas chciał dzwonić na policję, ale w postawie Carla było coś zniedołężniałego. Na podbródku zarysowywała mu się niechlujna srebrna broda. Midas oczekiwał że odezwie się w nim nieśmiała uległość, którą w przeszłości od czuwał w obecności Carla, ale nic takiego się nie pojawiło. Podeszedł i lekko zapukał w szybę. Podobała mu się ta nowa pewność siebie, którą Ida nazywała odwagą. Carl zawahał się, zanim otworzył okno.

—O co chodzi? — zapytał Midas.

—O przeprosiny.

Na tylnym siedzeniu piętrzyły się pledy i poduszki, leżały plecak i walizka. Przez okno ulatywał nieprzyjemny zapach ciała.

—Spałeś tutaj?

Carl otworzył drzwi od strony pasażera.

—Nie mogę wrócić do domu. Wskakujesz? Proszę.

Midas pokręcił głową. Nachylił się bliżej, żeby usłyszeć, co mówi Carl. Kiedy wcześniej się spotykali, głos Maulsena był śmiały i lepki jak syrop. Teraz przerwy między słowami wypełniała wściekłość klęski.

—Wyjeżdżam, Midasie. Może do Ameryki. Byle z dala od tych wysp. Tego jestem pewien.

Midas milczał.

—Miejsca potrafią nami zająć i stajemy się zaledwie częścią krajobrazu, przejmujemy jego kaprysy i dziwactwa. Na kontynencie są takie, do których nie mogę wrócić bez uczucia, bez wydobywania spraw, o których myślałem, że je uporządkowałem i zakończyłem. Mój kampus uniwersytecki, pewna plaża, kino. Tylko ze względu na Freyę Ingmarsson. To przez nią przeprowadziłem się na St. Hauda's Land, nie rozumiesz? Mimo że już nie żyła, kiedy tu przyjechałem. Lubiała słońce i łodzie, a tutaj nie by-



ło niczego, co by ją przypominało. Dobre miejsce, żeby się jej pozbyć. Ale przywiozłem ze sobą jej cząstki. Podkowę, kartkę bożonarodzeniową. Kiedy przyjechała Ida, żeby u mnie się zatrzymać... Midasie, to mi tylko przypomniało, jak bardzo kochałem Freyę. — Jęknął, zakrył twarz swoimi niedźwiedzimi łapami. Pożółkłe od nikotyny zęby miał skośne jak zęby piły. Midas pamiętał, że były równe i białe.

Patrzył na monstrualny grzyb mgły wodnej unoszącej się nad Wodenghyll Force w miejscu, w którym wodospad wwiercał się w jezioro aż do samego dna. Mgła pożerała delikatne płatki śniegu.

—Jesteś tchórzem, Carl — powiedział z determinacją, której nie potrafił nawet sobie wyobrazić jeszcze kilka dni temu. Zastanawiał się, czy to uczucie miała na myśli Ida, kiedy mówiła, że chciałaby siedzieć w łódce na spokojnej wodzie. Uczucie pewne jak poziomica, wsparte głębią powściąganego napięcia. — Za bardzo się boisz, że świat nie kręci się wokół ciebie. Wydaje ci się, że nawet krajobraz jest ci podporządkowany. Daleko możesz zejść w życiu z takim nastawieniem. Domyślam się tego, chociaż mi zawsze brakowało odwagi. Ludzie szanują cię, kiedy się ciebie boją. Nie sądzę jednak, żebyś był w stanie pokochać i być kochanym.

Carlowi trzęsły się ręce na kierownicy.

—Kochałem Freyę.

—Ale nikt nie powie, że oboje byliście zakochani, Carl. I to jest różnica. A w konsekwencji ona bała się ciebie, tak jak wszyscy.

Nie zostało już nic do powiedzenia, Midas odwrócił się i poszedł do samochodu. Rzucił bukiet na ziemię i przejechał po nim. Wracał do domu, do Idy.

**CARL SIEDZIAŁ W SAMOCHODZIE, DRZWI BYŁY OTWARTE.** Wodna mgła wpadała do środka. Wnętrze wozu przypominało zawilgocony pokój w starym domu. Carl czuł się jak mebel gnijący od środka. Popatrzył na bliski horyzont, raptowny spadek Wodenghyll Force. Wiedział, że wystarczy obrócić kluczyk w stacyjce i docisnąć gaz.

Wyobraził sobie, jak woda huczy wokół niego, spycha go w dół, na dno jeziora, twarzą naprzód, bez powietrza, ze żwirem w ustach, na pokarm dla ryb. Albo to, albo brnąć dalej, przeprowadzić się w nowe miejsce, pocze-

kać, aż stare uczucia gwałtownie opuszczą trzewia. Nie mógł mieć nadziei na żadne zakończenie, a co, jeśli skończy według własnego planu? Nie wierzył w życie pozagrobowe, chociaż bardzo mu tego brakowało, kiedy umarła Freya. Był na to za silny.

Ale nagle siła wydała mu się słabością. Midas tak to określił. Siła wyprowadziła go na manowce, a taki słabeusz, Midas, pełził drogą do miłości i ją znalazł.

Te uczucia zniszczyły go, pożądanie kobiety, która dawno nie żyła, było z taką mocą z bezdennej studni jego wnętrza, że jedyną nadzieją wydawało się teraz pozbycie się ciała. Pomyślał, że skok samochodem z Wodenghyll Force wyprowadziłby go poza świat ciał, do nicości, do Freyi. Gdzie przynajmniej nie było Charlesa MacLairda. Na razie.

Obrócił kluczyk w stacyjce. Silnik zadudnił i zgasł. Carl spróbował jeszcze raz, nic z tego. Wysiadł, podniósł maskę i zaczął walić w podzespoły napędu. Silnik nie dawał się uruchomić. Carl ciasno zapiął kurtkę. Wodna mgła przenikała przez ubranie. Było mu zimno. Zrozpaczony jeszcze raz spróbował odpalić samochód. Przeklinając, wyjął telefon komórkowy ze schowka na desce rozdzielczej. Bateria siadła. Spał w samochodzie i nie naładował komórki.

Ogarnęła go nagła wściekłość. Ryczał, ślina mieszała się z mgłą i drobnym śniegiem wlatującym mu z wiatrem do ust. Niekończący się okrzyk wojenny wodospadu wchłonął odgłosy jego wybuchu.

Będzie musiał urządzić sobie pieprzony spacerek do Tinterl, złapać za kołnierz miejscowego proboszcza albo wdrzeć się do któregoś z domków i zażądać schronienia przed zimnem. W razie potrzeby użyje przemocy i gróźb.

Poszedł, lekko się potykając. Wiatr na drodze po grani zawiewał z rykiem z boku, chłoszcząc go coraz gęstsza mgiełką wodną i zamarzającymi kroplami. Kroczył chwiejnie, miotając po drodze przekleństwa. Brodził w strugach wypływających z mniejszych wodospadów, przeskakiwał nad głębszymi strumykami. Źle ocenił odległość przy skoku, przemoczył sobie obie stopy. Natychmiast zrobiło mu się zimno w palce. Pomyślał o Idzie, jak kulejąc, odchodziła od niego w Enghem Stead. Robiło mu się niedo-



brze, że musi być ze sobą. Mroziła go myśl o tym, co zrobił. Dobrze, że chłopak Crooka znalazł dziewczynę.

Jaskrawe białe niebo raziło go w oczy.

Droga skręcała. Czuł, że wiatr wywraca mu powieki. Kąsały go strzały mroźnej ulewy, szedł wyprostowany, stawiając czoło lodowym bryzgom. Brnął z coraz większym trudem, ślizgał się na zamrzniętym asfalcie. Pokonał kolejny zakręt i stanął. Po lewej stronie stok wzgórza opadał, po prawej wznosił się stromo. Z góry ześliznęła się wielka połać śniegu i pokryła drogę. Nabrał głęboko powietrza, spróbował się przez nią przedrzeć. Nogi mu się zapadły, upadł. Szedł do przodu na czworakach, ramiona i nogi zapadały się głębiej, niż oczekiwał. Kiedy wreszcie przebrnął na drugą stronę śnieżnej zasy, zęby mu szczękały, oddech krystalizował się w powietrzu. Wylał wilgoć z twarzy. Próbował się zorientować, ile zostało mu jeszcze do przejścia. Droga opadała przed nim w nieskończoność, wiła się wśród skał i rozpadlin, aż nikła w zamazanej zawieją dali. Nie było śladu ani kościoła w Tinterl, ani innego budynku.

Ogarnęła go mdląca panika. Czyżby poszedł w złym kierunku? Nie widział niczego z tyłu, za zaspą. Włókł się do przodu.

Ulewa gęstniała, śnieg z deszczem walił jak pierzasta ściana. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi kobiecą postać złożoną z cząsteczek, jej arktycznie jasne włosy powiewały w wichurze, ale była odwrócona tyłem i nie rozpoznał, czy to Freya. Zniknęła równie szybko, jak się ukazała. Ręce i nogi mu zeszywniały, przestały reagować. Zrozumiał, że nie dotrze do kościoła w Tinterl. Zastanawiał się, czy stopy Idy są równie drętwe jak jego. Położył się w śniegu na środku drogi.

**PATRZYŁA, JAK NAD TORFOWISKAMI UNOSZĄ SIĘ OPARY.** Mleczna biel nieba odbijała się w kanałach wodnych i wydobywała kształt zdechłego szczura, który leżał na poboczu. Ogon i łapki ukrzyżowały mu bieżniki opon.

W wygodnej ciszy przejeżdżali obok drzew owiniętych wełnistym mchem, mijali gęste sadzawki i ślady zamarznętego torfu.

Wychodziło na to, że ilekroć zapominała o nieobecności ciała pod skarpetkami, o szkle pętającym nogi, zamkniętym na zasuwę jej własnych kości, ktoś kto chciał ją wyleczyć, druzgotał tę pogodę ducha. Midas nalegał, żeby jeszcze raz odwiedzić Henry'ego, żeby chwycić się słomki, kiedy cenne dni uciekały.

Kuracja i powstrzymywanie, Carl ciągle o tym mówił. Wszystkie te bzdury na temat Saffron Jeuck. Niejasne gadanie o kontrolowaniu jej stanu.

Zbliżali się do domku, liście bluszczu porastającego ściany unosiły się na wietrze jak ogniwa. Zmusiła się do słabego uśmiechu. Chciała tylko siedzieć przy Midasie i jechać z nim przez nieskończone krajobrazy.

Henry'ego nie było w domu.

Zajrzeli przez brudne okno. W domku panował bałagan. Na podłodze salonu, wśród papierów, leżały rozrzucone książki.

Midas podrapał się po głowie.

—Co teraz?

Gdzieś na bagnie przenikliwie zagwizdał ptak.

—Midasie — powiedziała. Stali obok siebie w ogrodzie Henry'ego. — Prawdę mówiąc, cieszę się, że go nie ma. Nie chcę szukać kolejnej kuracji.

—Ale...

—Cśśś. Chcę ci coś pokazać.

Zaprowadziła go do zagrody dla bydła ze skrzydłami ciem. Nacisnęła klamkę. Wszedł za nią przez zewnętrzne drzwi. Natychmiast poczuli ostry odór jak z kurzej fermy. Otworzyła wewnętrzne drzwi do pomieszczenia pełnego klatek dla ptaków zwisających z pułapu.

Oparła szczudło o ścianę i wolną ręką wzięła jedną klatkę. Stała pośrodku zagrody i poleciła Midasowi, żeby się nie ruszał.

Stado wyrównało lot. Wokół nich powstał wir futer i skrzydeł cuchnących stęchlizną. Ida aż sapnęła, kiedy jeden z byczków usiadł jej na głowie i zaczął czochrać włosy różkami. Obok przycupnął drugi, kolejny wylądował na ramieniu Midasa, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż całe stado obsiadło ich ramiona, parszając i potrząsając małymi główkami, trzepocząc skrzydłami, przestępując z kopyta na kopyto wielkości główki zapalki.

Potem zaczęły brzęczeć muzykalnie w luce między nimi. Wzięła go za rękę i przyciągnęła bliżej. Stali tuż obok siebie, krówki brzęczały, byczki parskały we wspólnej symfonii. Ciele o skrzydłach koloru bławatka oparło się o matkę, odrzuciło głowę do tyłu i zaczęło muczeć, jakby wygrywało nutę na flecie.

—Nie da się mnie wyleczyć — wyszeptała. — Od tej chwili więcej o tym nie będziemy mówić.

NA MAPACH WYSPY, piaski na północ od Clammum-on-Drame wyglądały jak wyciągnięta ręka, na próżno próbująca schwytać arktyczną wiatry. Geolodzy twierdzili, że dawno temu piaski były skalistymi płaskowyzami. Trzęsienie ziemi zepchnęło je przed wiekami do poziomu morza. Na dowód tego z szarych plaży wyrastały granitowe sześciany. Miały płaskie albo ostre, ukośnie ścięte szczyty.

Ida i Midas jechali betonową drogą na wysokim wale, przecinającą kuzawkę. W grubej pokrywie piasku nawianego na jezdnię zostawały odciski opon. Celem był Clammum Knoll, pagór o łagodnych zboczach — wysunięty najbardziej na północ punkt na piaskach.

Siedzieli skuleni blisko siebie na ławce, na szczycie wzgórza, patrzyli na morze albo za siebie, na lśniące plaże, przecięte drogą i kanałami zalazanymi słoną wodą. Posępne bociany i kuliki włóczyły się bez celu, kormoran skrzeczał z łupiny wraku łodzi, która leżała na plaży jak czaszka wieloryba.

Na północy horyzont był nieprzenikniony. Tu znajdował się pierwszy przystanek wichru, który wcześniej owiewał lodowce i kry. Dzisiaj tylko poszeptywał i nie szarpał lustra wody.

—Zawsze chciałam wybrać się na biegun północny — wyznała Ida, wyciągając rękę w dal.

—Wybierzesz się.

—To nie potrwa dwie sekundy.

—Skąd wiesz...?

Sól z oceanu wyschła i zatrzymała łyzy zbierające się w jej oczach. Ida przypomniała sobie, jak ojciec solił kiedyś filet z dorsza, a jego myśli krążyły gdzie indziej. Wtedy byli w bardzo złych stosunkach. Patrzyła na nieskończone morze i zastanawiała się, ile soli by wyszło, gdyby wygotować całą wodę.

—Widziałeś dno morza? — zapytała, wiedząc, że nie widział. Chciała o tym porozmawiać i się odprężyć. — Tam, głęboko w dole jest zawsze zmierzch. W wodzie obłoki soli wyglądają jak duchy.

Midas pokręcił głową, uśmiechnął się.

—Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ciągle mnie zdumiewa, że zdołałaś zrobić znacznie więcej niż ja.

—To już niedługo.

—Nie mów tak.

—Chciałabym wsiąść z tobą do łodzi.

—W porządku.

—Co? — Tego się nie spodziewała.

—W porządku —powtórzył wolniej.

Zaczęła szybko mówić, żeby nie mógł się wycofać.

—Prognoza na jutro jest dobra.

Przełknął.

—Okej. Wynajmiemy łódkę i popłyniemy tak daleko, jak tylko się da. Póki morze spokojne. Mogę trochę powiosłować.

—No, Midasie, co się stało, że zostałeś wilkiem morskim?

—Właściwie nadal się boję, ale... wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Po-darłem książkę ojca... to było wyzwolenie. Jestem twoim dłużnikiem.

—A więc chcesz mi się odplacić?

—Nie. Hm, no tak, ale nie w ten sposób.

—Nie tak?

—Nie sądzę, żebym zdołał ci się odplacić.

Podniosła głowę.

—Nie bądź taki poważny.

—Ale... — Zwiesił głowę.

Szturchnęła go żartobliwie. Cofnął się, wyglądał na urażonego, więc znów go stuknęła. Tym razem oddał. Pisnęła, spadła z ławki na trawę.

—Jezu — jęknęła.

—Przepraszam.

—Nie, nie. Tylko pomóż mi wstać. Zimno mi w brzuch. Marznę. I dookoła bioder.

Podniosła się z pomocą Midasa.

Siedzieli na betonowej platformie. Przyptyw musiałyby podnieść poziom wody o prawie dwa metry, żeby ją zalać, więc na wzgórzu nie trzeba było bać się wody. Zachód słońca jak kowal wykuwał z nieba rozżarzone czerwone ostrza.

Siedzieli w milczeniu i podziwiali ten blask. Położyła głowę na jego ramieniu. On oparł o nią swoją głowę.

—Powinienem zrobić zdjęcie.

—Nie. Po prostu zapamiętaj to. I nas.

Przełknął.

Uśmiechnęła się. To były właściwe miejsce i właściwy czas.

Pocałowali się. Owiewał ich wiatr.

ZANIM POSZEDŁ NA KOLEJNĄ ZMIANĘ DO CATHERINE'S, zostawił Idzie na stole gałązkę bladożółtych narcyzów. Siedziała przy nich, pisząc kartki na Boże Narodzenie. Poprosiła Midasa, żeby je kupił, bo męczyła ją sama myśl o wyjściu do sklepu.

Próbował wybrać takie, które by się jej spodobały. Ida знаła gust Midasa. Widziała jego stare kartki. Czarno-białe fotografie minionych świąt Bożego Narodzenia. Brukowane ulice, matki z kamiennymi twarzami trzymające za ręce dzieci w długich koszulach. Gazowe latarnie płonące w aureolach śniegu. Drzwi kościołów pokryte patykowatymi wieńcami z ostrokrzewu. Mimo że uwielbiał monochromatyczne obrazy, wziął dla niej śliczne, kolorowe kartki. W zestawie były cztery, wszystkie ze zdjęciami saren w śnieżnych górskich dolinach. Łaciaty koziołek wytrzeszczał oczy z gąszczy ostrokrzewu, a czerwone jagody odbijały się różowym blaskiem od jego futra. Łania stała między wznoszącymi się gałęziami obalonego dębu, miała komiczną czapkę z niebieskawego śniegu. Jeleń i jego towarzysza ocierali smukłe szyje o konary obwieszane jemiołą.

Otworzyła pierwszą kartkę i włożyła do pióra nabój z atramentem. Bezmyślnie napisała: „Mamo i Tato”. Podarła kartkę i otworzyła następną, żeby napisać tylko: „Tato”. Odłożyła pióro, ciężko dyszała. Gorący skurcz ścisnął ją za jelita i sprawił, że krew napłynęła jej do głowy. Skupiła się na oddychaniu.

Zanim Midas wyszedł, skłamała, że czuje się lepiej. Bo tak naprawdę biodra obezwładniał jej nowy, gorący rodzaj paraliżu. Jak nienasycony świąd po wewnętrznej stronie skóry. Miętkość w mięśniach regularnie przerywał palący ból. Domyślała się, co to znaczy.

Drapała paznokciami farbę na stole, kiedy ból znów wybuchnął płomieniem. Zgrzytała zębami. Potworna męka ustąpiła, Ida odetchnęła. Kiedy skłamała Midasowi, że lepiej się czuje, z ulgą uśmiechnął się szeroko i pocałował ją bez wahania.

Westchnęła. Kiedy wyobrażała sobie, że zamieni się w szkło, czuła się tak, jakby w jej środku otworzyła się zapadnia i runęła w nią cała odwaga.



Myślała o tym, że jest za młoda, żeby tak cierpieć. Kiedy oddawała się młodzieńczym szaleństwom, nawet kiedy gwałtownie spadała — powietrze gwizdało jej koło uszu, a lina bungee wirowała za nią — nie czuła niczego równie niekontrolowanego jak to, co teraz, kiedy chciała za wszelką cenę zostać z Midasem. Nie mogła mu powiedzieć, że wie, jak bardzo pogarsza się jej stan. Instynktownie wychwytywała postępy szkła jak zwierzę, które wyczuwa drgania przed trzęsieniem ziemi. Nie zrozumiałaby, gdyby mu powiedziała.

Miała wrażenie, że się z nim zderzyła. Pragnęła tego przez całe życie: wbić się chociaż na chwilę w innego człowieka z taką siłą, żeby się z nim stopić.

Ta chwila nie przyszła u szczytu nocnej namiętności, jak się spodziewała, ale rano, kiedy jednocześnie otworzyli oczy i patrzyli na siebie. Byli jak noworodki, dzielili pierwszy oddech na tym świecie. To odeszło równie szybko, jak przyszło. Midas zaczerwienił się i odwrócił od niej wzrok. Dotknęła jego twarzy.

„Szczęśliwego Bożego Narodzenia, Tato, od Idy”, dmuchnęła na atrament, włożyła kartkę do koperty i zakleiła. Żałowała, że nie mogła napisać więcej.

Kiedy już raz przeżyła tę chwilę, ze wszystkich sił pragnęła przeżyć ją ponownie. Gdy rano Midas wyszedł do pracy, odniosła wrażenie, że temperatura w pokoju spadła, bóle w miednicy zdwoiły się, skóra na biodrach zrobiła się bardziej obolała. Tymczasem będzie jednak udawała, że jest jakaś przyszłość.

**PRZEZ NOC KORONA MIĘSISTEJ, STAREJ RÓŻY** W Catherine's zrzuciła do szklanego wazonu płatki jak kawałki przypalonej wstążki. Midas ze smutkiem patrzył na wypaczone czerwone planety w wodnym kosmosie i myślał o nogach Idy. Tego ranka, kiedy obudzili się jednocześnie, nie rozpoznał własnego łóżka ani zgiełku dochodzącego z ulicy, ani miękkiego dotyku koców. Nie rozpoznał Idy, jakby po raz pierwszy ją zobaczył. Jakby jej obraz był pierwszym, co w życiu widział.

Włożył zdrowe róże do nowego wazonu, a zawartość pierwszego wylał do zlewu. Płatki wirowały na tle nierdzewnej stali, zanim utonęły w odpływie. Podeszedł do okna, między satynowymi tulipanami ułożył bulwy z

odbarwionego drewna. W kwiatach było coś tajemniczego. Często, kiedy siedział sam w kwaciarni, wydawało mu się, że ich płatki szepczą coś nieuchwytnego dla ludzkiego ucha. Na dworze mgła ogarnęła ulicę i zrobiła z niej płytę rezonansową wypełnioną suchym lodem. Miasto za drogą było tylko złudzeniem.

Midas westchnął. Nie mógł się doczekać końca zmiany. Chciał wrócić do Idy. Mimo że tego popołudnia mieli wypłynąć łodzią, czego się bał.

Cały dzień czuł się paranoicznie. Z samego rana usunął wszystkie zdjęcia Idy. Wyszedł, kiedy spała. Patrzył na nią, włączając laptop. Włosy miała kędzierzawe, wargi spękane. Nie chciał, żeby się obudziła i zaczęła obmacywać kostki, jakby starała się przekonać, że to tylko zły sen.

Wszystkie fotografie przedstawiały jej stopy. To nie była Ida. Dlatego je skasował.

Światło nie mówi prawdy, jak kiedyś uważał. Nie ma sposobu na to, żeby zakonserwować prawdę. Światło mogło służyć zaledwie jako metafora nieuchwytnych chwil. Chyba że zostanie wynaleziony aparat, który zdoła zawrócić człowieka do chwili z przeszłości.

Zdjęcia jako takie były bezwartościowe. Z początku czuł podniecenie, kiedy je usuwał. Bez nich miał tylko ciało, włosy, szkło. Tyle że teraz, w znajomej, pełnej pyłków atmosferze, załatwiając monotonne zamówienia klientów, zaczynał wątpić, czy dobrze zrobił. Za długo określał się poprzez fotografię.

Odezwał się dzwonek i otworzyły się drzwi. Podmuch wiatru poruszył tulipanami. Midas pamiętał, jak niedawno Ida weszła do Catherine's. Podpierała się wtedy tylko jedną, cienką laską. Tym razem to Gustav, a więc koniec zmiany.

Gustav wyglądał na oszołomionego.

—Co w ciebie wstąpiło?

Midas zaczął przebierać w miejscu nogami.

—Wyływam na morze. Z Idą — oznajmił.

—Ta dziewczyna rzeczywiście działała z tobą cuda. W życiu bym nie pomyślał, że kiedykolwiek wsiądziesz do łodzi. Już prędzej bym przypuszczał, że polecisz w kosmos.

Midas włożył kurtkę. Mijając przyjaciela, uśmiechnął się lekko, było w tym trochę szczęścia, trochę strachu. Popędził ulicą do domu.

Gustaw pokręcił głową i usiadł za biurkiem. Wyjął parówkę z sosem barbecue i gazetę. Doczytał do połowy wiadomości sportowe, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach i nieśmiało weszła kobieta w eleganckim, czarnym płaszczu przeciwdeszczowym. Miała długie, czarne włosy. Nie zrobiła sobie makijażu, żeby ukryć worki pod oczami.

—Szukam Idy MacLaird — powiedziała szybko. — Wie pan, gdzie ją znaleźć?

**EMILIANA STALLOWS KILKA OSTATNICH DNI** spędziła na kontynencie. Po wyjeździe z Enghem zadzwoniła do hotelu nad morzem, żeby zarezerwować pokój na jeden dzień, ale zmieniła zdanie, kiedy się meldowała. Postała przez chwilę przed kontuarem recepcji w przytulnym holu, nie zwracając uwagi na pytania recepcjonisty. Była w stanie myśleć tylko o Idzie MacLaird. Wreszcie poprosiła o zwrot karty kredytowej, założyła torbę na ramię i poszła zalanymi deszczem ulicami do terminalu promu.

Przeprawa nie sprawiła jej przyjemności. Prom mocno się kołysał. Tuż za oknem widziała ciemne morze. Jedyłą pociechą było poczucie misji, jakie dawała jej ta podróż. Przez cały czas trzymała w zaciśniętej dłoni zmięty adres rodziny Saffron Jeuck.

Nielatwo znalazła ich dom w osiedlu nowego miasta z wąskimi uliczkami, gdzie ceglane domy stały ściśnięte w porządną szereg. Pan Jeuck otworzył drzwi. Pierwsza z trudnych chwil tego dziwnego popołudnia, ale Emiliana odeszła z informacją, której szukała.

Nie na to liczyła. Pięć minut siedziała w samochodzie, zakrywając dłońmi twarz, zanim zebrała siły, żeby ruszyć dalej.

W ostatnich minutach życia Saffron krzyczała, żeby ojciec do niej przyszedł. Przybiegł, usiadł obok, oparła się o niego. Razem przyglądali się niespodziewanej, finalnej fazie transformacji w szkło. Przemiana przyspieszyła. W poprzedzających ją dniach Saffron narzekała, że czuje się słaba,

jakby uczestniczyła w długiej bitwie i teraz musiała się poddać ze zmęczenia. Kiedy ciało zrezygnowało, szkło niespodziewanie nabrało rozpędu. Na długo wcześniej ojciec i córka zastanawiali się, co zrobić w takiej sytuacji, ale pan Jeuck miał zbyt roztrzęsione ręce, żeby zdjąć korek z małej, białej buteleczki z pigułkami. Saffron sama musiała otworzyć fiolkę, wysypać pigułki na język i połknąć je na sucho.

—**PROSZĘ POWIEDZIEĆ, GDZIE JEST IDA** — nalegała Emiliana, opierając się o ladę w Catherine's. — Muszę pilnie z nią porozmawiać. Albo z Midasem. Mogę mówić z Midasem?

—Powoli — odparł spokojnie Gustaw — Wyłynęli łodzią na morze. A ocean jest wielki.

Uderzyła pięścią w ladę.

—Chodzi o to... — zaczęła z rozpaczą. — Ona jest bardzo chora. A ja mam dla niej straszną wiadomość. Musi ją usłyszeć...

—Nie da się z nią porozmawiać. A nawet gdyby, to jest pani pewna, że Ida chciałaby to usłyszeć?

**URWISKA ROZPADŁY SIĘ NIEDAWNO.** W miejscach, gdzie kawały skał runęły na plażę, zostały kredowe jaskinie. Dwa mola wychodziły w morze. Przy jednym złamanym w połowie stał podtopiony, zardzewiały kuter wielorybiczny. Blachy kadłuba przerzynały wodę, z tyłu sterczał roztrzaskany maszt.

Ida ułożyła się w pozycji pólężącej w łodzi i obserwowała, jak Midas chodzi w tę i z powrotem po niezniszczonym molo. Deski pomostu ugiwały się przy każdym kroku. Patrzyła z zachwytem. Lęk go nie opuści, ale teraz będzie mógł mu się przeciwstawić. Potrzebował takiej rozgrzewki. Mruknął, nachylił się, żeby zajrzeć do łodzi, i znów się wyprostował. Bał się wody jak kot. Wyciągnęła rękę. Mocno nabrał tchu. Przysięgłaby, że powietrze ugięło się, wpadając mu w usta. Wreszcie wskoczył do łodzi uszczęśliwiony, mimo że się przewrócił. Wbił się paznokciami w drewno, jak mokry kot. Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie o to chodzi. Nie ufał,

że woda utrzyma łódź. Dopiero, kiedy popłynęła spokojnie, jak kartka papieru, na próbę puścił burty.

Wreszcie usiadł, podciągając kolana pod brodę. Ida wiosłowała. Obawiała się, że nie zdoła się zaprzeć, nie czując nóg, ale szkło zakotwiczyło ją i dało punkt podparcia. Płynęli na otwarte morze. Brzeg zmienił się w kredową linię na kamiennej ścianie.

Piaszczyste dno wyglądało, jakby roztopiało się w wodzie. Klarowna głębina przeszła w mglisty otmęt, kiedy odpłynęli jeszcze dalej. Lekka mgiełka rozmywała horyzont w pusty przestwór pachnący solą.

Ida była zadowolona, że może na niego patrzeć. Midas, na swój sposób, milcząco wyrażał jej wdzięczność. Pomyślała, że mnisie bractwa w mrocznych klasztorach czuły w powietrzu taką samą elektryczną więź.

Przypomniała sobie analogię stworzoną przez ojca Midasa, a powtórzoną przez Carla nie tak dawno, kiedy śnieg uwięził ich w jego domku: są jeszcze ubrania, które można zrzucić. Uśmiechnęła się na myśl, że nareszcie rozebrała Midasa do skarpetek i slipów. Człowiek nosił więcej warstw, niż mogłaby udźwignąć analogia traktująca o skafandrach i kamizelkach. A kiedy zdziera się zewnętrzne warstwy, od spodu narastają kolejne.

Piana spod wiosel ciągnęła się za łodzią jak tren sukni ślubnej. Ida zastanawiała się, czy wyszłaby za Midasa za męża, i zaskoczona tą myślą omal nie wypadła z łodzi. Nigdy jeszcze nie czuła się dobrze, wyobrażając sobie małżeństwo, pana młodego w garniturze, który zakłada jej obrączkę, i siebie w sukni z długim trenem.

—Coś nie tak? — zapytał Midas.

—Nic takiego.

Oczywiście, nie odbyłoby się to w ten sposób, bo nie ustałaby przed ołtarzem na nogach rozpalonych bólem. Ale udawanie, że wszystko dopiero się zaczyna, przyjemnie uderzało jej do głowy.

—Coś nie tak? — wyszeptał znowu.

—Nic takiego — powtórzyła. Przytrzymała się burty. — Po prostu trochę mi niedobrze.

—Mówiłaś, że nigdy w życiu nie miałaś choroby morskiej.

Przetarła oczy.

—Zawsze jest ten pierwszy raz.

Bolały ją biodra. Była to nowego rodzaju ukryta drętwota. W ogóle nie czuła nóg, ale instynktownie wiedziała, że tam coś się rozrasta. Pokręciła głową i spojrzała na morze, żeby oderwać się od tych myśli. Zobaczyła je od razu.

Wielkie, eleganckie ciała. Stado narwali. Śmieszne, pomyślała, że takie ogromne stworzenia potrafią się ukryć pod cienką warstwą wody. Przypomniała sobie, jak kiedyś nurkowała obok matki-wieloryba i jej cielątka. W turkusowych równikowych oceanach.

Narwale stały się lepiej widoczne, kiedy podплыnęły bliżej pod powierzchnię.

—Dziękuję, że wybrałeś się tu ze mną — powiedziała.

Patrzył na nią z niepokojem.

Niedaleko spiralny szpikulec wynurzył się z wody i wzniosł jak oszczep. Następny przebił powierzchnię i oddał salut obok pierwszego. Oba kły zetknęły się na ślepo.

—Nie bój się.

—Nie boję się — wymamrotał. — Hm... może troszeczkę.

Za kłami wyłoniły się obłe łby ze skierowanymi ku niebu, dziecinnymi oczami. Ciała narwali rozrywały morze jak papierowe opakowanie. Nagle wypływały, wyrzuszając równą taflę morza. Szorstkie od pąkli, z fałdami tłuszczu prążkowanymi czernią i bielą, jak obsydian i kwarc. Opierały się ciężarowi wody, a po chwili, niechętnie, znów wślizgiwały się pod powierzchnię, znikwały w kraterach oceanu, zostawiając tylko obłok oddechu wiszący w zimnym powietrzu.

Potem ogony orały wodę. Na falach syczała piana.



Midas patrzył jak zahipnotyzowany. Zaczynało mu świtać, że nigdy nie zastanawiał się nad tym, jakie jest morze, kiedy nie odnosi się go do lądu. To była inna planeta.

Ostatni, największy ogon narwala chlapanął, rozpostarł się w sercowaty kształt na de nieba i ześliznął w głębinę. Stado zanurkowało i zniknęło tam, gdzie światło nie mogło za nim podążyć.

Midas odwrócił się do Idy, uśmiechał się strachliwie.

Oparła się o przeciwną burzę, nachylając ją do wody. Midas polazł naprzód i chwycił wiosła, które Ida zostawiła zwisające luźno w dulkach.

—Dobrze się czuję — jęknęła wbrew oczywistości.

—Spróbuj, hm, oddychać. Ostrożnie. To przejdzie.

Oparła czoło o deski. Przejechała dłońmi po udach i ścisnęła się za kolana.

—Powinniśmy wracać — stwierdził Midas.

Próbował wiosłować tak jak ona. Łódź zaczęła się okręcać. Wiosła chlapały beżużytecznie, wyrzucały w górę krople wody.

—Przestań — poprosiła.

Uniosła spódnicę. Pół centymetra nieskazitelnego kryształu pokrywało jej uda. Pod przezroczystą pokrywą napinały się stłuczone mięśnie. Midas puścił wiosła, znów opadły w dulkach.

Złapała go tak mocno, że paznokcie wbiły mu się w skórę. Razem patrzyli w milczeniu na jej kolana. Stawy się usztywniły.

Rozpięła kurtkę i zadarła koszulkę. Na ich oczach z brzucha znikwały szczegóły, pieprzyki, mieszki włosów. Purpurowe więzadła rozpląnęły się jak ziemia rozmięciona szczotką. Światło migotało w szklanym pępku. Przenikało do zarysu wnętrzości poruszających się pod warstwami twardniejącego tłuszczu.

—Płyniemy do brzegu — wychrypiał Midas, znowu sięgając po wiosła.

Złapała go za ramiona i mocno przytrzymała. Kiedy zrozumiał, o co chodzi, podciągnęła się, żeby przycisnąć twarz do jego twarzy. Całowali



się, patrząc sobie w oczy. Czuł, jak naprężają się jej łokcie i przedramiona. Uścisk osłabł. Ciepło żeber zaczęło zanikać.

Miękka skóra zrobiła się jak z ołowiu. Przejechał dłońmi po jasnych włosach. Przytrzymał ją za policzki.

Złączyli się wargami. Przesunęła językiem po jego zębach. Łzy Idy spływały mu na twarz.

Rozluźniła uścisk. Jej wargi wyglądały jak blaknący skrzep. Oparła głowę o jego głowę. Soczewki oczu stężały.

Czarne kropki źrenic zrobiły się małe jak nakłucia szpilką; zamknęły się, zniknęły. Przez chwilę głowa Idy była jak zlodowaciała korona róży, potem straciła wszelki wyraz.

Zaczął się trząść.

—Na pomoc! — krzyknął ile sił w płucach. Nadal tkwił w zamrznętym uścisku. Wreszcie wyplątał palce z jej włosów. Nie był w stanie spojrzeć na twarz. Usłyszał trzask. Szklane włókna, kiedyś włosy Idy, przywarły mu do palców, robiąc na skórze krzyżujące się nacięcia. Nadal ścisnęła go za ramiona. Musiał się wydobywać z jej objęć.

**MORSKA MGŁA ZACIEŚNIŁA KRĄG WOKÓŁ NIEGO**, stracił rachubę czasu, każda chwila wydawała się długa i bolesna, każdy oddech był jak dźwiganie ogromnych ciężarów. Mgła poszarzała, zmętniała. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Uświadomił sobie tylko ruchy swojego ciała na tle całkowitego bezruchu Idy. W brzuchu mu zaburczało, ogarnął go wstręt do siebie. Nie podnosił wzroku z kolan. Minęły godziny, zanim zdobył się na odwagę, żeby znowu popatrzeć na Idę.

Szklana twarz, zamarła w pocałunku, była maską skrywającą nicność. Przysunął się bliżej. Czuł, jak łódź nagle się przechyla, a woda chlupie o burty. Przez oczy Idy widział czyste szkło.

—Dokąd poszłaś? — zapytał. Rozpaczliwie dotknął laminowanej powierzchni policzków. W tym bloku twardego kryształu znajdowała się wcześniej myśl, wola, osobowość. Siła, która wyciągnęła go z inercji i dała mu więcej, niż miał kiedykolwiek. Nie potrafił zrozumieć, gdzie to wszystko się podziało. To nie było jej ciało... chyba że splątane przewody myśli i

uczuc, które składają się na człowieka, zachowały się gdzieś głębiej, w sercu albo w trzewiach, co tak często sam odczuwał. Chwycił rąbek jej koszulki, podniósł i odsłonił szklaną talię. Niebieski kolor materiału na plecach przeświecał na drugą stronę. Brzuch miała równie przezroczysty jak głowę.

Opuścił koszulkę i wytarł oczy. Łzy, przezroczyste jak Ida, zebrały mu się między kostkami ręki.

Ręce nadal miała uniesione do objęć. Poczul się ocieżyły. Uklęknął przed Idą i znów wcisnął się w jej uściski, w krąg ramion, żeby oprzeć swoją ciężką głowę o jej głowę.

Tak pozostał, szlochając cicho w rytm fal, aż zobaczył, jak za mgłą rozbłyskuje żółte światło.

Niechętnie wydobył się z uścisku Idy. W jego stronę płynęła pomarańczowa łódź ratunkowa.

Obejrzał się, popatrzył na roziskrzone rysy Idy i nagle zrozumiał, jaka przyszłość ich czeka. Przesłuchania. Badanie, sondowanie jej ciała. Reportaże w gazetach, programy w telewizji, fotografie. Szklana dziewczyna z St. Hauda's Land.

Kurtka wisiała teraz na niej jak pokrowiec. Promień światła z łodzi ratunkowej przeniknął przez jej głowę, wydobył z kryształu zanieczyszczenia, plamki, skrzepnięte odbarwienia. Midas nachylił się, żeby pocałować ją po raz ostatni, ale odsunął się, kiedy dotknął zimnych, twardych warg. Przez chwilę jej usta wyglądały, jakby były wilgotne, ale to tylko gra światła. Jej włosom brakowało głębi. Przypominały podrapaną powierzchnię szklanej bryły. Zrozumiał, że to już nie Ida. I zrobił to, co musiał. Łódź ratunkowa już się zbliżała. Akurat tyle dało się znieść, żeby położyć ręce na jej ramionach i popchnąć z całej, mizernej, siły. Zachwiała się i runęła za burtę. Z pluskiem wpadła do wody. Impet niebezpiecznie zakołysał łodzią i nagle śliskie dno podskoczyło i wyrzuciło Midasa do lodowatego oceanu.

Morze zamknęło się nad nim. Zimna woda zastąpiła powietrze. Pod nim rozciągała się płynna nieskończoność, w której zagłębiała się Ida. Pęcherzyk powietrza zamknięty w jej ustach — gorących, miękkich, kiedy je całował — wy dostał się na zewnątrz jak mimikra ostatniego oddechu. Mi-

mowolnie krzyknął, słona woda zalała mu gardło. Prąd przewrócił go pod wodą na plecy. Midas patrzył, jak smuga jego ostatniego oddechu pędzi do góry za oddechem Idy, w stronę ciekłego światła na powierzchni. Próbował się odwrócić i popłynąć za nią. Opadała, przezroczyste ciało i wydęte ubranie stawały się coraz mniej wyraźne. Ale z pływania nic nie wyszło. Pozostawały dwa kierunki, dół albo góra. Udało mu się tylko zmienić pozycję. Tonął z szybkością narzuconą przez grawitację. Ogarnął go niesamowity spokój. Widział podwójnie, poczwórnie. Morze zmieniło się w sto jasnych kręgów.

Tak strasznie za nią tęsknił.

Potem powoli się obracał. W górę, w dół? Wiedział tylko, że odrywają go od Idy. Zaczął krzyczeć, ale tam nie było powietrza. Zaczął płakać, ale łzy nie płyną pod wodą.

Wybuch światła i dźwięku. Uderzył plecami o twardą powierzchnię. Jego ciało przeszył spazm. Pomyślał, że siedzi na krześle elektrycznym. Kłujące usta przywarły do jego ust. Śmierdziały potem, kiedy właczały powietrze do każdego pęcherzyka. Próbował je odepchnąć, ale nie miał siły. Kiedy już skończyli, przetoczyli go na bok. Leżał i szlochał, patrzył, jak łzy kapią na rozkołysany pokład i wsiąkają w wilgoć.

Przez jakiś czas ani drgnął pod kocami. Zimne i mokre włosy przykleiły mu się do twarzy. Czuł przepaść, jaka rozwarła się między Idą MacLaird a Midasem Crookiem. Każda fala uderzająca o kadłub łodzi ratunkowej brzmiała jak trąba apokalipsy. W końcu zaczął rozróżniać głosy na de przytłaczającego huku morza i pisku mew. Poczował uścisk na ramieniu, usłyszał znajomy głos.

Podniósł wzrok.

Gustav poczerwieniał z niepokoju.

— Trzymaj się, kolego — powiedział. — Będzie dobrze.

Za nim stali ratownicy morscy, patrzyli z zawodową troską. Dłoń Gustava zacisnęła się na ramieniu Midasa. Po dłuższej chwili zdrętwiały dotyk sprawił, że Midas uniósł ręce i bez siły objął Gustava za szyję. Szerokie ramiona przyjaciela otoczyły go i przyciągnęły. Midas wtulił twarz w gorą-

ca, czerwona skóra szyi Gustava i zapłakał. Płacz rozpląnął się po bezmiarze oceanu.

TLR

**WKRÓTCE POTE**M, **W WIETRZNY PORANEK**, Henry Fuwa otworzył drzwi przed Midasem.

W domku pachniało stęchlizną. Wilgotny chłód sprawił, że Midas objął się ramionami — nadal czuł skamieniały uścisk Idy: na obu ramionach miał po pięć siniaków wielkości koniuszków palców.

Henry wrócił z imbrykiem zielonej herbaty i dwoma porcelanowymi filiżankami bez uszek. Pili ostrożnie, nie patrzyli na siebie.

—Kochałeś ją? — zapytał Henry niskim głosem. I kiedy Midas się odezwał, Fuwa pomyślał, że słowa dochodzą gdzieś z wnętrza chłopaka, może z jakichś współgrających organów, które nie mają nazwy.

—Nie sądziłem, że zdołam kogokolwiek pokochać. Tak, kochałem Idę.

Henry skinął głową. Tam gdzie podczas poprzednich spotkań zaznaczało się podejrzenie, teraz była uczciwość, zrodzona z wiedzy ze o tym, co się stało, nie należy rozmawiać z nikim innym i że później nie będą w stanie się spotkać i o tym mówić.

Wiatr gaworzył pod ścianami domku. Midas zamknął oczy.

—Zawsze miałem nadzieję, że ci się ułoży. Z moją matką. To chciałem powiedzieć. Hm, i jeszcze, że odjeżdżam.

—Już?

—Opuszczam St. Hauda's Land.

—A dokąd wyruszasz?

—Jeszcze nie wiem. Ale już się spakowałem.

Dotykali filiżanek z herbatą. Midasa nadal piekły dłonie pokaleczone przez włosy Idy. Zabliźniające się ranki zostawiały ledwie widoczne blizny, jak wzór na korze.

Nogi krzesła zaszurały po podłodze, kiedy wstał. Wyciągnął rękę. Szybko się pożegnali i rozstali. Midas ruszył po bagnie pokrytym cienką warstwą śniegu.

TLR

**PARĘ MIESIĘCY PÓŹNIEJ** turkusowe morze unosiło poskrzypującą łódź i Midasa od brzegów nieznanego archipelagu, od niskich, piaszczystych wysp, których drzewa oliwne i hałaśliwe miasta skąpane były przez całe lato w upale. Skóra Midasa nabrała cieplejszej barwy, a czarne włosy przybrały mocny ciemnobrązowy odcień.

Po raz pierwszy odkąd pamiętał, ubrany był na czerwono. Brutalny kolor oszałamiał go, ilekroć spojrzał na swoje ciało. Cały w czerwieni; czerwony skafander piankowy podkreślał guzowatość jego kolan.

Z wody wyskoczyła latająca ryba, jej płetwy trzepotały jak skrzydła ćmy, zanim znów się z kłaśnięciem zanurzyła. Cała ławica wyskoczyła i zanurkowała z kaskadą oklasków.

Instruktor poklepał go po plecach.

— Jesteś gotowy?

Midas skinął głową i naciągnął ciasną plastikową maskę. Włożył w usta rurę doprowadzającą den.

Zanurkowali. Nadal nie potrafił przyzwyczać się do tego pędu. Nie wody, ale płynów w mózgu, które kipiąc, próbowały dostosować się do ciśnienia. W niebieskiej wodzie, między wieżami koralowca, śmigały posypane cekinami ryby. Płynął w dół, kopał nogami w rytmie, którego go nauczono. Ciągłe zapominał, że nie musi wstrzymywać oddechu. Wkrótce, mknąc nad dnem zdobnym klejnotami muszli i łaskoczących anemonów, zdobył się na odwagę i odpłynął od instruktora trochę dalej niż poprzedniego dnia.

Taki miał plan: dzień po dniu płynąć dalej i dalej, aż będzie mógł spokojnie nurkować w samotności.

Zagłębiać się w jeszcze bardziej mglistych oceanach. W jeszcze bledszych, cichszych zakątkach świata.